

**Jules Verne**  
**Archipelag w płomieniach**

**SPIS TREŚCI**

1. Rozdział I Okręt na widnokręgu.
  1. Rozdział II Oko w oko.
  2. Rozdział III Grecy przeciw Turkom.
  3. Rozdział IV Smutny dom bogatego człowieka.
  4. Rozdział V Wybrzeże messeńskie.
  5. Rozdział VI Przeciw piratom archipelagu.
  6. Rozdział VII Niespodzianka.
  7. Rozdział VIII O dwadzieścia milionów.
  8. Rozdział IX Archipelag w płomieniach.
  9. Rozdział X Na wodach archipelagu.
  10. Rozdział XI Sygnały bez odpowiedzi.
  11. Rozdział XII Licytacja w Scarpanto.
  12. Rozdział XIII Na pokładzie „Syphanty”.
  13. Rozdział XIV Sacratif.
  14. Rozdział XV Rozwiązanie dramatu.

**Rozdział I**  
**Okręt na widnokręgu.**

Dnia 28-go października 1827 r., około godziny piątej wieczór, usiłował mały statek lewantyński dostać się – jeszcze przed zapadnięciem mocy – do portu Vitylo, leżącego u wejścia do zatoki Coron.

Port ten, Oetylos przez Homera zwany, leży nad jedną z tych głębokich zatok, które morze Jońskie i Egejskie wdarło się w głąb lądu południowej Grecji, czyniąc ją w ten sposób podobną do liścia klonowego.

Na liściu tym rozłożyła się Messena, dawniej Peloponezem zwana. Na zachodzie spostrzegamy jako pierwszą, zatokę Coron, która rozciąga się między Messeną i Lakonią. Drugą jest zatoka Maraton, wrzynająca się głęboko w wybrzeże poważnej Lakonji. Ostatnia wreszcie zatoka, Nauplija, oddziela Lakonję od Argolidy.

Port Vitylo należy do pierwszej z owych zatok. Położony na wschodnim jej wybrzeżu, rozpościera się aż do podnóży gór Tajgetu, których grzbiety tworzą tło krajobrazu. Wygodny wjazd dla okrętów oraz otaczające pasma gór, czynią z tego portu jedną z najlepszych przystani na całym tym wybrzeżu, smaganem nieustannie wichrami mórz południowych.

Z wałów portu Vitylo nie można było rozpoznać statku, idącego pod silnym północno-zachodnim wiatrem, albowiem był on jeszcze w odległości sześciu lub siedmiu mil od portu. Ponieważ jednak pogoda była prześliczna, odcinały się już wierzchołki masztów wyraźnie na jasnym tle nieba.

To jednak, czego nie można spostrzec z dołu, dojrzeć można przecież było z góry, to znaczy ze szczytów gór, otaczających wioskę...

Vitylo zbudowane jest na kształt amfiteatru, na stromych skałach, bronionych przez stare akropolis<sup>1</sup> Kelapha. Powyżej, wznosi się jeszcze kilka, napół zburzonych wież, które nie są jednak tak stare, jak owe dziwne szczątki świątyni Serafinów, której kolumny i kapitele w stylu jońskim, zdobią po dziś dzień kościół w Vitylo. Opodal tych wież znajdują się dwie lub trzy mało odwiedzane kapliczki, w których pobożni mnisi odprawiają nabożeństwa.

Ważną jest rzeczą zwrócić uwagę na określenie „odprawiają nabożeństwa” i na nazwę „mnich”, którą nadają sobie duchowni wybrzeża messeńskiego. Z jednym z nich, który właśnie wyszedł ze swej kaplicy, zapozna się czytelnik niezadługo.

W owym czasie była w Grecji religja dziwnym zlepkiem pogańskich wierzeń i chrześcijańskich dogmatów wiary. Wielu wiernych uważało bożków starożytności za świętych nowej religji. Wedle opisów Henryka Belle, mieszają oni pojęcia bożków i świętych, koboldów z czarowanych dolin i aniołów w raj, czczą syreny i furje oraz składają ofiary z chleba. Na tem podłożu zakwitły dziwaczne obrzędy, które pobudzają widzów do śmiechu, podczas gdy duchowieństwo ma wielki kłopot z uporządkowaniem tego niezbyt religijnego chaosu.

Z początkiem ubiegłego stulecia, to jest w czasie, w którym nasze opowiadanie się rozpoczyna – a więc blisko sto lat temu – był kler półwyspu greckiego jeszcze nie bardzo uświadomiony, a poczciwi mnisi „dobremi

dziećmi” zwani, żyli bez troski i nie nadawali się wcale do nawracania ze złej drogi tych ludzi, którzy już z natury byli zabobonni.

Gdyby jednak ci najniżsi słudzy kościoła, byli tylko nieświadomieni! W pewnych okolicach Grecji jednak, a szczególnie w dzikiej prowincji Magna, nie wstydzą się ci nieboracy odgrywać rolę czatowników opłacanych przez ludność wybrzeży. Czynią to jednak z nędzy. Są bowiem tak biedni, że rzucają się chciwie na każdą drachmę, ofiarowaną przez miłosiernych podróżników. Zajęcia nie mają żadnego, albowiem nie można chyba nazwać zajęciem dawanie fałszywych obrazów Świętych wiernym do całowania i utrzymywanie wiecznego światła w jakiejś grocie, a dochody z dziesięcin, pogrzebów i chrztów są całkiem niewystarczające.

Mieszkańcy Vitylo, wylegujący się w porcie jak „lazzaroni” – którzy po kilkuminutowej pracy, odpoczywają całymi godzinami – powstałi jednak szybko, ujrawszy jednego ze swych mnichów, schodzącego spieszenie do wsi i gestykulującego gwałtownie.

Był to mężczyzna lat około pięćdziesięciu, nietylko tęgi, lecz wprost ociekający od tłuszczu, który tworzy się wskutek bezczynności. Jego chytra fizjognomja nie wzbudzała zbyt wielkiego zaufania.

„Co słyhać nowego, ojcze, co się stało?” spytał jeden z marynarzy.

Witylińczyk ten mówił tak nosowym głosem, że Nasona możnaby słusznie uważać za protoplastę Hellenów i do tego owym maniackim<sup>2</sup> dżalektem, w którym język turecki miesza się z włoskim, tak jakby pochodził z okresu budowy wieży Babel.

„Czy może żołnierze Ibrahima obsadzili wzgórze Tajgetu?” spytał inny marynarz z beztroskim gestem, który nie świadczył wcale o jego patryjotyzmie.

– O ile ci, o których mówimy, nie są może przypadkiem Francuzami, odparł pierwszy.

– „Wart pałac Paca!” dorzucił trzeci.

To zdanie dowodziło, że mieszkańcy dolnego Peloponezu nie interesowali się zbyt wojną – która w owym właśnie okresie najbardziej się srożyła – w przeciwstawieniu do Maniatów z północy, którzy się tak zaszczytnie w walkach o niepodległość Grecji odznaczyli.

Opasły duchowny nie był jednak w stanie cośkolwiek odpowiedzieć. Nie mógł jeszcze złapać tchu, po trudnej przeprawie przez górskie drogi. Jego astmatyczna pierś dyszała. Chciał mówić, lecz nie mógł wydobyć głosu. Jeden z jego helleńskich przodków, żołnierz z pod Maratonu, zdołał jeszcze zanim padł trupem donieść o zwycięstwie Miltjadesa. Tu jednak nie szło ani o Miltjadesa, ani o walkę Ateńczyków z Persami. Tych bowiem zdziczałych mieszkańców skrajnego cypla Mangi możnaby z trudem chyba nazwać Grekami.

„Mów więc, ojcze, mów więc!” krzyknął stary marynarz, nazwiskiem

Gozzo, który niecierpliwił się bardziej od innych, jakby z góry wiedząc, co mnich ma obwieścić.

Grubas przyszedł wreszcie do siebie. Wyciągnął rękę w kierunku horyzontu i zawołał:

„Okręt na widnokręgu!”

Na te słowa zerwali się wszyscy próżniacy i klaszcząc w dłonie pobiegli pędem na skałę, która dominowała nad portem. Stamtąd mogli widzieć morze w dużym promieniu.

Ktoś niewtajemniczony mógłby pomyśleć, że poruszenie to zostało wywołane jedynie zwyczajnym zainteresowaniem, jakie wzbudza u marynarzy każdy statek dobijający do portu. Byłoby to jednak błędnym przypuszczeniem, albowiem poruszenie to wpływało z innych zupełnie względów.

Maniaci, t. j. mieszkańcy krainy Magne, a przynajmniej ci z nich, którzy na kończynach lądu, między zatokami mieszkają, pozostali jeszcze napół barbarzyńcami, których bardziej zajmuje kwestja osobistej wolności, aniżeli niezależność kraju. Ten krańcowy cypel dolnej Morei nie dał się nigdy przez nikogo ujarzmić. Nie mogli tu nic poradzić ani tureccy janczarzy, ani też greccy żandarmi. Ci dzicy mieszkańcy gór mieniają się być potomkami Spartan, mimo swej kłótniwości i mściwości i mimo to, że częste spory rodzinne kończą się u nich bardzo krwawo. Z natury rabusie, a mimo to gościnni, nie cofają się nawet przed zbrodnią rabunkową. Zagnieżdżeni w wąwozach Tajgetu, w których znajduje się tysiące forteczek czyli „pyrgos” odgrywają chętnie rolę owych rozbójników średniowiecznych, którzy bronili swych feudalnych praw przy pomocy noży i mieczów.

Można sobie zatem wyobrazić, czem byli Maniaci przed stu przeszło laty, gdy dziś jeszcze są napół dzicy.

Port Vitylo, dzięki swemu położeniu na krańcach Peloponezu u zbiegu dwu mórz, i z powodu bliskości – dobrze korsarzom znanej – wyspy Cerigotto, nadawał się doskonale na schronienie dla wszelakich złoczyńców, którzy niepokoiłi archipelag i sąsiednie części Morza Śródziemnego. Głównem skupieniem ludności tej części Magny była kraina Kakovonni, a Kakovonnioci, którzy zamieszkiwali oba wybrzeża półwyspu kończącego się przylądkiem Matapan, mogli wygodnie oddawać się rozbojowi. Okręty napadali albo na morzu, albo też zwabiali je fałszywymi sygnałami ku brzegom. Po dokonany rabunku podpalali statki. Nie obchodziło ich zupełnie, czy załogę stanowili Turcy, czy Maltańczycy lub Egipcjanie czy też nawet Grecy; mordowali ją bezlitośnie lub też zaprzędawali w niewolę do państw barbarzyńskich. Gdy zdarzyło się, że przez czas dłuższy nie mieli nic do roboty, a okręty nie pojawiały się w zatoce Cerigo lub koło przylądka Gallo, wtedy odprawiali publiczne modły, prosząc boga burz, by oddał w ich ręce statek o wielkiej pojemności i bogatym ładunku. Mnisi zaś nie wzbraniali się celebrować te nabożeństwa dla korzyści swych wiernych.

Już od kilku tygodni nie nadarzyła się im sposobność rabunku. Żaden statek nie przybił do lądu Magny. Dlatego też wybuchła żywiołowa radość,

gdy mnich, dysząc astmatycznie, zawołał:

„Okręt na widnokręgu!”

Natychmiast rozległy się głucho uderzenia simandra, to jest drewnianego dzwonu z żelazną kołatką, używanego w tych prowincjach, w których Turcy zabronili używać metalowych dzwonów. Te bezdźwięczne uderzenia wystarczyły jednak, aby zwołać całą chciwą łupu ludność. Mężczyźni, kobiety, dzieci, straszne psy bezpieczeństwa, wszystko to dyszało żądzą rabunku, a gdyby zaszła potrzeba to i mordy.

Witylińscy zebrani na skale dyskutowali tymczasem bardzo żywo, jaki to może być statek, o którym doniósł mnich. Okręt posuwał się szybko z północno-zachodnim wiatrem, który wzmagał się jeszcze pod noc i wydymał żagle bakbortu<sup>3</sup>. Wydawało się prawdopodobnym, że lawirując przejdzie blisko przylądka Matapan. Wnosząc z kursu, zdawał się przybywać z Krety. Wkrótce ujrano kadłub ponad białą pianą, którą zostawiał za sobą statek; żagle jednak przedstawiały jeszcze jedną niewyraźną masę. Trudno zatem było określić rodzaj statku. To też zdania były podzielone i zmieniały się co chwila.

„To jest szebeka<sup>4</sup>, rzekł jeden z marynarzy, widzę jej czworokątne żagle, na fokmaszcie!<sup>5</sup>

– Nie, odparł inny, to jest pinka<sup>6</sup>! Widzę przecież wyraźnie wzniesiony tylny pokład i silnie wygięty dziób statku.

– Szebeka lub pinka! Któż może to rozróżnić na taką odległość?

– Czy nie będzie to raczej polaka<sup>7</sup>, o czworokątnych żaglach, zauważył inny marynarz, który przybliżywszy dłoń do oka, patrzył jak przez lunetę.

– Na Boga! rzekł stary Gozzo, czy to polaka, czy szebeka, czy też pinka, to w każdym razie ma trzy maszty, a trzy maszty są zawsze lepsze niż dwa, gdy idzie o to, aby statek jakiś wylądował tu z wielkim ładunkiem wina z Kandji lub tkanin ze Smyrny!”

Po tej mądrej uwadze patrzyli wszyscy z tem większym zainteresowaniem na morze.

Okręt przybliżał się i rósł w oczach; nie można go jednak było dojrzeć z boku, albowiem płynął pod wiatr. Trudno zatem było powiedzieć czy miał dwa, czy trzy maszty, a zatem czy był mniej lub więcej pojemny.

„Oh, los doświadcza nas ciężko, a djabeł macza w tem swe palce! zawołał Gozzo, zakławszy przytem głośno. W ten sposób słowa jego czyniły większe wrażenie. Taż to jest tylko feluka<sup>8</sup>...

– Albo może tylko speronara<sup>9</sup>! wykrzyknął mnich, zawiedziony nie mniej od innych.

Nie trzeba dodawać, że te obydwie spostrzeżenia zostały niezbyt przychylnymi okrzykami przyjęte. Jakiegokolwiek rodzaju był ów statek, to

jednak mógł zawierać conajwyżej, sto do stu pięćdziesięciu tonn. Nie chodziło zresztą tak o ilość ładunku, jak raczej o jego jakość. Spotyka się przecież nieraz zwyczajne feluki lub sponary, naładowane cennymi winami, olejkami lub kosztownymi tkaninami. W takich razach rabunek opłaca się, albowiem można bez niebezpieczeństwa zdobyć bogaty łup. Nie było zatem jeszcze nic straconego. Poza to bardziej doświadczeni rabusie spostrzegli, że statek miał elegancki wygląd, który – na podstawie długoletniego doświadczenia – przemawiał też na jego korzyść.

Na zachodzie zanurzało się już słońce w wody morza jońskiego; podczas zmierzchu październikowego jednak jest dość jasno, by móc rozpoznać rodzaj statku. Okręt minął tymczasem przylądek Matapan i wykonał pół obrotu, by móc łatwiej wpłynąć do portu. Na skutek tego ukazał się dokładnie oczom Witylińczyków. Stary Gozzo wykrzyknął natychmiast „sakolewa”!

„Sakolewa” powtórzyli jego towarzysze, dając upust swej złości w ordynarnych przekleństwach.

Nie poruszano więcej tego tematu, albowiem nie zachodziła tu żadna wątpliwość. Statek, który kierował się ku zatoce Korońskiej był z pewnością sakolewą. Zresztą nie było powodu do lamentów. Nierzadko znajdowano kosztowne towary, właśnie na sakolewach.

Tą nazwą oznacza się lewantyńskie statki o średniej pojemności, których pokład jest lekko wygięty i podnosi się nieco ku tyłowi. Na swych smukłych masztach dźwigają najrozmaitsze rodzaje żagli. Maszt główny, stojący na środku statku, pochylony jest silnie ku przodowi i zaopatrzony jest zwyczajnie w żagiel łaciński<sup>10</sup>, bezpieczeństwa, marsowy<sup>11</sup> i szczytowy. Dwa kliver-żagle<sup>12</sup>, z przodu i dwa bardzo spiczaste na tylnych masztach dopełniają ożaglowania, dzięki któremu statek posiada szczególny wygląd. Jaskrawe barwy kadłuba, wygięcie dzioba, różnorodność masztów, fantastyczność żagli, czynią zeń najciekawszy okaz tych zgrabnych statków, których setki uwijają się w wąskich kanałach archipelagu. Był to wspaniały zaiste widok, gdy ten lekki stateczek zapadał i wznosił się z falą, pokrywał się pianą lub też podskakiwał zupełnie bez trudu, podobny do ogromnego ptaka, – muskającego skrzydłami morze – którego pierze mieni się żywo w promieniach zachodzącego słońca.

Sakolewa nic skracała wcale żagli, mimo, że wiatr się wzmacniał, a niebo zasnuwało się stopniowo „spodniami wodnymi”, którą to nazwą określają Lewantyńczycy pewien rodzaj chmur. Pozostał nawet żagiel szczytowy, który mniej śmiały żeglarz ściągnąłby bez wątpienia.

Kapitan statku zamierzał widocznie dobić do brzegu, nie chcąc spędzać nocy na morzu, które burzyło się coraz bardziej.

Jeżeli ludzie z Vitylo nie wątpili już, że okręt wpłynie do jakiegoś portu, to jednak nie wiedzieli, czy zarzuci on kotwicę w ich właśnie porcie.

„Ach, zawołał jeden z nich, możnaby powiedzieć, że stara się on tylko wpłynąć pod wiatr, a nie ma wcale zamiaru dostać się do portu.

– Niechaj go djabeł prowadzi! dorzucił inny. Czyżby on rzeczywiście tylko lawirował i zamierzał odpływać na pełne morze?

– Czy kieruje się on wogóle do Koron?

– A może do Kalamaty?”

Obydwa przypuszczenia mogły się okazać słuszne. Koron jest bardzo ruchliwym portem na wybrzeżu maniackim, do którego zawijają głównie statki handlowe z Lewantu. Port ten jest miejscem głównego eksportu oliwy z południowej Grecji. To samo można powiedzieć o Kalamacie, której bazyry pełne są towarów, tkanin i naczyń, sprowadzonych z zachodu. Było więc prawdopodobnym, że sakolewa zdążyła do jednego z tych dwu portów. Ta okoliczność była chciwym Witylińczykom bardzo nie na rękę.

Sakolewa posuwała się tymczasem szybko naprzód. Wkrótce znalazła się na wysokości Vitylo. Teraz miał się jej los rozstrzygnąć. Gdyby podążyła dalej w głąb zatoki, Gozzo i jego towarzysze straciliby wszelką możliwość dostania jej w swe ręce. Nawet gdyby rozpoczęli pogoń w najszybszych łodziach, nie mieliby widoków powodzenia, albowiem sakolewa, dzięki swemu ożaglowaniu, płynęła z zawrotną szybkością.

„Nadpływa ku nam!”

Te trzy słowa padły z ust starego sternika,

Jakkolwiek jednak Witylińczycy widzieli, że statek usiłuje wpłynąć do portu, to jednak nie który wyciągnął ramię – z zakrzywioną na kształt haka ręką – w kierunku małego statku.

Gozzo nie mylił się. Ster skręcił pod wiatr, i sakolewa wzięła kurs na Vitylo. Równocześnie ściągnięty został żagiel szczytowy i fokmasztu; inne żagle skrócono do połowy. W ten sposób statek uwolniony od połowy parcia wiatru, poddawał się łatwiej nakazom steru.

Ściemniało się coraz bardziej. Sakolewa miała zaledwie czas wpłynąć na wody, stanowiące wjazd do portu. Dno morza jest tu najeżone skałami, na których okręt może się łatwo rozbić. Mimo to okręt nie wywiesił flagi wzywającej pilota, któryby wprowadził statek do portu. Widocznie kapitan sam był dostatecznie obznajomiony z terenem. A może nie dowierzał – i to zupełnie słusznie – Witylińczykom, którzy nie zawahaliby się poprowadzić statek wprost na skały. Nie jeden już okręt rozbił się w ten sposób.

W owym czasie nie było jeszcze latarni morskiej na owej części wybrzeża Magny. Jedynie nikłe światelko portowe wskazywało drogę do wąskiego kanału.

Tymczasem sakolewa zbliżała się i niebawem znalazła się w odległości pół mili od Vitylo. Wkrótce musiała dobić do brzegu. Łatwo można było poznać, że wiedzie ją doświadczony żeglarz.

Ta okoliczność nie była Witylińczykom również na rękę; woleliby widzieć

statek rozbijający się na skałach; morze byłoby wtedy jakby w zмовie z nimi. Rozpoczęłoby dzieło, które oni mieliby tylko dokończyć. Najpierw rozbicie a potem grabież, oto ich zwyczajny sposób postępowania. Unikali w ten sposób walki orężnej, która przecież zawsze pociąga za sobą ofiary w ludziach. Nieraz już napotykali okręty, których załoga nie pozwalała bezkarnie na nie napadać.

Gozzo i towarzysze zeszli więc do portu, by poczynić swe zbrodnicze przygotowania. Przygotowania te są jednakowe u wszystkich korsarzy, którzy grasują na morzach czy to Wschodu czy Zachodu.

Wydawało się rzeczą łatwą rozbić sakolewę w wąskim kanale, udzieliwszy jej fałszywych wskazówek. Sprzyjała temu potęgująca się ciemność, która utrudniała prowadzenie statku.

„Do światła portowego” rozkazał Gozzo. Towarzysze jego usłuchali bez wahania.

Pojęli znaczenie słów starego żeglarza.

Po upływie dwu minut zgasła nagle latarnia, zawieszona na palu, wbitym na końcu wału portowego.

Równocześnie pojawiło się początkowo na tem samym miejscu inne światelko; podczas gdy jednak tamto światło wskazywało okrętowi stały i niezmienny kierunek, to drugie, ruchome, sprowadzić go miało z utartego szlaku i narazić na niebezpieczeństwo rozbicia.

Te fałszywe sygnały dawała latarnia, której światło nie różniło się niczem od światła portowego. Latarnia ta była przywiązana do rogów kozy, którą pędzono powoli wzdłuż brzegu. Wskutek tego światło wędrowało z miejsca na miejsce i zmuszało statek do wykonywania fałszywych ruchów.

Ludzie z Vitylo czynili to nie poraz pierwszy. A niestety rzadko się zdarzało, by ich nieczne zamiary spełzły na niczem.

Sakolewa wjechała już na wody kanału. Po ściągnięciu marsowego żagla, pozostał tylko żagiel łaciński na tylnym maszcie; przy jego pomocy mógł statek dopłynąć aż do pali portowych.

Okręt poruszał się w zakrętach kanału z niebywałą wprawą ku wielkiemu zdziwieniu obserwujących go Witylińczyków. Nikt na okręcie widać nie troszczył się o światło niesione przez kozę. Ruchy statku były tak zdecydowane, jak w biały dzień. Jego kapitan musiał widocznie już nieraz żeglować po tych wodach, jeśli podczas tak ciemnej nocy ważył się na wpłynięcie do portu.

Można już było dojrzeć śmiałego żeglarza. Posiadc jego rysowała się dość wyraźnie na ciemnym tle pokładu sakolewy. Stał spowity w abę, rodzaj wełnianego płaszcza, którego kaptur zakrywał mu głowę. Nie był on jednym z owych skromnych żeglarzy przybrzeżnych, którzy podczas trudniejszych przepraw przesuwają w palcach kulki różańca, jakiego używają mieszkańcy archipelagu. Kapitan tego statku zadowalał się wydawaniem silnym i



spokojnym głosem – rozkazów sternikowi stojącemu na tylnym pokładzie.

Naraz zgasła latarnia na skalistym brzegu. Jednak i to nic przeszkodziło sakolewie w dalszej jeździe. Przez chwilę można było przypuszczać, że najedzie ona na niebezpieczną rafę, która wznosiła się tuż koło portu i która w nocy była zupełnie niewidoczną. Okręt jednak, posłuszny lekkiemu naciskowi steru, zmienił kurs i przepłynął tuż obok skały, nie zaczepiwszy o nią wcale.

Podobną zręczność okazał sternik również gdy trzeba było wyminąć mieliznę, która zajmowała prawie całą szerokość kanału. Na tej mieliznie osiadł już nie jeden statek, czy to prowadzony przez kogoś będącego w zmwowie z Witylińczykami czy też przez kogo innego.

Witylińczycy nic mogli przeto liczyć na rozbitcie sakolewy i zawładnięcie nią bez walki. W przeciągu paru minut musiała ona zarzucić kotwicę w porcie. Zawładnąć nią można było tylko przez użycie gwałtu.

Łotry postanowiły przeto, po krótkiej naradzie, wziąć się natychmiast do dzieła, któremu sprzyjała ciemna noc.

„Do łodzi!” zawołał stary Gozzo, którego rozkazy, szczególnie gdy szło o grabież, spełniane były bez szemrani.

Około trzydziestu silnych ludzi, – a więc więcej niż wynosiła załoga sakolewy – uzbrojonych częścią w pistolety, częścią zaś w sztylety i siekiery, wskoczyło do łodzi i ruszyło w kierunku statku.

Na pokładzie rozległa się krótka komenda. Sakolewa, która wydostała się z kanału, znajdowała się już w porcie. Zarzucono kotwicę i po krótkim szarpnięciu wynikiem wskutek napięcia łańcucha kotwicznego okręt zatrzymał się.

Łodzie były już w bliskości. Cała załoga statku, znając widocznie zwyczaj Witylińczyków, uzbroiła się dostatecznie, by w danym razie być gotową do odparcia napadu.

Narazie jednak nic nie nastąpiło. Po zarzuceniu kotwicy przeszedł się kapitan sakolewy kilkakrotnie po pokładzie, podczas gdy załoga, nie zwracając zbytnio uwagi na zbliżające się łodzie, doprowadzała spokojnie żagle do porządku i uprzętała pokład.

Mimo to bystry obserwator dostrzegłby, że żagli nie ściągano, lecz skrócono je tylko tak, by w każdej chwili być gotowym do wyjazdu.

Pierwsza łódź przybiła do statku z lewego boku. Inne podążały za nią. Ponieważ ściany kadłuba była bardzo niskie, przeto atakujący, krzycząc przeraźliwie, znaleźli się jednym skokiem na pokładzie.

Najodważniejsi rzucili się ku tyłowi okrętu. Jeden z nich pochwycił płonąca latarnię i poświecił nią kapitanowi w twarz.

Ten zerwał kaptur z głowy i ukazał się w pełnym świetle.

„Ej, rzekł, czy ludzie z Vitylo nie poznają już swego ziomka, Mikołaja Starkosa?”

Przy tych słowach skrzyżował spokojnie ręce na piersiach. Po kilku chwilach łódzie odbiły spiesznie od statku i zniknęły w cieniach nocy.

## Rozdział II

### Oko w oko.

W dziesięć minut później odbiła od statku mała lekka łódź, i zawiozła do portu tego człowieka, przed którym Witylińcy umknęli tak spiesznie. Był bez broni i nikt mu nie towarzyszył.

Człowiek ten był kapitanem „Karysty” taką nazwę miał statek, który dopiero co zarzucił kotwicę w porcie. Średniego wzrostu, miał wysokie dumne czoło, przykryte grubą marynarską czapką; w jego okrutnych oczach malowało się stanowcze spojrzenie. Górną wargę zdobił wąs, rozczapierzony na końcach. Pierś jego była szeroka, członki muskularne. Czarne włosy opadały lokami aż na plecy. Liczył nie więcej jak trzydzieści pięć lat. Oblicze jego, spalone słońcem i wiatrem, surowość jego rysów i zmarszczka na czole, podobna do głębokiej bruzdy, w której kiełkuje złe nasienie, czyniły go starszym, niż był w rzeczywistości.

Ubranie, które miał na sobie nie było ani kamizelką, ani też kożuszką bez rękawów zwaną fustanella a noszoną przez Palikarów<sup>13</sup>. Strój jego, złożony z kaftana i kaptura, brązowego koloru, wyszywanego niezbyt jaskrawymi barwami, oraz z szerokich zielonych spodni, gubiących się w wysokich butach, przypominał strój żeglarza z jakiegoś kraju Barbaresków.

A przecież był Mikołaj Starkos rodowitym Grekiem i dzieckiem portu Vitylo. Tu spędził swą pierwszą młodość. Tu, między temi skałami przebywając, nauczył się kochać morze. Na jego falach żeglował już nie raz, wydany na pastwę wichru i prądu. Nie było ani jednej zatoki, w której nie znałby głębokości oraz miejsc, nadających się do lądowania; znał na pamięć położenie każdej rafy, mielizny lub podwodnej skały. W każdym zakręcie kanału poruszał się swobodnie, bez pomocy pilota lub kompasu. Tem tłumaczy się to, że mimo fałszywych sygnałów swych ziomków, doprowadził sakolewę bezpiecznie do portu. Pozatem wiedział dobrze, jak dalece można Witylińczykom ufać. Widział ich już nie raz przy robocie.

W głębi duszy nie potępiał wcale ich rozbójniczych praktyk, jak długo tylko pozostawiali go w spokoju.

Z drugiej znów strony, znali go ludzie z Witylo równie dobrze. Ojciec jego zginął podobnie jak tysiące innych, z rąk Turków, a matka jego oczekiwała tylko chwili powstania przeciw Turkom, aby móc zaspokoić swą żądzą zemsty. On sam opuścił Magnę, mając lat osiemnaście i udał się na morze. Żeglował głównie w pobliżu archipelagu, kształcąc się nie tylko na dzielnego żeglarza, lecz również na groźnego korsarza.

Któż zdoła wyliczyć, na ilu statkach od tego czasu służył, ilu kapitanom flibustjerów i korsarzy podlegał, pod jaką flagą najpierw walczył, ile krwi przelał. – Krwi zarówno nieprzyjaciół, jak i obrońców Grecji – tej samej krwi, która i w jego żyłach płynęła. Wielokrotnie widziano go w rozmaitych portach zatoki Koron. Gdyby się był połączył z swymi ziomkami, aby wspólnie napadać na okręty handlowe i dzielić się zdobytym łupem, to zapewne opiewaliby oni nie jeden jego bohaterski czyn. W każdym jednak razie znany był w prowincji Magna, a na dźwięk jego imienia chyliły się wszystkie głowy.

Tem tłumaczy się przyjęcie, jakiego doznał od Witylińczyków, jak również i okoliczność, że zrezygnowali z grabieży na wiadomość o jego obecności na sakolewie.

Skoro tylko kapitan „Karysty” wysiadł na ląd, w bliskości „quai’u”<sup>14</sup>, utworzyli mieszkańcy szpaler honorowy, aby go przepuścić. Nikt nie rzekł ani słowa. Mikołaj Starkos wywierał tutaj taki wpływ, że samo jego ukazanie się wystarczało, aby wszyscy milkli. Ludzie czekali, aż on sam przemówi, a gdyby to – jak się często zdarzało – nie nastąpiło, nie ważyłby się nikt do niego pierwszy przemówić.

Mikołaj Starkos odesłał łódź z powrotem, i udał się do kąta utworzonego przez quai w głębi portu.

Zaledwie jednak uczynił kilkanaście kroków, zatrzymał się. Zwrócił się do starego marynarza, który szedł za nim, jakby oczekując jakichś rozkazów.

„Gozzo, rzekł, potrzebuję dziesięciu tęgich chłopców do skompletowania załogi.

– Będiesz ich miał, Mikołaju Starkos” odparł Gozzo.

Gdyby kapitan „Karysty” był zażądał i stu ludzi z pomiędzy mieszkańców do wyboru, byłby ich otrzymał. A tych stu ludzi poszłoby za nim, nie pytając dokąd ich prowadzi, jaki im los gotuje, i po czyjej stronie im każe walczyć. Podzieliliby jego los, ponieważ wiedzieli dobrze, że w końcu osiągną w ten czy w ów sposób wielkie korzyści.

„Tych dziesięciu ludzi, ciągnął dalej kapitan „Karysty”, musi się znaleźć w przeciągu godziny na pokładzie.

– „Będą” zapewnił Gozzo.

Mikołaj Starkos odprawił go skinieniem ręki, przeszedł wzdłuż quai'u, przytykającego do molo i znikł w jednej z wąskich uliczek portowych.

Stary Gozzo powrócił, jak mu polecono, do swych towarzyszy i przystąpił natychmiast do wybrania dziesięciu ludzi, którzy mieli uzupełnić załogę sakolewy.

Mikołaj Starkos wspinał się tymczasem po stromym brzegu, na którym rozłożyło się Vitylo. Panującą tu ciszę przerywało jedynie szczekanie dzikich psów, które są dla podróżnych równie niebezpieczne, jak szakale i wilki. Psy te posiadają potężne uzębienie i szeroką mordę dogów, a nie boją się najpotężniejszego nawet kija. Kilka mew morskich poruszając ciężko skrzydłami, powracało do swych nadbrzeżnych kryjówek. Mikołaj Starkos minął niebawem ostatnie domki miasteczka. Wszedł teraz na uciążliwą ścieżkę, która wije się dookoła akropolu Kelapha. Następnie przeszedł obok ruin twierdzy, założonej w tym miejscu przez Ville-Hardouina, w czasie gdy rycerze krzyżowi mieli pod swą władzą poszczególne miejsca Peloponezu. Gdy minął wreszcie kilka starych wież, które jeszcze po dziś dzień na skalistym brzegu się wznoszą, zatrzymał się i spojrzał poza siebie.

Na nieboskłonie, za przylądkiem Gallo, zachodził księżyc, zanurzając się w fale morza Jońskiego. Tu i ówdzie błyszczały gwiazdy między postrzępionymi chmurami, które orzeźwiający podmuch wieczorny pędził po niebie. Gdy wiatr na chwilę ustawał, panowała dookoła cytadeli grobowa cisza. Na wodach zatoki poruszały się ledwie widoczne dwa lub trzy statki, kierując się w stronę Koron lub Kalamaty. Gdyby nie latarnie zawieszane u wierzchołków masztów, nie możnaby ich było wogóle dostrzec. W niektórych punktach wybrzeża paliły się ognie, odbijając się w falującej wodzie. Czy były to światła statków rybackich, czy też chat nadbrzeżnych? Trudnoby było to rozróżnić.

Mikołaj Starkos powiódł dookoła wzrokiem, nawykłym już do ciemności. Oko żeglarza posiada często nadzwyczajną bystrość i pozwala mu tam coś jeszcze dojrzeć, gdzieby inni już niczego nie zobaczyli. W tej jednak chwili świat zewnętrzny zdawał się nie interesować zbytnio kapitana „Karysty”, który już nie jedno w swym życiu widział. Chłonał w siebie mimowoli powietrze ojczyzny, a raczej jej oddech. Stał bez ruchu, z ramionami na krzyż założonemi; jakby wykuty z kamienia. Głowa jego, z której obsunął się kaptur, była również nieruchoma.

Tak minął kwadrans. Mikołaj Starkos patrzył przez cały czas na zachodnie niebo, ograniczone dalekim morskim horyzontem. Następnie podszedł parę kroków w górę skalistego brzegu. Jego wahanie się nie było przypadkowe. Przejęty był jakąś tajemną myślą, a ktoby go obserwował, powiedziałyby może, że stara się uniknąć rozpoznania tego, czego właściwie przyszedł poszukać, – na tem wzgórzu za Vitylo. – Nie ma chyba nic bardziej jałowego, jak widok tego wybrzeża od przylądka Matapan aż do głębi zatoki. Nie kwitną tu ani drzewa pomarańczowe, ani cytrynowe, ani dzikie róże, ani wawrzyny; nie ma tam jaśminu z Argolidy, ani fig, ani poziomek czy też malin, ani też nic z tego co innym okolicom Grecji nadaje piętno bujnej, bogatej krainy. Nie rosną tu ani zielone dęby, ani klony, ani też drzewa granatu, któreby się jaśniejszą plamą na ciemnym tle cyprysów i cedrów odcinały.

Wszędzie tylko skały, spadające za najmniejszym wstrząśnieniem wulkanicznego gruntu w fale zatoki. Z każdego kąta tej dzikiej krainy Magny wзира pustka; z rzadka rozsiana ludność nie może się nawet z płodów tej krainy wyżywić. Znajduje się tam jedynie kilka napół obumarłych pinii, którym zrabowano ich żywicę. Odżywcze soki przestały już w tych drzewach krążyć; świadczą o tem głębokie bruzdy w korze. Tu i ówdzie wznosi się nędzny kaktus o kłujących kolcach, którego liście podobne są do małych, na pół ostrzyżonych jeży. Nigdzie natomiast, ani na skarłowaciałych krzakach, ani też na piaszczystej ziemi nie ma pożywienia dla kóz, które jak wiadomo zadowolniają się nawet najmarniejszą trawką.

Po dwudziestu krokach przystanął Mikołaj Starkos ponownie. Następnie zwrócił się ku północnemu wschodowi, w tę stronę, gdzie odległy szczyt Tajgetu odcina się od jaśniejszego nieco nieba. Dwie gwiazdy, które weszły w tej chwili, zdawały się spoczywać na skraju horyzontu, jak dwa świecące punkty.

Mikołaj Starkos stał bez ruchu. Oko jego spoczęło na małym drewnianym domku, ukrytym w wgłębieniu skały, w odległości pięćdziesięciu kroków.

Była to skromna zagroda, leżąca samotnie w tej okolicy, okolona cierniowym płotem i kilku ogołocionymi z liśćmi drzewami. Dojście stanowiła stroma ścieżka. Na pierwszy rzut oka mieszkanie wydawało się zupełnie opuszczone. Płot był w złym stanie, tu porosły trawą, tam znów wyłamany, tak, że stanowił bardzo niedostateczną ochronę; psy i szakale, które nieraz przez tę okolice przeciągały, spustoszyły już nieraz ten zapadły kąt maniackiej ziemi. Ordynarne zielsko i chwasty porastały tu i ówdzie ten przez ludzi opuszczony zakątek.

Dlaczego jednak był on tak opuszczony? Właściciel tego kawałka ziemi umarł przed wielu laty. Wdowa po nim, Andronika Starkos, opuściła później kraj, aby przyłączyć się do tych nieustraszonych kobiet, które odznaczyły się tak zaszczytnie w walce o niepodległość Grecji. Z tego samego powodu nie zawitał do domu i syn od czasu gdy wyruszył w świat.

Mikołaj Starkos urodził się tu, i tu spędził lata dziecięce. Ojciec jego schronił się do tego zakątka po długich latach uczciwej służby na morzu; unikał jednak zetknięcia się z ludźmi z Vitylo, albowiem ich dzikie zwyczaje były mu wstrętne. Posiadał pewne wykształcenie i zrozumienie dla przyjemności życia; na tem miejscu stworzył miłe gniazdko dla żony i syna. W zakątku tym żył długo w spokoju, nie zwracając niczyjej uwagi. Pewnego razu stawiał opór niesłusznemu zarządzeniu władz tureckich i czyn ten przypłacił życiem. Przed tureckimi siepaczami bowiem nie można się było ukryć nawet w najzapadlejszym kącie.

Po śmierci ojca osamotniona matka nie mogła utrzymać w ryzach niesforne go chłopca. Mikołaj Starkos uciekł z domu, a oddał swe wrodzone zdolności żeglarskie na usługi korsarstwa a raczej tych ludzi, którzy ten proceder uprawiali.

Dziesięć lat przebywał już poza domem; matka zaś opuściła dom przed

sześciu laty. W okolicy jednak krążyła pogłoska, że Andronika przebywa od czasu do czasu w domu. Niektórzy bowiem twierdzili, że widują ją w wielkich wprawdzie odstępach czasu, mimo że w czasie swych bytności unikała spotkań z ludźmi z Vitylo.

Mikołaj Starkos nie odczuł nigdy tęsknoty za skromnym domkiem na skale, mimo że kilkakrotnie powracał do Magny. Nie pytał nigdy, czy matka jego odwiedza od czasu do czasu opuszczone domostwo. W czasie okropnych walk, które pustoszyły Grecję, odbiło się zapewne o jego uszy imię Androniki, imię które wzbudzić by w nim musiało wyrzuty sumienia, gdyby wogóle jeszcze sumienie posiadał.

Dziś jednak zawinął Mikołaj Starkos do portu Vitylo, nie w tym jedynie celu, aby powiększyć załogę sakolewy o dziesięciu ludzi. Zmusiła go do tego chęć, a raczej jakieś nieprzeparte pragnienie, z którego nie umiał sobie zdać sprawy.

Odczuwał pragnienie ujrzenia domu ojcowskiego, po raz ostatni może. Chciał dotknąć stopami ziemi, na której stawiał pierwsze kroki, odetchnąć w atmosferze tych murów, wśród których ujrzał światłoienne i wymówił pierwsze słowa. Z tego tylko powodu wspinał się po tej stromej ścieżce i stał obecnie przed parkanem domostwa.

Opanowało go dziwne niezdecydowanie. Nie ma bowiem tak zatwardziałego serca, któreby nie zabiło żywiej na widok ukochanych obrazów przeszłości. Nie ma nikogo, komu by nie było drogiem miejsce jego urodzenia, miejsce, w którym kołysała go matka. Niczyje nerwy nie mogą stępieć tak dalece, by nie zadrżały przy takich wspomnieniach.

Podobne uczucia opanowały też Mikołaja Starkosa, gdy stanął na progu opuszczonego domu, w którym wewnątrz i zewnątrz panowała ponura i śmiertelna cisza.

„Wejść!... Tak!... Wejść!...”

Były to pierwsze słowa, które Mikołaj Starkos wypowiedział. Właściwie wyszeptał je tylko, czy to obawiając się, by go ktoś nie usłyszał, czy też nie chcąc budzić wspomnień przeszłości.

Wejść do zagrody było bardzo łatwo, drzwi bowiem rozpadły się i kawałki zalegały ziemię. Należało tylko odsunąć rygiel i odemknąć drzwi domu.

Mikołaj Starkos przekroczył ogrodzenie i zatrzymał się przed domem, którego napół przegniłe okiennice wisały w zardzewiałych zawiasach.

Ochrypy chichot puhacza, wypłoszonego z krzaku mastyksu zarastającego próg domu, przerwał ciszę nocną.

Jakkolwiek Mikołaj Starkos był zdecydowany obejrzeć każdy kąt domu, to jednak zawahał się jeszcze; czuł się nieswojo albowiem opanowały go jakby wyrzuty sumienia. Czuł się wzruszony, a przytem i podrażniony. Zdawało mu się, że ojcowski dach zniknie mu z oczu, jakby protestując

przeciw jego powrotowi i przeklinając go po raz ostatni.

Zanim wszedł do domu, postanowił obejść go dookoła. Noc była ciemna. Nikt go nie widział a i on „nie widział i nie poznawał prawie siebie samego”. W jasny dzień nie odważyłby się tu przyjść. Czuł, że w ciszy nocnej zdoła mężniej stawić czoło nawałowi wspomnień.

Podobnie jak złoczyńca, który ogląda miejsce swej przyszej zbrodni, tak i on przeszedł ostrożnie wzdłuż ściany, obszedł rogi, częściowo mchem porośłe, dotykał ręką rozluźnionych kamieni, aby się przekonać, czy w tym domu-trupie tli jeszcze jakaś iskra życia, czy serce jego jeszcze bije. Od tyłu wyglądał dom jeszcze bardziej ponuro. Ukośne promienie zachodzącego już księżyca nie mogły tu dotrzeć.

Powoli okrążył Mikołaj Starkos dom. Ciemne mieszkanie zachowywało niepokojące milczenie. Można było myśleć, że jest zaklęte przez czarnoksiężnika. Teraz zbliżył się od zachodniej strony do drzwi, aby je otworzyć, o ileby były tylko przymknięte, a wyważyć, gdyby je zamek silnie przytrzymał.

Krew zamglila mu oczy. Widział „czerwono” jak się to mówi. Nie miał odwagi wejść do domu, który pragnął jeszcze raz odwiedzić. Zdawało mu się, że na progu ukaże się ojciec lub matka, z wyciągniętą ręką i przeklnie go, jego który był złym synem, złym obywatelem, zdrajcą rodziny i ojczyzny.

W tej chwili otworzyły się powoli drzwi. Jakaś postać kobieca ukazała się na progu. Miała na sobie strój maniacki, bawełnianą spódnicę z wąską czerwoną obwódką, ciemny kaftanik, zesnurowany w pasie, a na głowie wielki brunatny czepek, obwiązany jedwabną chustką o narodowych barwach greckich.

Twarz jej była pełna energii, dwoje czarnych oczu świeciło żywym blaskiem; cerę miała smagłą, podobnie jak rybaczeki nadbrzeżne, a przytem wysoki wzrost i mimo przekroczonych sześćdziesięciu lat, dumną postawę. Była to Andronika Starkos. Matka i syn, którzy żyli przez tak długie lata zdala od siebie, stanęli teraz oko w oko.

Mikołaj Starkos nie spodziewał się zupełnie, że spotka tu swą matkę. Jej ukazanie się napełniło go dziwnym przerażeniem.

Andronika zakazała mu ruchem ręki przestąpić próg domu i zawołała głosem, który czynił słowa jeszcze bardziej okrutnymi: „Mikołaj Starkos nie wejdzie już nigdy w dom swego ojca!... Nigdy!”

Przerażony temi słowami, cofnął się syn nieco wstecz. Ta, która go w swem tonie nosiła, odpędzała go teraz precz, jak zdrajcę. Jeszcze raz postąpił naprzód. Ruch ręki, będący i groźbą i przekleństwem zarazem powstrzymał go.

Mikołaj Starkos odwrócił się, opuścił zagrodę, pobiegł na stromą drożynę, prowadzącą ku brzegowi i począł umykać, co tylko sił w nogach, jakby go jakaś niewidzialna dłoń, która mu spoczęła na barkach pędziła w dół.

Andronika, stojąc nieruchomo na progu domu, patrzyła za nim, dopóki nie skrył go cień nocy.

Po dziesięciu minutach opanował się Mikołaj Starkos na tyle, że niktby nie zauważył w nim poprzedniego wzruszenia; doszedł do portu, zagwizdał na Gozza i wskoczył do lekkiej łodzi. Dziesięciu ludzi, wybranych przez Gozza znajdowało się już na pokładzie sakolewy.

Bez słowa wszedł Mikołaj Starkos na pokład „Karysty” i dał załodze znak do podniesienia kotwicy. Rozkaz został szybko wykonany, ponieważ należało tylko rozpiąć żagle przygotowane już do wyhisowania<sup>15</sup>. Dmący właśnie od strony lądu wiatr dopomógł przy wyjeździe z przystani.

W pięć minut później, posuwała się „Karysta” pewnie i cicho po wodach zatoki. Na pokładzie i na łodzi panowała zupełna cisza.

Sakolewa nie ujechała jeszcze ani mili, gdy czerwony blask rozjaśnił grzbiety skał nadbrzeżnych. Płonęło domostwo Androniki Starkos. Ręka matki podłożyła ten ogień. Chciała zetrzeć z powierzchni ziemi to miejsce, gdzie jej syn przyszedł na świat.

Długo nie odwracał kapitan oczu od ognia, który płonął na ziemi Magny. Śledził go w ciemnościach, aż do zagaśnięcia ostatniego błysku.

Andronika powiedziała:

„Mikołaj Starkos nie wejdzie już nigdy w dom swego ojca!... Nigdy!”

### **Rozdział III**

#### **Grecy przeciw Turkom.**

Łąd Grecji powstał w przedhistorycznych czasach, gdy stała skorupa ziemską kształtowała się dopiero pod wpływem sił morskich i wulkanicznych, wskutek przewrotu geologicznego. Przewrót ten wy dobył na powierzchnię morza tą część lądu, zatopił zaś część lądu stałego w okolicach archipelagu, którego najwyższe wierzchołki ostały się jako wyspy. Grecja leży rzeczywiście na linii wulkanów, ciągnącej się od Cypru aż do Toskanji<sup>16</sup>).

Zdaje się, że Grecy przejęli od swej niestałej ziemi skłonność do fizycznych i moralnych wzruszeń, która umożliwia im spełnianie bohaterskich czynów. Prawdą jest również, że dzięki swym wrodzonym skłonnościom, nieustraszonej odwadze, gorącemu umiłowaniu ojczyzny i wolności, zdołali



zjednoczyć w jedno państwo te wszystkie prowincje, którym przez wieki całe zagrażało jarzmo tureckiego panowania.

W zamierzonych czasach mieszkają tu Pelazgowie, z azjatyckich szczepów pochodzący. Od wieku szesnastego do czternastego przed Chrystusem, żyją tu Hellenowie, których jeden szczep, a mianowicie Graikowie nadał w owych mitologicznych czasach – Argonautów, Heraklidów i wojen trojańskich nazwę temu krajowi. W następnym czasokresie od Likurga zamieszkują tu Grecy, tacy jak: Miltjades, Temistokles, Arystydes, Leonidas, Aeschylus, Sofokles, Arystofanes, Herodot, Thucydides, Pythagoras, Sokrates, Plato, Arystoteles, Hippokrates, Fidjusz, Perykles, Alcybiades, Pelopidas, Epaminondas, Demostenes; następnie Macedończycy, jak Filip i Aleksander. W roku sto czterdziestym przed nar. Chrystusa, stała się Grecja, pod nazwą Achaja, na przeciąg czterystu lat prowincją rzymską.

Następnie zdobywają ją kolejno Wizygoci, Wandalowie, Ostrogoci, Bułgarzy, Słowianie, Arabowie. Normanowie i Sycylijczycy; z początkiem trzynastego stulecia była Grecja przez krótki czas pod panowaniem rycerzy krzyżowych. W piętnastym wreszcie wieku, dostał się ten, tak ciężko doświadczony kraj, w ręce Turków.

Na przeciąg dwu wieków zamarło wszelkie życie polityczne Grecji. Samowola urzędników tureckich, przechodziła wszelkie granice. Greków nie traktowano nawet jako podbitych lub zwyciężonych. Byli oni uważani wprost za niewolników, których smagać może bezkarnie bat baszy, wspomaganego z jednej strony przez imanów czyli duchownych, z drugiej zaś przez „djellah” czyli kata.

Jednak życie uciskanego kraju nie zamarło całkowicie. Dręczony kraj miał jeszcze raz powstać. Czarnogórcy z Epiru (w roku 1766), Maniaci (w roku 1769), Suljoci z Albanji powstałi wreszcie i zażądali niepodległości. Te wszystkie jednak dążenia zostały w r. 1804, przez baszę z Janiny, Alego de Tebelen, w okrutny sposób stłumione.

Teraz był już najwyższy czas, aby mocarstwa europejskie, o ile nie chciały dopuścić do kompletnej zagłady Greków, do tych spraw się wmisczały. Własnymi bowiem siłami nie mogła Grecja odzyskać niepodległości.

Naraz wezwał Ali de Tebelen, – który zbuntował się w r. 1821 przeciw sułtanowi Mahmudowi Greków na pomoc, obiecując im w zamian zwrócenie wolności. Powstali wszyscy. Przyjaciele nadciągali ze wszystkich krajów Europy. Włosi, Polacy i Niemcy a głównie Francuzi rzucili się ofiarnie do walki z ciemiężcami. Imiona Guy’a de Sainte Hélène, Gaillard’a, Chauvassaigne’a, kapitanów Balesty i Jourdaina, pułkownika Fabvier, rotmistrza Regnaud de Saint Jean d’Angély, generała Maison, oraz trzech Anglików, lorda Cochrane, lorda Byrona i pułkownika Hastingsa, wryły się głęboko w pamięci kraju, za który walczyli i umierali. Również i przedstawiciele najwybitniejszych rodów greckich znaleźli się obok tych, którzy się tak w walce o niepodległość odznaczyli. Wymienić tu należy: trzech Hydriotów: Tombasis, Tsamados i Miaulis, dalej Colocotroni, Marco Botsaris, Maurocordato, Mauromichalis, Konstanty i Demetrius Ypsilanti, Ulysse i wielu innych. Od samego początku

powstanie było krwawe, oko za oko, ząb za ząb, te zasady wywoływały najgorsze represje z obu stron.

W roku 1821 powstał Suljoci i Magna. W Patras ruszył jako pierwszy w bój biskup Germanos z krzyżem w ręku. Morea, Mołdawja i archipeląg skupiły się pod sztandarem wolności. Zwyciężywszy na morzu, zdobyli Grecy Trypolice. Na ten sukces odpowiedzieli Turcy rzezią Greków, zamieszkałych w Konstantynopolu.

W r. 1822 podczas oblężenia twierdzy Janiny padł Ali de Tebelen od skrytobójczej ręki w czasie posłuchania, którego udzielił mu generał turecki Kurszyd. Niedługo potem została flota Maurocordata i „przyjaciół Greków” zniszczona pod Artą; Grecy zwyciężają natomiast przy pierwszym oblężeniu Missolunghi, którą armja Omera Vrione, poniosłszy wielkie straty, musiała opuścić.

Od r. 1823 poczynają się obce mocarstwa bardziej tą kwestją interesować. Ofiarowują swe pośrednictwo sułtanowi. Sułtan odmawia i aby swej odmowie nadać większą wagę, wysadza na Eubeji dziesięć tysięcy azjatyckich żołnierzy. Główną komendę oddaje swemu wasalowi Mehemetowi Alemu, baszy Egiptu. W walkach stoczonych owego roku padł również Marco Botsaris, patriota, o którym można było powiedzieć: żył jak Arystydes, a umarł jak Leonidas.

W r. 1824 w czasie najkrytyczniejszym dla walki o wolność, wylądował w dniu 24 stycznia lord Byron w Missolunghi. Jednak już na Wielkanoc tego roku pada w walce pod Lepanto, nie doczekawszy się spełnienia swych pięknych marzeń. Ipsarjoci zostali przez Turków w pień wycięci, a miasto Kandja na Krecie poddało się Mehemetowi Alemu. Jedynie sporadyczne zwycięstwa na morzu były dla Greków jaśniejszymi momentami w tej nieszczęśliwej wojnie.

W r. 1825 wylądował Ibrahım Pasza, syn Mehemeta Alego, w Modon na Morei, z jedenastu tysiącami żołnierzy. Zdobył Navarino i pobit Colocotroniego w Trypolicy. W tym czasie rząd helleński oddał dwa korpusy regularnej armji pod dowództwo dwóch Francuzów, Fabviera i Regnauda de Saint Jean d'Angély. Zanim jednak wojska te przygotowały się do walki, spustoszył Ibrahım Messenię i Magnę. Ibrahım przerwał jednak działania wojenne w tych stronach, albowiem musiał wziąć udział w drugim oblężeniu Missolunghi, którego generał Kiutagi nie mógł zdobyć, mimo że, sułtan kazał mu powiedzieć:

„Albo Missolunghi, albo twoja głowa!”

Dnia 5 stycznia 1825 przybył Ibrahım – obróciwszy po drodze w perzynę Pyrgos – pod Missolunghi. W przeciągu trzech dni, od 25 do 28, rzucił na miasto osiem tysięcy bomb i kul, nie mogąc go jednak zdobyć mimo wielokrotnych szturmów i mimo, że miał przeciwko sobie tylko dwa tysiące pięćset wyczerpanych obrońców. Jednak dopiął w końcu celu, szczególnie gdy flota Miaulisa, która wiozła odsiecz została rozbita. Dnia 23 kwietnia zdobyte zostało Missolunghi, po oblężeniu, w czasie którego zginęło tysiąc dziewięćset jego obrońców. Żołnierze Ibrahıma wymordowali bezlitośnie

wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, słowem wszystko, co jeszcze pozostało przy życiu z dziewięciotysięcznej ludności miasta. W tym samym roku stanęli Turcy prowadzeni przez Kiutagę pod murami Teb, spustoszywszy przedtem Fokis i Beocję. Następnie wpadli do Attyki, otoczyli Ateny i poczęli oblegać Akropol, broniony przez tysiąc pięciuset Greków. Dla obrony tej cytadeli, która stanowiła klucz całej Grecji, wysłał nowy rząd Caraiskakisa, jednego z bohaterów z pod Missolunghi i pułkownika Fabviera z jego korpusem regularnego wojska. Bitwę, którą wydali pod Chaidari, przegrali, a Kiutaga mógł bez przeszkód kontynuować oblężenie Akropolu. W międzyczasie jednak wpadł Caraiskakis przez wąwozy Parnasu i pobił Turków pod Arachową w dniu 5-ego grudnia. Na polu bitwy wniósł pomnik zwycięstwa z trzystu odrąbanych głów nieprzyjaciół. W ten sposób uwolnił niemal całą północną Grecję.

Z walk tych skorzystali najbezczelniejsi z korsarzy, jacy kiedykolwiek istnieli, napadając na wyspy archipelagu. Najbardziej krwiożerczym i najśmielszym był pirat Sacratif. Na dźwięk tego imienia zamierały serca wszystkich mieszkańców portów lewantyńskich.

Po siedmiu jednak miesiącach, które upłynęły od początku niniejszego opowiadania, widzieli się Turcy zmuszeni cofnąć się do kilku jedynie miejscowości zachodniej Grecji. W roku 1827 odzyskali Grecy niepodległość od zatoki Ambracia aż po granice Attyki. Flaga turecka powiewała jeszcze tylko w Missolunghi, Voitsa i Naupaktes. Pod wpływem lorda Cochrane zaprzestała północna Grecja i Peloponez sporów wewnętrznych. W dniu 31 marca zgromadzili się przedstawiciele całego narodu w Trezene, przyczem najwyższą władzę oddano w ręce obcego, a mianowicie rosyjskiego męża stanu Capo d'Istria. Był on rodem z Korfu, a więc pochodzenia greckiego.

Ateny znajdowały się jednak w mocy Turków. Cytadela poddała się 5-go czerwca i w ten sposób cała północna Grecja musiała znowu znosić jarzmo tureckie. Jednak w dniu 6-go lipca, podpisała Anglja, Rosja, Francja i Austria umowę, mocą której uznały narodowość grecką, nic ukrócając jednak suwerenności Porty. W tajnym artykule zobowiązały się te państwa wystąpić wspólnie przeciw sułtanowi, gdyby tenże sprzeciwił się pokojowemu rozstrzygnięciu sporu.

Takie były najważniejsze wypadki tej krwawej wojny. Niechaj łaskawy czytelnik dobrze je zapamięta, albowiem pozostają one w ścisłym związku z naszym dalszym opowiadaniem,

Przytoczymy tu jeszcze pewne wydarzenia mające wpływ szczególnie na losy bohaterów niniejszego opowiadania.

Zająć się musimy przedewszystkiem Androniką, wdową po patrijocie Starkos.

Ówczesna walka o niepodległość kraju uczyniła bohaterami nie tylko mężczyzn, ale i niektóre kobiety, których imiona splotły się na zawsze z wydarzeniami owych czasów. Należy tu wymienić przedewszystkiem niejaką Bobolinę, urodzoną na małej wysepce leżącej u wejścia do zatoki Nauplja. W r. 1812 został jej mąż pojmany, odesłano go do Konstantynopola i tam z

rozkazu sułtana wbito na pal. Wtedy padło pierwsze hasło do powstania. W roku 1821 wyekwipowała Bobolina własnym kosztem trzy statki, których flagi miały wypisane słowa kobiet spartańskich „z nią lub na niej”. Opowiada o tym H. Belle wedle sprawozdania jednego starego klefity<sup>17</sup>. Na tych statkach pożeglowała aż do wybrzeża Małej Azji, chwyciła i paliła statki tureckie, z odwagą godną Tsamadosa lub Canarisa. Darowawszy następnie okręty nowemu rządowi, brała udział w oblężeniu Trypolicy, urządziła czternastomiesięczną blokadę Naupliji i zmusiła wreszcie cytadelę do poddania się. I ta kobieta, której życie podobne było do pięknej legendy, zginęła od sztyletu brata w jakimś sporze rodzinnym.

Jeszcze druga wybitna postać zasługuje na wzmiankę. I tu również ta sama przyczyna wywołała taki sam skutek.

Na rozkaz sułtana uduszono w Konstantynopolu ojca Modeny Mavrocinis, której piękność dorównywała jej wysokiemu urodzeniu. Modena podejmuje natychmiast czynny udział w powstaniu. Powoduje bunt mieszkańców Mykony, uzbraja statki, na których sama żegluguje, organizuje bandy gerylasów, którymi sama dowodzi, zatrzymuje armię Selima Paszy w wąwozach Peljonu i zachowuje się bohatersko aż do końca wojny, niepokojąc Turków w wąwozach gór Ftjotydy.

Należy również wspomnieć bohaterkę imieniem Kaïdos, która wysadziła w powietrze mury Vilji i biła się z nieustraszoną odwagą pod klasztorem Bogurodzicy. Jej matkę, Moskosę, która walczyła przy boku swego męża, miażdżąc Turków rzucanymi bryłami kamienia; Despo, która nie chcąc wpaść w ręce Muzułmanom, wysadziła się wraz z córkami, synowami i wnuczkami w powietrze. Dalej żony Kuljotów, a oprócz tego te kobiety, które wspomagały rząd nowoutworzony w Salaminie, dostarczając mu floty; Konstancję Zacharias, która wznieciwszy powstanie na równinach Lakonji, rzuciła się na Leondari, wiodąc za sobą pięciuset chłopów; a oprócz tego wiele innych, które nie szczędziły swej szlachetnej krwi w tej wojnie, i pokazały do czego są zdolni potomkowie dawnych Hellenów.

Podobnie również postąpiła wdowa po Starkosie. Pod imieniem Androniki – nie chciała bowiem używać nazwiska, które nosił jej wyrodny syn – wzięła udział w powstaniu, powodowana nieprzepartą żądzą zemsty jako też umiłowaniem wolności. Rzuciła w wir walki rewolucyjnej tylko swą własną osobę, albowiem nie była na tyle zamożną, by ekwipować statki lub wystawiać pułki żołnierzy, jak to uczyniła Bobolina wdowa po człowieku, którego stracono, bo chciał bronić kraju jak Modena, jak Zacharias.

W roku 1821 przyłączyła się Andronika do Maniatów, których przyzwał do siebie na śmierć skazany Colocotroni, po swej ucieczce i wylądowaniu w Scardamula, w dniu 18-go stycznia tego samego roku. Brała udział w pierwszej regularnej bitwie w Tessalji, gdy Colocotroni zaatakował mieszkańców Fameri i Kariteny, którzy sprzymierzyli się byli z Turkami na brzegach Rhufji. Brała również udział w walce pod Valtetsjo, dnia 1-go maja stoczonej, której wynikiem była ucieczka armii Mustafy Bega. Odznaczyła się szczególnie w czasie oblężenia Trypolicy, gdzie Spartanie zwalczali Turków, jako „tchórzliwych Persów”, a Turcy Greków, jako „bezsilne zające Lakonji”. W tym jednak wypadku zwyciężyły zające.

5-tego października musiała się poddać stolica Peloponezu, której flota turecka nie mogła od oblężenia uwolnić. Przez trzy dni szalał w tem mieście – wbrew umowie – miecz i ogień, pozbawiając życia dziesięć tysięcy Turków, bez względu na wiek i płeć.

W następnym roku widziała Andronika – służąca pod rozkazami admirała Miaulisa – jak w dniu 24 marca okręty tureckie, po pięciogodzinnej bitwie, rzucały się do ucieczki, chroniąc się w porcie Zante. Na jednym z okrętów jednak poznała swego syna, który jako pilot wskazywał drogę flocie tureckiej, przez zatokę Patras. Zrozpaczona tą hańbą, rzuciła się tego dnia w najgorętszy wir walki, by zginąć... Śmierć jednak nie przyjęła tej ofiary.

Mikołaj Starkos zaś kroczył dalej po drodze zbrodni. W kilka tygodni później połączył się z Karą Alim, który ostrzeliwał miasto Scio, na wyspie tejże nazwy. Brał również udział w tej straszliwej rzezi, w której zginęło dwadzieścia trzy tysiące chrześcijan, nie licząc tych czterdziestu siedmiu tysięcy, sprzedanych w niewolę na rynku smyrneńskim. Jednym z okrętów, które przewoziły tych nieszczęśliwych do kraju Barbaresków (Alger, Tunis, Trypolis), dowodził syn Androniki – Grek, których własnych braci w niewolę zaprzedał!

Gdy Hellenowie, musieli następnie stawić czoło połączonym siłom Turcji i Egiptu, nie pozostała Andronika w tyle, lecz postąpiła tak jak te bohaterskie niewiasty, o którychśmy przedtem wspomnieli.

Ten okres czasu był szczególnie tragicznym dla Morei. Ibrahim przywiódł tu swych dzikich Arabów, którzy byli jeszcze okrutniejsi niż Turcy. Andronika była w liczbie owych czterech tysięcy wojowników, których Colocotroni, mianowany głównodowodzącym armią peloponezką, zdołał zgromadzić pod swymi sztandarami. Ponieważ Ibrahim wyładował najpierw na wybrzeżu messeńskim, przeto zajął się przedewszystkiem uwolnieniem Koronu i Patras; następnie zdobył szturmem Navarino, którego cytadela stanowiła dobrą podstawę operacyjną, a port doskonałą ochronę dla floty. Spalił następnie Argos i zajął Trypolice; w ten sposób mógł przez całą zimę dokonywać napadów na sąsiednie prowincje. Cierpiała z tego powodu głównie Messenia. Również i Andronika, nie chcąc wpaść w ręce Arabom, musiała kilkakrotnie uciekać w głąb Magny. Mimo to jednak nie przeszła jej nawet przez głowę myśl o odpoczynku. Czy można odpoczywać w uciemionym kraju?

Widzimy ją przeto znów w wyprawach 1825 i 1826 roku, w walkach w wąwozach Vergi, po których Ibrahim schronił się na Polyaravos. Stąd znów wypędzili go Maniaci północy.

Później przyłączyła się do regularnych wojsk pułkownika Fabvier, w czasie walki pod Chaidari w lipcu 1826 r. stoczonej. Odniosła tu ciężkie rany i tylko odwadze pewnego młodego Francuza, który służył pod sztandarami „przyjaciół Grecji”, zawdzięczać mogła, że nie wpadła w ręce żołnierzy Kiutagi.

Przez wiele miesięcy walczyła ze śmiercią. Jej silny organizm zwyciężył jednak; mimo to minął rok 1826, zanim mogła znów wziąć osobiście udział w

walce. W tych, właśnie okolicznościach wróciła w r. 1827 w okolice Magny. Chciała odwiedzić swój dom w Vitylo. Przez dziwne zrządzenie losu znalazł się tam w tym samym dniu jej syn. Czytelnik wie, jak się to spotkanie zakończyło. Matka rzuciła z progu ojcowskiego domu ostatnie przekleństwo na syna.

Dziś, gdy ją już nic z ziemią rodzinną nie wiązało, odeszła znów, aby walczyć tak długo, dopóki Grecja nie uzyska zupełnej niepodległości.

Taki był stan rzeczy w dniu 10-go października 1827, gdy wdowa Starkos wyruszyła z Magny, aby przyłączyć się do Greków peloponezskich, którzy walczyli z Ibrahmem o każdą piędź ojczyźnej ziemi.

## Rozdział IV

### Smutny dom bogatego człowieka.

W czasie kiedy „Karysta” z powodów znanych tylko jej kapitanowi żeglowała ku północy, zaszedł na Korfu wypadek, który jakkolwiek natury zupełnie prywatnej, miał przecież zwrócić uwagę opinii publicznej na główne postacie naszego opowiadania.

Jak wiadomo przeszły wyspy Jońskie w myśl uchwał Kongresu wiedeńskiego, od roku 1815 pod protektorat Anglii. Do roku zaś 1814 były pod protektoratem Francji<sup>18</sup>.

W grupie tej obejmującej wyspy Cerigo, Zante, Kefalonję, Leukady, Naxos i Korfu, jest ta ostatnia najważniejszą, a zarazem i najbardziej na zachód wysuniętą. Jest to dawna Korcyra.

Wyspa ta, której królował szlachetny Alkinous, u którego bawili Jazon i Medea, i która przyjęła gościnnie Ulyssesa po wojnie trojańskiej, zajmuje godnie jedno z ważniejszych miejsc w historii starożytnej. Przechodziła ona różne koleje losu. Walczyli o nią Frankowie, Bułgarzy, Saraceni i Neapolitańczycy, następnie spustoszył ją w wieku szesnastym Chaireddin Barbarossa, w osiemnastym wziął ją w opiekę hrabia Szulenburg, a u schyłku niepodległości bronił jej jeszcze generał Doncelot. Obecnie była wyspa siedzibą wysokiego komisarza angielskiego, sprawującego rządu nad wyspami.

W owym czasie zajmował to stanowisko Sir Frederic Adam, gubernator wysp Jońskich. Wobec możliwości wybuchu walki między Grekami a Turkami miał on stale do rozporządzenia kilka fregat, które sprawowały służbę policyjną na sąsiednich wodach. Utrzymywanie porządku na archipelagu, który był na łasce i niełasce nie tylko Greków i Turków, lecz także piratów

morskich, którzy trudnili się łupieniem wszystkich okrętów, bez względu na narodowość, było zadaniem, nawet dla dużej dobrze uzbrojonej floty, niełatwym.

Później nieco zapoznamy się ze sporą garstką cudzoziemców przebywających na Korfu, rekrutujących się przeważnie z przybyłych na wyspę bojowników o niepodległość Grecji, którzy bądźto wyruszali stąd na pole bitwy, bądź też zażywali krótkiego wypoczynku po trudach wojny.

Z pomiędzy tych ostatnich musimy wymienić przede wszystkim pewnego młodego francuza. Pełen szlachetnego porywu dla sprawy wolności, brał on już od trzech lat czynny udział w walkach, których widownią był półwysep helleński i odegrał rolę bardzo wybitną. Henryk d'Albaret, porucznik królewskiej marynarki, jeden z najmłodszych poruczników, obecnie bezterminowo urlopowany, zaciągnął się zaraz z początku wojny pod sztandary „przyjaciół Grecji”. Liczył lat dwadzieścia dziewięć, był silnej budowy, umożliwiającej mu znoszenie niewygód życia marynarzy, wywierał swą powierzchownością niezwykle dodatnie wrażenie. Jego otwarte, szczere oczy oraz rzeczywiście piękna, męska twarz, budziły u każdego pewne uczucie sympatii, która potęgowała się w miarę bliższego poznania.

Henryk d'Albaret pochodził z bogatej rodziny paryskiej. Matki swej nie znał prawie. Ojciec odumarał go w chwili dojścia do pełnoletności, a więc w czasie gdy bawił już od dwu lub trzech lat w szkole morskiej. Jakkolwiek stał się panem okazałego majątku, nie rzucił jednak zawodu marynarza. Przeciwnie, pozostał wierny swemu zawodowi, – najpiękniejszemu może na świecie. Został mianowany porucznikiem właśnie wtedy, gdy w północnej Grecji i na Peloponezie greckie barwy stanęły do walki z tureckim półksiężycem.

Henryk d'Albaret nie wahał się ani chwili. Poszedł w ślady wielu innych męźnych młodzieńców, porwanych ogólnym prądem wolnościowym i wstąpił w szeregi ochotników, mających pod dowództwem francuskich oficerów dotrzeć aż do wschodnich rubieży Europy. Był on jednym z pierwszych „przyjaciół Grecji” (filhellenów), którzy przelali swą krew za sprawę niepodległości. Od roku 1822 walczył w szeregach zaszczytnie pokonanych w bitwie pod Arta, jak i wśród zwycięzców podczas pierwszego oblężenia Missolonghi. Był także świadkiem klęski Marka Botsara. W roku 1821 odznaczył się w potyczkach morskich, które były dla Greków zasłużonym odwetem za zwycięstwa Mehemeta Alego. Po upadku Tripolicy w roku 1825 znalazł się na czele jednego z oddziałów wojsk regularnych pod dowództwem pułkownika Fabviera. W lipcu 1826 walczył pod Chaidari w owej okropnej bitwie, która przyprawiła „przyjaciół Grecji” o tak poważne straty i uratował życie Androniki Starkos, której o mało co nie stratowała konnica Kiutagi.

Jednak Henryk d'Albaret nie myślał o opuszczeniu swego dowódcy, i połączył się z nim wkrótce w Methenie. W tym samym czasie bronił komendant Gouras na czele tysiąca pięciuset ludzi Akropolu ateńskiego. W cytadeli tej znalazły także schronienie kobiety i dzieci w ilości około pięciuset. Zaskoczone nagłym zajęciem miasta przez Turków nie mogły już uciec i skryły się już na Akropolu.

Gouras posiadał żywności na rok, czternaście armat i trzy moździerze. Amunicja jednak była już na wyczerpaniu.

Fabvier postanowił zasilić Akropol nowymi zapasami. Wezwał na ochotnika tych, którzy chcieliby wziąć udział w tem bardziej aniżeli ryzykownem przedsięwzięciu. Zgłosiło się pięciuset trzydziestu, między tymi czterdziestu „przyjaciół Grecji” a na czele tych naturalnie Henryk d’Albaret. Każdy z tych straceńców otrzymał worek prochu, poczem wsiedli wszyscy, pod dowództwem Fabviera, w Methenie na okręty.

13-go grudnia, wylądował ten mały korpus u stóp Akropolu, zdradził go jednakże promień księżycy. Turcy otworzyli gwałtowny ogień. „Naprzód!” rozległ się głos Fabviera. Nie zważając na to, że trzymany w ręku proch może każdego z nich przy lada uderzeniu rozerwać na sztuki, przedzierają się śmiałkowicie przez rowy strzeleckie ku otwartym bramom cytadeli. Oblężeni odpierają bohatersko ataki Turków. Lecz Fabvier jest ranny, drugi jego oficer zabity, a Henryk d’Albaret pada trafiony kulą. Wojska regularne zostały zamknięte w cytadeli, razem z tymi, którym tak po bohatersku pragnęły pomóc.

Młody oficer, który szczęśliwym trafem był tylko lekko ranny, dzielił teraz wraz z oblężonymi całą ich nędzę. Brakło pożywienia i ograniczało się ono w końcu do skromnych porcji jęczmienia. Dopiero po sześciu miesiącach kapitulacja Akropolu zwróciła mu wolność. Dnia 5 czerwca 1827 opuścił Fabvier wraz z ochotnikami i oblężonymi cytadelę ateńską, udając się na przygotowanych okrętach do Salaminy.

Wobec znacznego osłabienia, nie chciał Henryk d’Albaret pozostać w tem mieście i pożegłował na wyspę Korfu. Bawił tu już od dwóch miesięcy; przyszedł do zdrowia i czekał właśnie na chwilę, w której stanie znowu w pierwszych szeregach, gdy nagle nieoczekiwany wypadek otworzył przed tym, który dotychczas był tylko żołnierzem, nowe horyzonty.

Na Korfu, prawie u wylotu Strada Reale stał niepozorny dom, o nawpół greckim nawpół włoskim wyglądzie. Dom ten zamieszkiwał człowiek, o którym wiele mówiono, jakkolwiek ukazywał się on bardzo rzadko na ulicy. Był to bankier, nazwiskiem Elizundo. Nikt nie potrafiłby rozstrzygnąć, czy liczył on lat sześćdziesiąt, czy siedemdziesiąt. Od lat dwudziestu zamknął się w tem ponurem mieszkaniu, nie wychodząc zeń prawie zupełnie. Mimoto odwiedzali go przybysze z różnych krajów, – wierni klienci jego kantoru jeszcze częściej aniżeli przedtem.

Nie ulega kwestji, że ten dom bankowy robił dobre interesy, a uczciwość jego była ogólnie znana. Pozatem uchodził Elizundo za człowieka niesłychanie bogatego. Kredyt jego był wprost nieograniczony i przewyższał kredyty jego kolegów zawodowych w Dalmacji i na wyspach jońskich. Weksel akceptowany przez niego był równy złotej monecie. Unikał interesów niepewnych, był może nawet zbyt ostrożny, gdyż żądał zawsze jak najdalej idących gwarancji i referencji. Kasa jego była natomiast wprost niewyczerpaną. Dziwnym sposobem załatwiał Elizundo sam wszystkie interesy i utrzymywał tylko jednego człowieka w domu, – o którym później będzie mowa – który załatwiał zresztą tylko podrzędniejsze sprawy. Elizundo



był więc sam kasjerem i buchalterem. Nie było umowy, której by sam nie ułożył, ani też listu, którego by nie napisał własnoręcznie. W biurze jego nie było nawet nigdy praktykanta. Jasnym jest, że ta metoda nadawała jego interesom piętno tajemniczości.

Nikt nie mógł powiedzieć czegoś pewnego o pochodzeniu bankiera. Według domysłów pochodził on z Illirii, albo Dalmacji. Milczący zarówno o swej przeszłości jak i o teraźniejszości, nie udzielał się Elizundo zupełnie w sferach towarzyskich Korfu. Gdy wyspy były jeszcze pod panowaniem Francji, prowadził już taki sam tryb życia, jak obecnie w okresie rządów angielskiego gubernatora. W każdym razie nie należało wierzyć zbyt opowiadaniom o jego majątku, który fama stugębna obliczała na setki milionów; był on zapewne jednak bogaty, jakkolwiek w życiu swem zachował nadzwyczajną prostotę.

Elizundo był wdowcem gdy przybył na Korfu ze swą dwuletnią córeczką. Obecnie liczyła córka imieniem Hadżine lat dwadzieścia dwa, i żyła wraz z ojcem w tym ponurym domu, zajmując się prowadzeniem gospodarstwa.

Wszędzie, nawet w krajach Wschodu, gdzie nie brak pięknych kobiet, uchodziłaby Hadżine za niezwykle piękną, jakkolwiek twarz jej była zawsze powleczone smutkiem i powagą. Jakżeż mogła być wesołą twarzą dziewczęcia wychowanego w tak samotnym domu, bez matki, któraby czuwała nad dzieckiem i bez towarzyszkę któraby dzieliła z nią wszystkie radości i uczucia młodości? Hadżine była średniego wzrostu, o bardzo kształtnej postaci. Zawdzięczając swej matce greckie pochodzenie, była Hadżine pięknym typem kobiety z Lakonji, które jak wiadomo przewyższają wszystkie kobiety Peloponezu pod względem piękności.

Między ojcem a córką nie było uczuć cieplejszych i nie mogły też one wytworzyć się w tej atmosferze. Bankier żył samotnie i milcząco, jak ci, którzy nie znosząc światła, odwracają głowę lub przesłaniają oczy. Nie lubiąc towarzystwa zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym, był nadzwyczaj mało mówny nawet w koniecznych rozmowach ze swymi interesantami. Jakżeż mogła Hadżine znaleźć jakkolwiek urok w życiu swem, skoro za murami tego domu nie czuła nawet serca ojcowskiego!?

Na szczęście była w tym domu istota żyjąca wspólnym życiem Hadżine, smutna gdy twarz dziewczyny wyrażała powagę, wesoła zaś, gdy oblicze jej promieniało zadowoleniem. Istota, która żyła tylko dla swej młodej pani.

Czytelnik mógłby sądzić na podstawie tego opisu, że chodzi tu o wiernego, dobrego psa, jednego z owych „kandydatów na ludzi” według Micheleta lub „nieodstępного przyjaciela” wedle określenia Lamartina. Był to jednak tylko człowiek, który ze względu na swą wierność, na miano psa zasługiwał. Był on świadkiem narodzin Hadżine, spędzał później u jej kołyski długie godziny i usługiwał jej w wieku dziewczęcym.

Nazwisko jego brzmiało Xaris; był z urodzenia Grekiem i mlecznym bratem matki Hadżine, towarzyszył on bankierowi po jego ślubie w podróży na Korfu. W domu bankiera przebywał od lat dwudziestu z góry, zajmując tam stanowisko wyższe od zwyczajnego służącego; pomagał nawet niekiedy

bankierowi w jego pracy.

Xaris był typowym Lakończykiem, słusznej postaci, barczysty, o olbrzymiej sile fizycznej, pięknym obliczu i takich samych oczach. Ponad wspaniałym, czarnym wąsem posiadał długi, orli nos. Na głowie nosił ciemną wełnianą czapkę, na łądźwiach zaś piękną narodową „fustanellę”.

Xaris towarzyszył swej pani, udającej się albo na zakupy, albo do kościoła, bądź też przechadzającej się dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, którego tak małe ilości dochodziły do domu przy Strada Reale – nie odstępując jej ani na krok. Wielu młodych mieszkańców Korfu widziało Hadżine spacerującą bądźto po esplanadzie, bądź też na przedmieściu Kastrades, rozciągającym się nad zatoką tej samej nazwy. Iluż z nich próbowało już nieraz zapoznać się z jej ojcem. Bo i któż mógłby się oprzeć urokowi jej przepięknej twarzyczki i kogóż nie nęciły miliony jej ojca? Na wszystkie jednak propozycje tego rodzaju, odpowiadała Hadżine przecząco, a bankier nie próbował nawet nigdy wpływać na jej decyzję. Xaris jednak byłby całe swe własne szczęście oddał, aby swą panią widzieć szczęśliwą. Do tego był też może najbardziej, ze względu na swe bezgraniczne oddanie, upoważniony.

Tak przedstawiał się więc ten smutny dom, skryty samotnie w jednym z zakątków stolicy Korfury, do którego miał wejść wskutek dziwnego zrządzenia losu Henryk d’Albaret.

Stosunki młodego oficera z bankierem były początkowo jedynie handlowej natury. Opuszczając ojczyznę, umieścił Henryk gotówkę w pierwszorzędnym wekslach, opiewających na dom bankowy Elizunda. Stąd więc pobierał następnie potrzebną mu gotówkę i zapoznał się przy pewnej sposobności z Hadżine Elizundo. Piękność jej podbiła go odrazu, a obraz jej towarzyszył mu we wszystkich bitwach na polach Morei i Attyki.

Po upadku Akropolu nie miał Henryk d’Albaret nic lepszego do roboty, jak tylko powrócić na Korfu. Rana jego zagoiła się tylko powierzchownie. Niedostatek który cierpiał podczas oblężenia, podkopał jego zdrowie. Jakkolwiek nie mieszkał w domu Elizunda, bawił w nim jednak jako gość po parę godzin dziennie czyli spotkał go zaszczyt, którego nie dostąpił żaden z obecnych przybyszów na Korfu.

Henryk d’Albaret przeżył już tak trzy miesiące. Odwiedzanie domu Elizunda, początkowo pod pozorem uporządkowania interesów, stawało się dla młodego oficera coraz bardziej pociągającym i powtarzało się jak już wspomnieliśmy dzień w dzień. Hadżine podobała się mu nadzwyczajnie. Spędzał z nią długie godziny, wpatrując się w nią z zachwytem i chłonąc każde jej słowo. To zachowanie się młodego oficera nie mogło ująć uwagi dziewczęcia. Ze swej strony nie szczędziła mu pieczołowitej opieki, dzięki której Henryk d’Albaret przychodził szybko do zdrowia. Przy tej opiece musiał się młody oficer czuć znakomicie. Xaris nie usiłował również ukrywać dodatniego wrażenia, jakie na nim wywierał otwarty i sympatyczny Henryk d’Albaret i uczył wkrótce, że towarzystwo młodego oficera jest wprost niezbędne.

„Masz słuszność Hadżine, powtarzał młodej dziewczynie, Grecja jest zarówno moją jak i twoją ojczyzną, i nie powinniśmy zapominać o tem, że młody oficer cierpi tylko dlatego, że walczył za naszą ojczyznę.

– On kocha mnie – wyznała pewnego dnia otwarcie Xarisowi. Słowa te jednak wypowiedziała młoda dziewczyna głosem zupełnie spokojnym, zachowując zwyczajny ton swej mowy.

– A więc dobrze, musisz mu pozwolić, aby cię kochał! Ojciec twój starzeje się z dnia na dzień, ja również nie będę wiecznie przy tobie... W kim znajdziesz godniejszego obrońcę na całe życie jak nie w Henryku d'Albaret?

Hadżine milczała. Musiałaby wyznać, że i ona kocha go wzajemnie. Zrozumiałem jednak było, że nawet Xarisowi nie chciała zwierzyć się z tego uczucia. Sprawa ta jednak postąpiła już tak daleko, że nie mogła pozostać tajemnicą dla kół towarzyskich wyspy Korfu. Zanim więc wogóle zaczęto o tem mówić w domu bankiera, uważała opinia publiczna zaślubiny Henryka d'Albaret z Hadżine Elizundo za rzecz postanowioną.

Nie można również pominąć tej okoliczności, że bankier patrzył z przyjemnością na zainteresowanie młodego oficera, okazywane jego córce. Jakkolwiek serce jego było już nieczułe, obawiał się przecież o przyszłość swej córki, którą będzie musiał samą na świecie pozostawić, jakkolwiek los jej był pod względem materialnym zupełnie zabezpieczony. Zresztą kwestja pieniężna nie budziła u młodego oficera żadnego zainteresowania. Pytanie, czy córka bankiera była bogatą czy też biedną, nie zajmowało go nigdy. Miłość, którą czuł dla młodej dziewczyny wyływała z pobudek wyższych i nie miała nic wspólnego z tak poziomymi zagadnieniami. Czczył ją dla jej dobroci i piękności. Nietylko te dwie zalety wzbudziły w nim to uczucie, podziwiał w niej także szlachetność myśli, wielką inteligencję, jakoteż odwagę serca i był pewien, że tę odwagę okazałaby w razie potrzeby.

Aby upewnić się co do tych zalet, należało tylko słuchać Hadżine, gdy mówiła o nadludzkich wysiłkach Grecji w celu zrzucenia tureckiego jarzma. W tej dziedzinie zgadzały się pojęcia dwojga młodych ludzi w zupełności.

Ileż podniosłych chwil spędzili tak we dwoje – rozmawiając przytem w greckim języku, który Henryk d'Albaret opanował do tego stopnia, że władał nim jakby mową ojczystą. Podwójnie odczuwali radość, gdy dochodziły wieści o sukcesach na morzu, wyrównujących porażki poniesione na polach Morei i Attyki. Naturalnie, że przy tej sposobności musiał Henryk d'Albaret opowiadać wszystkie szczegóły przebytych walk i wymieniać po nazwisku wszystkich obcych, jak i synów Grecji, którzy się w tych okazjach szczególnie odznaczyli. Musiał mówić także o kobietach, w których ślady byłaby Hadżine Elizundo tak chętnie poszła, więc o swej Bobolinie, Modenie, Zacharji i Kaidos, jak również o mężnej Andronice, którą uratował z rzezi chaidaryjskiej.

Gdy pewnego dnia młody oficer wymienił to nazwisko, uczynił przysłuchujący się rozmowie bankier Elizundo jakiś ruch, który zwrócił uwagę jego córki.

„Co ci jest ojczyzna? zapytała.

– „Nic” odpowiedział bankier,

Poczem zwrócił się do Henryka i zapytał tonem człowieka pragnącego gwałtem ukryć poruszenie.

„Czy pan znał ową Andronikę?”

– Tak panie.

– Czy nie wie pan, co się z nią stało?”

– Nie wiem – odpowiedział Henryk, przypuszczam jednak, że po bitwie pod Chaidari powróciła do Magny, skąd pochodziła. Mam nadzieję, że prędzej czy później spotkam ją znowu na polu bitwy.

– Z pewnością – dorzuciła Hadżine – spotka ją pan na tym miejscu, na którym być powinna”.

Nikt nie pytał Elizundo o powód tego wywiadu i pewnym jest, że na wszelkie pytania odpowiedziałby tenże wymijająco. Córkę jednak mało wtajemniczoną w stosunki ojca, zdziwiło to niepomiernie. Czyżby istniał jakiś związek między jej ojcem a ową tak podziwianą Androniką?

W sprawach dotyczących wojny o niepodległość zachowywał Elizundo zupełną rezerwę. Komu życzył zwycięstwa, czy ujarzmionym, czy ciemnościom niktby nie odgadł; wątpliwem było zresztą, czy był człowiekiem zdolnym, do życzenia czegoś komukolwiek. Faktem jest tylko, że przez swych kurjerów otrzymywał zarówno listy z Turcji jak i z Grecji.

Należy podnieść jednak z naciskiem, że Elizundo nie dał nigdy młodemu oficerowi, walczącemu za wolność Grecji, odczuć w swym domu choćby cienia niechęci.

Henryk d'Albaret nie mógł już bardziej przedłużać swego pobytu; czując się na siłach postanowił doprowadzić do końca to, co uważał za swą powinność. Mówił też o tem coraz częściej młodej dziewczynie.

– To jest w rzeczywistości obowiązkiem Pana – odpowiedziała Hadżine. Jakkolwiek odjazd pański, panie Henryku, sprawi mi dużo bólu, to jednak uznaję, że nie może pan pozostać dłużej, zdala od swych towarzyszy broni. Jak długo Grecja nie wywalczy swej zupełnej wolności, tak długo nie należy w walce ustawać!

– Odjadę wnet Hadżine – rzekł pewnego dnia Henryk d'Albaret, lecz czy mogę wyruszyć z przeświadczeniem, że pani kocha mnie wzajemnie tak jak ja panią...

– Henryku, nie mam powodu ukrywać uczuć, które pan we mnie wzbudził. Nie jestem już dzieckiem i trzeźwo patrzę na przyszłość. Wierzę panu, dodała, podając mu swą rękę – niechże i pan mi wierzy! Zastaniesz

pan mnie po swym powrocie taką, jaką mnie pozostawiasz!”

Henryk uściśnął podaną mu rękę, widomy znak uczuć Hadżine i rzekł:

„Dzięki z całego serca! Tak, należymy już od tej chwili do siebie! I choć rozłąka nasza jest bardzo bolesną, jednak odchodzę z przeświadczeniem, że pani mnie kocha. Lecz przed moim odjazdem jeszcze, muszę pomówić z ojcem pani!... Chcę wiedzieć, czy zgadza się na nasz związek i czy nie należy obawiać się przeszkód z jego strony.

– To bardzo dobrze Henryku, odpowiedział młoda dziewczyna, ma pan już moje słowo, niechże pan zdobędzie teraz przyzwolenie ojca”.

Henryk d’Albaret mając zamiar wstąpić niedługo w szeregi, nie mógł zwlekać z wykonaniem swego postanowienia.

Niestety wypadki przybierały obrót dla sprawy wolności coraz bardziej niepomyślny. Konferencja londyńska nie wydała żadnego rezultatu i należało przypuszczać, że mocarstwa ograniczą się do dobrych rad, zachowując wobec sułtana neutralność.

Turcy zaślepieni powodzeniem, nie myśleli odstąpić od swych żądań ani o jotę. Jakkolwiek obecnie krążyły na morzu Egejskim dwie eskadry, jedna angielska pod dowództwem admirała Codringtona, a druga francuska pod admirałem de Rigny, zaś rząd grecki przeniósł się do Eginy, aby kierować stamtąd bezpieczniejszą walką, to jednak Turcy dawali wciąż dowody swej zaciekleści, która czyniła z nich strasznych przeciwników.

Było to do pewnego stopnia zrozumiałem, gdyż od dnia 7-go września spoczywała w porcie nawaryńskim flotylla, złożona z dwudziestu dziewięciu okrętów tureckich, egipskich i tunetańskich. Przywiozła ona olbrzymią ilość materiału wojennego, który Ibrahim postanowił zużyć w wyprawie, którą, gotował przeciw Hydriotom.

Henryk d’Albaret postanowił przyłączyć się do grupy ochotników na Hydrze.

Wyspa Hydra, położona u samego końca Argolidy, jest jedną z najbogatszych na archipelagu. Krwią i pieniędzmi walczyła ona dotychczas za sprawę Greków pod przewodem odważnych żeglarzy Tombasa, Miaulisa, Tsamadosa i wielu innych, których obawiali się najbardziej kapitanowie tureccy. Obecnie groził jej okrutny odwet.

Jeżeli więc Henryk d’Albaret chciał przybyć na Hydrę przed żołnierzami Ibrahima, nie mógł zwlekać dłużej z opuszczeniem Korfu. Dlatego też oznaczył wyjazd swój na dzień 21 października.

Stosownie do postanowienia przybył na kilka dni przedtem do Elizunda, prosząc go o rękę jego córki. Nie ukrywał przed nim tego, że Hadżine czuła by się również bardzo uszczęśliwioną jego przyzwoleniem. Pozatem chodziło przecież narazie tylko o jego zgodę, gdyż o zaślubinach mogła być mowa dopiero po powrocie Henryka d’Albaret. Nieobecność zaś jego miała zaś

wedle wszelkiego prawdopodobieństwa niedługo potrwać.

Bankierowi były znane dostatecznie stosunki młodego oficera. Wiedział, że jest bogaty, i że rodzina jego we Francji należy do powszechnie poważanych. Nie potrzebował też w tym kierunku żadnych wyjaśnień. Co do samej osoby bankiera, to był on znany jako człowiek bezwzględnie uczciwy i żaden cień nie padł nigdy na jego dom.

Ponieważ zaś Henryk nie poruszał spraw majątkowych, przeto i bankier o nich nie mówił; oświadczył tylko, że przyjmuje z przyjemnością propozycję młodego oficera i że uczyni go on szczęśliwym, zapewniając szczęście jego córce.

Wszystko omawiano bardzo chłodno, cel jednak został osiągnięty. Bankier zgodził się, wzamian za co córka obsypała go gorącymi podziękowaniami, przyjętymi przez bankiera ze zwyczajną rezerwą.

Wszystko układało się więc dla młodych ludzi jak najpomyślniej a z tego obrotu sprawy zadowolony był najbardziej Xaris. Ten godny człowiek płakał jak dziecko i byłby najchętniej uściskał młodego oficera.

Pobyty Henryka u Hadżine Elizundo miał się wkrótce skończyć. Zamówił on sobie miejsce na pewnym brygu lewantyńskim, wyruszającym do Hydry, w dniu 21 bieżącego miesiąca.

Jakie to były te ostatnie dni, które spędzał przy Strada Reale, tego chyba opisywać nie potrzeba.

Henryk d'Albaret i Hadżine nie rozstawali się niemal. Żywo rozmawiając, przesiadywali długie godziny w niskiej sali parterowej ponurego mieszkania. Szlachetne uczucie łączące ich nadawało tym pogawędkom specjalny urok i wpływało na złagodnienie poważnego tonu panującego dotychczas w ich rozmowie. Mówili sobie, że jakkolwiek ucieka przed nimi teraźniejszość, to przecież przyszłość do nich należy. Postanowili zatem patrzeć odważnie w oczy tej niepewnej teraźniejszości. Rozważali wszystkie sprzyjające i przeciwnie okoliczności, jednak bez cienia słabości lub zwątpienia. Podczas rozmów tych wzrastał tylko ich zapał dla sprawy, której Henryk d'Albaret zamierzał się na nowo poświęcić.

Pewnego wieczora, dnia 20 października dodawali sobie otuchy po raz ostatni, toteż rozmowa ich była prowadzona tonem nieco podnieconym. Następnego dnia miał młody oficer odjechać na teren walki.

Nagle wpadł do pokoju Xaris. Nie mógł mówić, tak był zadyszany wskutek szybkiego biegu. W kilku minutach przebiegł on całe miasto, od cytadeli do końca Strada Reale.

– „Co się stało... Co jest Xaris? Dlaczegoś taki zmieniony? zapytała Hadżine.

– Chciałem powiedzieć... przynoszę... nowinę!... Ważną... wielką nowinę!

– Mów więc... mów... Xarisie! napierał Henryk d'Albaret, nie wiedząc czy chodzi o nowinę smutną czy też wesołą.

– Nie mogę...! Nie mogę! odrzekł Xaris dławiąc się wprost ze wzruszenia.

– Czy jest to wiadomość wojenna? zapytała Hadżine Xarisa, ujmując go za rękę.

– Tak... tak!

– A więc mów! powtórzyła – mów nareszcie Xarisie!

– Co się stało?

– Turcy... pobici dziś... pod Navarinem!

W ten sposób dowiedzieli się Hadżine i Henryk o bitwie morskiej pod Navarinem, stoczonej 2 października.

Hałas, który uczynił Xaris, przywołał do pokoju bankiera Elizundo. Gdy dowiedział się o zaszłych wypadkach, przygryzł wargi, a czoło jego pokryło się bruzdami, nie okazał jednak radości ani smutku, podczas gdy młodzi ludzie dawali głośno wyraz swym uczuciom.

Wiść o bitwie pod Navarinem dotarła właśnie na Korfu. Zaledwie zdołała rozejść się po mieście, a już znano jej szczegóły podawane przez telegraf optyczny z wybrzeża albańskiego.

Eskadry angielska i francuska z pomocą rosyjskiej w łącznej liczbie dwudziestu siedmiu okrętów o tysiąc dwustu siedemdziesięciu sześciu działach, zaatakowały flotę turecką, torując sobie gwałtem drogę po przez zatokę Nawaryńską.

Jakkolwiek Turcy byli w przewadze, mieli sześćdziesiąt okrętów rozmaitej wielkości, uzbrojonych w tysiąc dziewięćset dwadzieścia cztery działa, ponieśli jednak zupełną klęskę. Wiele okrętów poszło na dno, niektóre zaś wyleciały w powietrze wraz z oficerami i załogą. Ibrahim nie mógł się więc teraz spodziewać, by flota sułtańska wspomogła go w wyprawie na Hydę.

Zaszedł tym sposobem rozstrzygający moment; od tej chwili nastąpił bardzo korzystny zwrot dla Grecji. Jakkolwiek owe trzy mocarstwa nie dążyły do zupełnego zniszczenia Porty, to przecież nie ulegało kwestji, że doprowadzą do wyrwania Grecji z pod jarzma tureckiego i uznają prędzej czy później niezależność młodego królestwa.

Te nadzieje żywiono też w domu bankiera Elizunda, a Hadżine, Henryk i Xaris klaskali w ręce z radości. Spiżowy głos armat z pod Navarinu obwieszczał wolność i niepodległość.

To zwycięstwo sprzymierzonych mocarstw zmieniło gruntownie postanowienia młodego oficera. Potęgę morską Turcji można było uważać za

zniszczonej. Wskutek tego też musiał Ibrahım zaniechać wyprawy na Hydrę. W rzeczywistości nie mogło już być nawet o tem mowy.

W następstwie tego zmienił Henryk d'Albaret swe przed dniem 20 października powzięte zamiary. Nie było narazie potrzeby spieszyć z pomocą ochotnikom zgromadzonym na Hydrze. Postanowił przeto poczekać na Korfu, aż się okażą skutki zwycięstwa pod Navarinem.

W każdym razie nie mógł teraz już nikt wątpić w losy Grecji. Europa nie dopuści do jej zniszczenia. W krótkim czasie będzie musiał półksiężyc ustąpić z całego półwyspu przed znakami wolności. Ibrahım zaś, którego panowanie, ograniczało się już teraz do miast nadbrzeżnych i środkowej części Peloponezu, będzie wnet zmuszony do zupełnego odwrotu.

Henryk d'Albaret nie wiedział z początku, w którą stronę półwyspu ma się zwrócić. Pułkownik Fabvier przygotowywał z pewnością wyprawę z Mitylene, aby wypędzić Turków z wyspy Scio. Przygotowania te były jednak dopiero w zaczątkach i musiały potrwać jeszcze dość długo. W tych warunkach więc należało uważać wyjazd za przedwczesny i bezcelowy. Tak zapatrywał się Henryk na położenie, a Hadżine zgadzała się z jego poglądami w zupełności. Wskutek tego odpadał jedyny powód, dla którego odkładano zaślubiny, tem bardziej, że Elizundo nie sprzeciwiał się przyspieszeniu tychże. Postanowiono zatem, że odbędą się one za dziesięć dni, to znaczy z końcem października.

Nie potrzeba chyba przedstawiać uczuć, które wzbudziła bliskość połączenia w sercach młodych ludzi. Nie było już teraz mowy o wyruszeniu Henryka na wojnę; rozwiła się groza długich godzin bolesnego wyczekiwania, które Hadżine miała przepędzić. Najbardziej szczęśliwym w tym dniu był jednak napewno Xaris. mógłby dobitniej okazywać swej radości, gdyby chodziło nawet o jego własne małżeństwo. Mimo swej powściągliwości dawał również bankier wyraz swemu zadowoleniu, los jego córki był zabezpieczony.

Zgodzono się na to, by całą sprawę trzymać w tajemnicy, uważając za bezcelowe, spraszać całe towarzystwo na ceremonję zaślubin. Ani Hadżine, ani też Henryk d'Albaret nie należeli do ludzi, którzy pragną mieć świadków swego szczęścia. W każdym razie wymagała uroczystość pewnych przygotowań, które też czyniono z pośpiechem.

Był już 23 października, a więc siedem dni jeszcze dzieliło ich od ślubu i nic nie wskazywało na to, by mogła zajść jeszcze jakaś przeszkoda lub zwłoka. A jednak zaszło coś przecież, co zaniepokoiłoby zapewne Hadżine i Henryka gdyby było doszło do ich wiadomości.

Owego dnia otrzymał Elizundo między innymi posyłkami pocztowymi list, którego treść uderzyła go jak grom. Drżał cały, podarł list i spalił go następnie, co u człowieka umiejącego panować nad sobą musiało świadczyć o silnem wzburzeniu.

Gdyby ktoś czujnie nadstawił swe ucho, usłyszałby pomruk bankiera:



– „Dlaczego list ten nie nadszedł osiem dni później! Przeklęta ręka, która go pisała!”

## Rozdział V

### Wybrzeże messeńskie.

Po opuszczeniu Vitylo, żeglowała „Karysta” przez całą noc w kierunku południowo-zachodnim, aby przepłynąć w poprzek zatokę Korońską. Mikołaj Starkos zamknął się w swej kajucie, nie zamierzając opuścić jej prędeż jak o świcie.

Wiatr był pomyślny, jeden z owych południowo wschodnich prądów panujących ponad temi morzami z końcem lata i początkiem wiosny, w czasie kiedy opary Morza Śródziemnego skraplają się w czasie zrównania dnia z nocą.

Rankiem opłynęła „Karysta” przylądek Gallo u samego końca Messeny. Szczyty Tajgetu znikły o wschodzie słońca w mgłę poranku. Gdy opłynięto cypel przylądka, ukazał się Starkos na pokładzie. Wzrok swój zwrócił ku wschodowi, lecz nie ujrzał już wybrzeża Magny. W stronie tej widział tylko szczyty gór Hagios Dimitrios w tyle nieco za owym podgórzem.

Kapitan podniósł rękę i wyciągnął ją na chwilę w stronę Magny. Nikt nie wiedział czy pozdrawiał swą ziemię rodzinną, czy też może groził jej, w każdym razie wzrok jego nie wróżył nic dobrego.

Pod naciskiem żagli, zwrócił się teraz okręt prawą stroną kadłuba na północny zachód. Ponieważ wiatr wiał od strony lądu, poruszano się ze znaczną szybkością.

„Karysta” pozostawiła poza sobą wyspy Oenusses, Cabrera, Sapienza, Venetico po lewej stronie swego kursu, dążąc prosto przez cieśninę oddzielającą wyspę Sapienza od lądu stałego i ujrzała wreszcie Modon.

Roztaczał się teraz przed okrętem krajobraz wybrzeża messeńskiego, z cudowną panoramą górską, zdradzającą charakter wulkaniczny. Messena stanowić miała po wskrzeszeniu królestwa greckiego, jedną z trzynastu nomachij<sup>19</sup>, tworzących wraz z wyspami jońskimi dzisiejszą Grecję. W owym czasie zaś była tylko terenem wojny i zmieniała swych panów stosownie do sukcesów jednej lub drugiej strony, wpadając raz w ręce Ibrahima, a raz znowu w ręce powstańców, podobnie jak była dawniej terenem trzech wojen messeńskich prowadzonych przeciw Sparcie, podczas których zabłyśły tak zaszczytnie nazwiska Aristomenesa i Epaminondasa.

Mikołaj Starkos, zbadawszy zapomocą busoli kierunek sakolewy, obserwował przez chwilę stan wiatru, poczem usiadł milcząco na tylnym pokładzie.

W międzyczasie na przednim pokładzie dawna załoga „Karysty” prowadziła żywą rozmowę z ludźmi świeżo z Vitylo zwerbowanymi. Było ich razem dwudziestu ludzi pod starszym bosmanem<sup>20</sup>, który dowodził nimi w myśl wskazówek kapitana. Drugi oficer bowiem nie bawił na pokładzie.

Głównym tematem rozmowy był naturalnie cel obecnej podróży „Karysty”, która żeglowała wciąż jeszcze wzdłuż wybrzeży Grecji. Nowi członkowie załogi zadawali przeważnie pytania, na które odpowiadała dawna załoga.

– „Nic można powiedzieć, by kapitan Starkos był wielomowny!

– To prawda że mówi bardzo rzadko, lecz gdy już powie, to zawsze coś takiego co ma sens i jest rozumne, dlatego też warto słuchać jego rozkazów”.

– Dokąd jedziemy właściwie?

– Nikt nie wie skąd i dokąd.

– Do diabła! Zawierzyliśmy mu, zaciągając się tutaj, nic nas to więc nie obchodzi?

W rzeczywistości, możecie jednak być pewni, że kapitan prowadzi nas tam, gdzie jest coś do roboty.

– No chyba z takim uzbrojeniem nie odważy się „Karysta” napadać na okręty handlowe?

– Nie jest też ona wcale do wypraw korsarskich przeznaczona. Kapitan Starkos posiada jeszcze wiele okrętów specjalnie dla kaperstwa<sup>21</sup> wykwipowanych. „Karysta” jest dlań tylko – jakby jachtem spacerowym. Widzicie przecie sami jak ona niewinnie wygląda, i jak łatwo może zmylić kłóżniki angielskie, francuskie, greckie lub tureckie.

– A udział w łupie?...

– Otrzymują go ci, którzy się do zdobycia łupu przyczynią i będziecie też do nich należeć po ukończeniu wyprawy. Napewne nie będziecie siedzieć z założonymi rękoma, a zato, że narazicie nieco wasze życie, otrzymacie godną zapłatę.

– Czyli nie ma narazie nic do roboty na morzach otaczających Grecję?

– Nic... ani też nawet na morzu Adryjatyckim, gdyby kapitanowi strzeliło do głowy nas tam poprowadzić. Aż do zmiany zarządzenia jest „Karysta” okrętem uczciwym i spokojnym, a my jesteśmy porządnymi żeglarzami, płynącymi niewinnie po morzu jońskim. Ale to się zmieni!

– Oby jak najprędzej!”

Czytelnik zauważy zapewne, że nowozaciężni podobnie jak i dawna załoga „Karysty”, byli ludźmi nie cofającymi się przed żadnym przedsięwzięciem. W ogólności trudno byłoby u tych mieszkańców Magny, którzy oddawali się żeglarstwu, znaleźć choćby cień takich uczuć jak wyrzuty sumienia lub choćby zastanowienia przed czynem. Byli ślepem narzędziem tego, któremu podlegali, a ten wiedział też, że może na nich liczyć.

Jeśli Witylińczycy znali Kapitana Starkosa, to nie znali drugiego oficera, który pełnił obowiązki plenipotenty na statku, będąc bezwzględnie zaufanym swego pana, oddanym mu duszą i ciałem. Nazywał się Skopelo i pochodził z Cerigotto, wyspy cieszącej się najgorszą sławą leżącej na południowym krańcu archipelagu między Cerigo a Kretą. Jeden z nowozaciężnych, zwrócił się wobec tego do bosmana:

- „A drugi oficer?
- Niema go na pokładzie!
- Czy nie zobaczymy go w ogólności?
- Ależ owszem.
- Lecz kiedy?
- Kiedy zajdzie potrzeba!
- A gdzie jest teraz?
- Tam gdzie być powinien”.

Tymi nic nie mówiącymi odpowiedziami musieli się ciekawscy zadowolić. Ponieważ w tej samej chwili rozległ się gwizdek bosmana zwołujący ludzi do hisowania żagli, więc rozmowa na przednim pomoście urwała się.

Należało mianowicie płynąć przeciw wiatrowi, aby w odległości jednej mili pożeglować wzdłuż wybrzeża messeńskiego. Około południa minęła „Karysta” Modon. Widocznie więc nie był to cel jej podróży. Nie zarzuciła również kotwicy w małym mieście na ruinach dawnej Metony zbudowanym. Miasteczko to leży u stóp wzgórz, ku wyspie Sapienza skierowanych. Szybko też znikła z przed oczu załogi latarnia morska, znacząca wejście do małego uczęszczanego portu.

Tymczasem dano sygnał z pokładu sakolewy. Flaga z krwawo czerwonym półksiężycem wywieszona została na reji najwyższego masztu. Łąd milczał jednak nie dając odpowiedzi, wobec czego „Karysta” pożeglowała dalej ku północy. Pod wieczór osiągnęła wejście do portu Nawarin. Jest to rodzaj jeziora słonego otoczonego wysokimi górami. Na chwilę ukazało się w oknie potężnej skały miasto z górującą ponad niem cytadelą otoczoną wysokim murem. Tu kończył się naturalny wał portowy łamiący wściekłą siłę wiatrów północno-zachodnich wiejących z nad Morza Adrjatyckiego.

Zachodzące słońce złociło jeszcze wierzchołki gór, znikających na wschodzie; przystań jednak była pogrążona w kompletnej ciemności.

Tym razem mogła załoga „Karysty” przypuszczać, że celem podróży jest Nawarin. Sakolewa żeglowała prosto do cieśniny Megalo-Thuro, na południu wyspy Sfakteria. Długość cieśniny wynosi około cztery tysiące metrów. Wznosiły się tu dwa groby wystawione na cześć poległych w wojnie, jeden z nich krył szczątki francuskiego kapitana Malleta poległego w r. 1825, drugi zaś na dnie groty się znajdujący, zwłoki hrabiego Santa-Rosa, włoskiego „przyjaciela Grecji”, byłego ministra Piemontu, który padł w tym samym roku za szlachetną sprawę.

Gdy sakolewa była oddalona już od miasta o dziesięć tylko sążni, zatrzymała się, zwracając kliwer przeciw wiatrowi. U wierzchołka wielkiej reji ukazała się teraz czerwona latarnia, zamiast poprzedniej flagi. I na ten sygnał jednak nie było odpowiedzi.

Widocznie nie miała „Karysta” nic do roboty w tej przystani, ożywionej w tej chwili licznymi okrętami tureckimi. Manewrowała więc w dalszym ciągu, by ominąć białą wyspę Kuloneski położoną pośrodku zatoki. Następnie na rozkaz sternika rozluźniono nieco szkoty<sup>22</sup> poczem skrzęcono ster i okręt zwrócił się znów ku brzegowi Sfakterji.

Na owej wyspie Kuloneski wzięli Grecy w roku 1823 kilkuset Turków podstępem do niewoli. Jeńcy ci zmarli później śmiercią głodową, mimo że poddali się tylko na zapewnienie, że wolno im będzie powrócić do ojczyzny.

Później zaś w roku 1825 napadł Ibrahım na Sfakterię bronioną przez samego Maurocordata i mszcząc się za rok 1823 wymordował ośmiuset Greków.

Sakolewa zwróciła się więc ku cieśninie Sikia szerokiej na dwieście metrów, między północnym cyplem wyspy i podgórzem Koryfazjon. Kto odważy się wypłynąć na ten kanał, ten musi znać go doskonale, gdyż jest on dla okrętów o głębszem zanurzeniu prawie niemożliwy do żeglugi.

Mikołaj Starkos jednak płynął tak pewnie, jakby go prowadził najlepszy przewodnik; ominął szczęśliwie poszarpane skały wyspy i pozostawił wkrótce poza sobą podgórze Koryfazjon. Gdy zaś później, na otwartym morzu ujrzął nadchodzącą eskadrę złożoną z okrętów francuskich, angielskich i rosyjskich, zeszedł jej roztropnie z drogi i krążył całą noc wzdłuż wybrzeża messeńskiego, między lądem stałym i wyspą Prodana, aby wczesnym rankiem podążyć wzdłuż zatoki wybrzeża ku spokojnym wodom zatoki arkadyjskiej.

Słońce wbiło się teraz ponad szczyty Itomy, skąd oko podróżnika widzieć mogło przed sobą dawną Messenę; po jednej stronie gubiło się w zatoce Korońskiej, po drugiej zaś w zatoce Arkadji. Wszędzie zaś widać było cudowny odbłask morza wraz z igrającymi po niem promieniami słońca.

Od świtu już manewrował Mikołaj Starkos w ten sposób, by zbliżyć się jak najbardziej do miasta leżącego w zagłębieniu wybrzeża, tworzącym

szeroką przystań.

Około godziny dziesiątej zjawił się pierwszy sternik sakolewy na tylnym pokładzie i stanął przed swym kapitanem, jakby w oczekiwaniu rozkazów.

Potężna linja gór Arkadii wznosiła się teraz przed oczyma podróżnych. W pośród głębokich lasów oliwnych i migdałowych, wśród winnic górskich widzieć można było ukryte wioski, lśniące strumyki, toczące z szelestem swe wartkie wody, ku jakiejś większej rzece. Wspaniałą tą panoramę uzupełniały rozpościerające się na wszystkich wzgórzach sławne winnice korynckie, nie pozostawiające ani piędzi wolnej ziemi – poniżej zaś, na terasach wzgórzy, czerwone domki miast podobne do wielkich kawałków chorągwi, rozpostartych na tle cyprysów.

Przy bliższym obejrzeniu przedstawiała Arkadja, dawna Kyparissia, najważniejszy port za czasów Epaminondasa, a później po wyprawach krzyżowych lenno Francuza Ville Hardouina, widok, dla człowieka pielęgnującego w swem sercu tradycje historyczne dość opłakany.

Przed dwoma laty mianowicie spustoszył Ibrahim miasto i wymordował wszystkie dzieci, kobiety i starców. W gruzach leżał zamek wybudowany na miejscu dawnego Akropolu; Kościół św. Jerzego zniszczony był również przez fanatycznych muzułmanów. Taki sam obraz przedstawiał szereg innych budynków publicznych i prywatnych.

– „Widać zaraz, że nasi przyjaciele Egipcjanie hulali tutaj sobie! mruknął Mikołaj Starkos, którego serce nie drgnęło nawet na widok straszego spustoszenia.

– I obecnie są tu Turcy panami, odrzekł pierwszy sternik.

– Tak... na długie czasy... a nawet możemy mieć nadzieję, że na zawsze dorzucił kapitan.

– Gzy „Karysta” spocznie tutaj czy też jedziemy dalej?”

Mikołaj Starkos obserwował uważnie przystań, już bardzo blisko się znajdującą. Później pobiegł wzrok jego o milę dalej, ku miastu leżącemu u stóp gór. Wahał się widocznie, nie wiedząc co ma uczynić, czy przybić do portu Arkadii, czy też popłynąć dalej na pełne morze.

Sternik oczekiwał wciąż na odpowiedź.

„Daj sygnał!” rozkazał wreszcie Mikołaj Starkos.

Czerwona flaga ze srebrnym półksiężycem ukazała się znów na reji wielkiego masztu.

W parę minut potem zawisła taka sama flaga na maszcie zbudowanym u wejścia do portu.

– „Na ląd!” zakomenderował kapitan. Skręcono ster i sakolewa zwróciła się ku przystani. Po ostrożnym przebyciu wąskiego wejścia biegł już okręt

szybciej. Później dopiero skrócono fok-żagle, następnie grot-żagiel i „Karysta” ślizgała się zwolna i spokojnie wzdłuż linii portowej; ba, ona byłaby nawet i bez pomocy żagli dopłynęła do środka kanału. Wreszcie zarzuciła kotwicę a marynarze poczynili natychmiast przygotowania poprzedzające lądowanie. Skoro tylko statek stanął nieruchomo, spuszczone łódź, do której wsiadł kapitan. Czterech wioślarzy doprowadziło ją w kilka minut do schodów wykutych w kamiennym nadbrzeżu. Na schodach tych oczekiwać kapitana jakiś człowiek, który pozdrowił go słowami:

„Skopelo oczekuje rozkazów Mikołaja Starkosa!”

Łaskawy ruch ręką był odpowiedzią Starkosa. Poszedł przodem w górę pagórka, ku pierwszemu domom miasta. Przeszedł ulice zdradzające jeszcze swymi ruinami niedawne oblężenie, a wypełnione obecnie żołnierzami arabskimi i tureckimi, poczem kapitan zatrzymał się przed przyzwoicie wyglądającą oberżą, na której szyldzie widniała głowa Minerwy i po krótkiej chwili namysłu wstąpił do niej wraz ze swym towarzyszem.

Minutę później spoczęli w jednej z izb, przed stołem, na którym siała flaszka raki, mocnej wódki wytwarzanej w krajach Lewantu. Z jasnego pachnącego tytoniu skręcono papierosy, poczem po zapaleniu tychże rozpoczęła się rozmowa dwu mężczyzn, przyczem jeden wobec drugiego starał się odgrywać rolę wiernego sługi. Fizjognomja Skopela wyrażała obok cech ordynarności, podstępność i złośliwość charakteru. Liczył lat pięćdziesiąt, na pierwszy rzut oka jednak wyglądał na znacznie starszego. Twarz jego była podobną do twarzy lichwiarza, oczy miał fałszywe, wzrok żywy, krzywy nos, ręce zakończone palcami, podobnymi do szponów. Nogi jego były tak wielkie, że słusznie możnaby tu zastosować dykteryjkę, która krąży o Albań-czykach: „Gdy wielki palec nogi jest w Macedonji, to pięta z pewnością w Beocji”. Okrągła twarz nie posiadała wąsów, natomiast siwą już prawie kocią bródkę. Silnie rozwinięta głowa była łysą, ciało chude, a wzrost średni.

Ten typ żyda arabskiego, jednak pochodzenia chrześcijańskiego, był bardzo ubogo ubrany, a to w kamizelkę i surdut, na wzór lewantyńskich marynarzy, ukryty pod szeroką narzutką.

Skopelo był właśnie takim gieszefciarzem, jakiego potrzebowali piraci do strzeżenia swoich interesów; był bardzo zdolnym w sprzedaży zdobyczy, tak martwej jak i żywej, to jest jeńców, eksportowanych do krajów Barbaresków.

Jaką rozmowę ci dwaj ludzie prowadzili, jakie były ich poglądy na ostatnie wypadki wojenne, i jakie korzyści z tychże wyciągnąć zamierzali, wywnioskujecie każdy z łatwością.

„Co słyhać w Grecji?” zapytał kapitan.

– To samo mniejwięcej, co wówczas gdy pan Grecję opuszczał. „Karysta” jednak krążyła dłużej niż przez miesiąc u wybrzeży Trypolisu, i od owego czasu zapewne nie miał pan żadnych wiadomości?

– W rzeczywistości – nie.

– Przedewszystkiem więc muszę pana uprzedzić, że flota turecka jest gotowa do przewiezienia Ibrahima wraz z jego wojskiem na Hydreę.

– Wiem o tem, rzekł Starkos, widziałem ich wczoraj, gdy mijałem przystań Nawarino.

– Czy od opuszczenia Trypolisu nie zatrzymywał się pan w żadnym porcie?

– Jeden jedyny raz. Parę godzin zatrzymałem się z Vitylo, by uzupełnić moją załogę. Gdy opuściłem jednak ziemię maniacką, nie otrzymałem już w żadnym porcie odpowiedzi na mój sygnał.

– To dowodzi, że nie było przyczyny, dla której miałby pan odpowiedź otrzymać.

– Powiedz mi, ciągnął dalej Mikołaj Starkos, co czynią obecnie Miaulis i Canaris.

– Ograniczają się do małych przedsięwzięć, które jakkolwiek przynoszą drobne sukcesy, nie doprowadzają jednak nigdy do zupełnego zwycięstwa. Piraci mają teraz łatwe zadanie, podczas gdy tamci polują na tureckie okręty.

– Czy mówią jeszcze ciągle o...?

– O Sacratifie? odpowiedział Skopelo głosem stłumionym. Tak kapitanie wszędzie i zawsze i tylko od niego zależy, by mówiono o nim jeszcze więcej.

– Tak też będzie!"

Mikołaj Starkos wypróżnił szklanekę, napełnioną przez Skopela. Przeszedł się po pokoju krokiem nerwowym, wreszcie założył ręce na piersiach i stanął przed oknem, nad słuchując dzikich śpiewów żołnierzy tureckich, dochodzących z daleka.

Po chwili usiadł znowu naprzeciw Skopela i nieoczekiwanie zmienił temat rozmowy.

– „Sygnał twój oznacza, że masz tu przygotowany ładunek jeńców?

– Tak – Mikołaju Starkosie i to tylu, że można nimi wylądować okręt objętości czterystu ton. Są to ci wszyscy, którzy ocalili z rzezi po upadku Cremmydi. Do diabła! Turcy zabili ich tym razem nieco za dużo, gdyby to tak dłużej było trwało, nie zostałby ani jeden człowiek przy życiu.

– Mężczyźni i kobiety?...

– Tak, dzieci także... Mieszanina.

– Gdzie ich trzymasz?

– W cytadeli Arkadyjskiej.

– Zapłaciłeś pewnie drogo?

– Hm, nie można powiedzieć, by pasza był bardzo ustępliwy. Mówi, że jego zdaniem wojna dobiega końca... niestety! Bez wojny nie ma bitwy, nie ma połowu jak mówią tam na wschodzie, bez połowu nie ma towaru ani żywego ani martwego. Gdy więc jeńcy są rzadkością, idą w górę w cenie, kapitanie! Wiem z dobrze poinformowanych źródeł, że na targach afrykańskich panuje wielki brak niewolników, sprzedamy więc tych tutaj po dobrych cenach.

– Możliwe – odpowiedział Mikołaj Starkos czy wszystko w porządku i możesz wsiąść na „Karystę”?

– Wszystko gotowe, i nic mnie tu już nie zatrzymuje.

– Więc dobrze, Skopelo. W ośmiu lub co najwyżej dziesięciu dniach, okręt mój przygotowany w Scarpanto, przyjmie ten cały transport na pokład. Wydadzą ich chyba bez trudności?

– Bez najmniejszej, sprawa jest załatwiona, lecz naturalnie za zapłatą. Będzie pan więc musiał porozumieć się w pierw z bankierem Elizundo, by zażyrował nasze weksle. Jego podpis jest dobry i weksle przez niego podpisane przyjmie basza na równi z gotówką.

– Zawiadomię go listownie, że przybędę wnet na Korfu, by rzecz tę osobiście załatwić.

– Tę jak również i inną, nie mniej ważną! przerwał mu Skopelo.

– Może... odrzekł kapitan.

– W rzeczywistości, sprawiedliwości musi się stać zadość... Elizundo jest bogaty... bardzo bogaty... jak mówią. Nic innego nie zrobiło go tak bogatym, jak handel z nami, którzy nie patrzymy na niebezpieczeństwo, że zawiśniemy na najwyższej reji, gdy wybijie godzina. Tak zaiste, nie można było sobie obrać lepszego zajęcia, jak być bankierem piratów morskich w tych czasach! Podtrzymuję moje zdanie: byłoby to tylko zadośćuczynieniem sprawiedliwości.

– Co mianowicie? zapytał kapitan, patrząc mu prosto w oczy?

– Czyżby pan tego nie wiedział?

Przyznaj pan, że pyta mnie pan tylko po to, by usłyszeć może po raz setny to, co pana tak bardzo zajmuje.

– A może?

– Córka bankiera Elizundo...

– Tak, stanie się zadość sprawiedliwości” zakończył Starkos rozmowę, powstając od stołu, poczem opuścił w towarzystwie Skopela oberżę pod



Minerwą, udając się do portu, gdzie oczekiwała nań łódź.

– „Wsiadaj, rzekł do Skopela, sprawę z Elizundem załatwimy natychmiast po przybyciu na Korfu. Gdy to się stanie, powrócisz natychmiast do Arkadii, by dopilnować wydania transportu.

– Na pokład więc!” odpowiedział Skopelo.

Zaledwie w godzinę potem opuściła „Karysta” zatokę. Zanim jednak zapadł zmrok, usłyszał Mikołaj Starkos głuchy odgłos strzałów armatnich niesionych echem z południa. Były to działa zjednoczonych eskadr, wstrząsające właśnie w tej chwili swym hukiem zatokę nawaryńską.

## Rozdział VI

### Przeciw piratom archipelagu.

Sakolewa żeglowała w kierunku północno-zachodnim, a więc przepływała obok wszystkich prawie wysp archipelagu. Wyspy te leżą tak blisko siebie, że nim jedna zniknie w dali, już ukazuje się druga na horyzoncie.

Wygląd „Karysty” nie zdradzał na szczęście jej prawdziwego charakteru; czyniła ona wrażenie uczciwego, lewantyńskiego statku, będącego nawpół jachtem spacerowym, a nawpół okrętem handlowym, inaczej bowiem kapitan jej nie byłby się odważył żeglować wprost na działa angielskich fortów i przepływać obok fregat zjednoczonego królestwa.

Zaledwie piętnaście mil morskich oddziela Arkadię od wyspy Zante, tego „kwiata Lewantu”, jak ją poetycznie zwą Włosi. Z zatoki, której fale „Karysta” właśnie pruć, widziano nawet zielony szczyt góry Scopos, której podnóża porośnięte są gęstymi lasami drzew oliwnych i pomarańczowych. Lasy te, zajęły miejsce wspaniałych borów, opisywanych przez Homera i Wergiljusza.

Wiatr był pomyślny; lekka morka<sup>23</sup>, wiała od strony lądu, leżącego na południowym wschodzie. Zwiększywszy ilość żagli na głównym maszcie, pruć sakolewa żywo wody cieśniny Zante, spokojne jak wody jeziora.

Pod wieczór ukazała się stolica, nosząca nazwę wyspy. Jest to miłe, włoskie miasto, które powstało w obrębie posiadłości Zakynthasa, syna Trojańczyka Dardanusa. Z pokładu „Karysty” można było dojrzeć tylko światła miasta, które zajmuje brzeg kolistej zatoki, na długość pół mili.

Światła te umieszczone w rozmaitych wysokościach, ciągnęły się od portu aż po szczyt dachu zamku zbudowanego przez Wenecjan. Czyniły one

wrażenie olbrzymiego gwiazdozbioru, którego najjaśniejsze punkty znaczą miejsca, w których wznoszą się pałace renesansowe i kościół św. Djonizego.

Mikołaj Starkos nie mógł oczywiście prowadzić z mieszkańcami, którzy zmienili się bardzo wskutek ciągłego obcowania z Wenecjanami, Francuzami i Rosjanami, takich interesów, jakie prowadził z Turkami na Peloponezie. Nie potrzebował więc dawać sygnałów strażnikom portowym, a tem bardziej nie miał potrzeby zarzucać kotwicy przy tej wyspie, która jest kolebką dwu sławnych poetów, Włocha Hugona Foscolo i Salomosa, ozdoby nowej Grecji.

„Karysta” żeglowała zatem na wodach cieśniny, która oddziela wyspę Zante od Achaji i Elidy. Nie jedno ucho na pokładzie czuło się urażone barkarolami, które dochodziły z wybrzeża. Chcąc nie chcąc, musiano się jednak spokojnie zachować. Sakolewa płynęła więc dalej przy dźwięku tych włoskich pieśni i następnego już ranka, znalazła się u wejścia do portu Patras, na wodach zatoki, której przedłużenie stanowią zatoka Lepanto i Istmus koryncki.

Mikołaj Starkos stał na przodzie „Karysty”. Wzrok jego ślizgał się po wybrzeżu Akarnanji, która ogranicza zatokę od północy. Z miejscowościami leżącymi tam wiążą się wielkie i pamiętne wypadki, które poruszyłyby serce każdego dziecka Grecji. Ten stracony syn jednak, zaparł się swej ojczyzny i zdradził ją już dawno.

„Missolonghi!” zawołał naraz Skopelo, wyciągając rękę ku północnemu wschodowi. Przeklęty naród! Ci ludzie wolą się wysadzić w powietrze, aniżeli poddać!”

Przed dwoma laty handlarze niewolników nic mieli tam nic do roboty, albowiem mieszkańcy Missolonghi, wyczerpani głodem i dziesięciomiesięczną walką, wysadzili miasto i forty w powietrze, nie chcąc poddać się Ibrahimowi. Ofiarą wybuchu padli mężczyźni, kobiety oraz dzieci. Również i zwycięzcy ucierpieli przytem nie mało.

W poprzednim zaś roku, w tej samej miejscowości, gdzie pogrzebany został Marco Botsaris, zmarł złamany na duchu lord Byron, bohater wojen o niepodległość. Śmiertelne jego szczątki sprowadzono później do Westminsteru. Jedyne jego serce pozostało na ziemi greckiej, którą tak gorąco umiłował, a która dopiero po jego śmierci odzyskała niepodległość.

Na uwagę, którą Skopelo poprzednio uczynił, odpowiedział Mikołaj Starkos tylko mimowolnym ruchem ręki. Sakolewa opuściła niebawem zatokę Patras i skierowała się ku wyspie Kefalonja.

Szybka „Karysta” nie potrzebowała dużo czasu na przebycie tej drogi, albowiem płynęła z rozpiętymi żaglami, a jej płaski pokład dotykał prawie powierzchni wody. Wiatr wzmógł się znacznie. Sternik musiał zwracać baczną uwagę na wszystko, aby uniknąć wypadku, który mógł się bardzo łatwo przy tak silnym naporze wiatru wydarzyć. Na szczęście maszty były silne, a ożaglowanie prawie nowe i w świetnym stanie, tak, że nie potrzebowano ściągnąć ani jednego żagla.

Sakolewa pędziła jakby chodziło o zdobycie nagrody szybkości w międzynarodowych zawodach.

Wkrótce minięto małą wyspę Paxos. Na północy poczęły się już okazywać łańcuchy gór na Korfu. Po prawej ręce przesuwało się wybrzeże albańskie, na którym widać było zygzakowatą linię gór Akrokerauńskich. Na ożywionych wodach morza Jońskiego przesuwały się liczne statki wojenne angielskie lub francuskie. „Karysta” nie starała się nawet unikać spotkania z niemi. Gdyby została wezwana do zatrzymania się, usłuchałaby bez wahania, albowiem nie miała na pokładzie ani ładunku ani papierów, któreby mogły zdradzić prawdziwy charakter statku.

O czwartej popołudniu, skręciła sakolewa nieco pod wiatr, aby wpłynąć w cieśninę, oddzielającą wyspę Korfu od stałego lądu. Ściągnięto szkoty, sternik skręcił o ćwierć rumbu<sup>24</sup> i opłynął przylądek Bianco leżący na południowym krańcu wyspy.

Południowa część kanału jest bardziej malownicza aniżeli północna i odbija się korzystnie od napół dzikiego wybrzeża Albanji. Nieco dalej cieśnina rozszerza się wskutek cofnięcia się wybrzeża korfiańskiego. Sakolewa mogła więc płynąć szybciej w ukośnym kierunku. Dzięki licznym zatokom wyspa ta mierzy w obwodzie sześćdziesiąt pięć mil, jakkolwiek największa jej długość nie przekracza dwudziestu, a największa szerokość sześciu mil.

Około godziny piątej minęła „Karysta” przesmyk, łączący jezioro Kalikiopulo, stary port hyllajski, z morzem. Następnie „Cannonę” wysadzaną aloesami i agawami, pełną zawsze powozów i jeźdźców, którzy o milę za miastem zażywają świeżego powietrza, mając przytem przed oczyma wspaniałą panoramę zamkniętą od strony cieśniny wybrzeżem albańskim.

Przepłynęła potem obok zatoki Kardakio, na której brzegu wznoszą się ruiny, następnie obok letniego pałacu lordów-komisarzy. Z lewej strony zostawiła poza sobą zatokę Kastrades, nad którą leży przedmieście tejże nazwy, dalej Stradę Marina, która jest raczej promenadą aniżeli ulicą, wkońcu więzienie, stary fort Zbawiciela i pierwsze domy stolicy Korfu. Następnie opłynęła „Karysta” przylądek Sidero, na którym wznosi się cytadela, tworząca miasto wojskowe, w którym znajduje się rezydencja komendanta, mieszkania oficerów, szpital i kościół grecki, który Anglicy przemienili na protestancką świątynię.

Następnie zwrócił się kapitan Starkos ku zachodowi, opłynął przylądek San Nicolo i wreszcie, minawszy wybrzeże, na którym wznoszą się budynki północnej części miasta, zarzucił kotwicę w odległości około stu metrów od molo<sup>25</sup> portowego.

Spuszczono łódź. Mikołaj Starkos i Skopelo zajęli w niej miejsca. Kapitan nie omieszkał wetknąć za pas, krótki szeroki nóż używany w prowincjach Messenji. Obydwaj wysiedli na ląd i udali się do urzędu zdrowia. Tam okazali swe papiery, znajdujące się w zupełnym porządku.

Następnie każdy z nich poszedł załatwić swoje sprawy. Umówili się

jednak, że spotkają się o godzinie jedenastej i powrócą razem na pokład.

Skopelo, który miał załatwić sprawunki dla „Karysty” skierował swe kroki ku handlowej dzielnicy miasta. Dzielnica ta, ze swemi wążkami kręconemi uliczkami o włoskich nazwach, sklepami pod arkadami i całym pstrym ruchem ulicznym przypomina jakąś dzielnicę Neapolu.

Mikołaj Starkos natomiast postanowił poświęcić wieczór na podsłuchiwanie nowin. Skierował się więc ku Esplanadzie, najelegantszej dzielnicy Korfu.

Ta Esplanada – niegdyś plac ćwiczeń – ocieniona pięknymi drzewami, leży między właściwym miastem a cytadelą, od której oddziela ją szeroka fosa. Przechadzali się tam zarówno obcy jak i mieszkańcy miasta zbitym tłumem jakby w dniu świątecznym. Kurjerzy spieszyli do pałacu, zbudowanego na północnej części placu przez generała Maitlanda i wychodzili stamtąd przez bramę Św. Jerzego lub Św. Michała, znajdujące się po bokach fasady zbudowanej z białego kamienia. Między pałacem gubernatora a cytadelą, której most zwodzony naprzeciw pomnika marszałka Schulenburga się znajdujący, był w tej chwili spuszczone, odbywała się nieustanna wymiana wiadomości i nowin.

Mikołaj Starkos wmieszał się w tłum. Zauważył niebawem, że ludzie byli niezwykle podnieceni. Ponieważ nie miał zwyczaju zadawać pytania, przeto poprzestał na przysłuchiwaniu się. Uwagę jego zwróciło głównie to, że w grupkach rozmawiających padało często imię Sacratifa, któremu towarzyszyły niezbyt pochlebne epitety.

Imię to zaciekawiło go również nie mało, mimo to wzruszył tylko lekko ramionami i poszedł w dół Esplanady, aż do terasy, która zamyka ją od strony morza.

Tam rozsiadła się grupka ciekawych dokoła okrągłej świątyni, zbudowanej niedawno ku pamięci Sir Thomasa Maitlanda. W kilka lat później wzniesiono w pobliżu obelisk ku czci jednego z jego następców, Sir Howarda Douglasa. Obelisk ten stanowić miał „pendant”, do już dawniej wzniesionego pomnika ówczesnego wysokiego komisarza, lorda Frederika Adama.

Gdyby protektorat Anglii nie zakończył się wskutek oddania wysp Jońskich Grekom, ulice i place Korfu wypełniłyby się wkrótce pomnikami namiestników. Korfioci nie ganili wcale tej rozrzutności w wznoszeniu spiżowych i marmurowych pomników, mimo że niejednen z nich miał powód do utyskiwania na rządy poprzednich namiestników angielskich.

Jakkolwiek zapatrywania w tym względzie były najrozmaitsze, jakkolwiek między siedemdziesięciu tysiącami mieszkańców dawnej Korcyry i między dwudziestu tysiącami mieszkańców stolicy znajdowali się chrześcijanie i żydzi, – zamieszkujący w owym czasie, osobną dzielnicę miasta, rodzaj ghetta, – jakkolwiek ci przedstawiciele dwu ras, mieli rozbieżne zapatrywania na ogół spraw z życiem codziennem związanych, to jednak dziś panowała dziwna zgodność poglądów objawiająca się w przeklinaniu jedyne go imienia, które wszystkim cisnęło się na usta:

Sacratif! Sacratif! Niech zginie i przepadnie!”

Czy spacerującymi byli Anglicy, czy Włosi, czy też Grecy, z których każdy wymawiał odmiennie znienawidzone imię, to jednak przekleństwa, którymi obsypywali je, wyrażały zawsze te same uczucia wstrętu i przestachu.

Mikołaj Starkos słuchał ciągle, nic jednak nie mówił. Z wysokości terasy mógł łatwo objąć wzrokiem wielką część kanału korfijskiego, który podobny do śródlądowego jeziora sięgał aż po szczyty gór Albanji, ozłoczone w tej chwili przez promienie zachodzącego słońca.

Zwróciwszy się w stronę portu, dostrzegł kapitan „Karysty”, że panuje tam ożywiony ruch. Liczne łodzie podpływały do okrętów wojennych. Okręty te wymieniały pilnie sygnały z cytadelą, na której wznosił się osobny maszt flagowy, podczas gdy forty ze swymi baterjami i kazamatami były skryte za ścianą ogromnych kaktusów.

Widocznie – wprawny żeglarz musiał to natychmiast spostrzec – jeden lub kilka okrętów przygotowywało się do opuszczenia wyspy. Gdyby tak rzeczywiście było, to należałoby było przyznać, że ludność Korfu żywo się tem interesowała.

Słońce skryło się tymczasem za wysokimi górami wyspy i niebawem musiała zapaść noc, albowiem zmierzch trwa w tych szerokościach geograficznych bardzo krótko.

Mikołaj Starkos postanowił więc opuścić terasę. Wrócił z powrotem na Esplanadę, gdzie pozostało jeszcze wielu spacerujących, których tu ciekawość zatrzymała. Następnie skierował się powolnym krokiem pod arkady domów, ciągnące się po zachodniej stronie placu ćwiczeń.

Nie brakło tu jasno oświetlonych kawiarni i licznych na chodniku ustawionych stolików, zajętych już w przeważnej części przez publiczność. Łatwo jednak można było dostrzec, że publiczność ta więcej „konwersowała” aniżeli „konsumowała”, o ile wogóle można użyć tego ostatniego, zbyt nowoczesnego słowa w odniesieniu do mieszkańców Korfu z przed stu lat.

Mikołaj Starkos usiadł przy małym stoliku z zamiarem nie stracenia ani słowa z rozmów, prowadzonych przy sąsiednich stolikach.

„Zaiste, rzekł jakiś właściciel statków ze Strada Marina, handel jest obecnie narażony na niebezpieczeństwa i nie można się wprost odważyć na wysłanie cenniejszego ładunku do składnic Lewantu.

– A wkrótce, dodał inny – wysoki Anglik, który zdawał się siedzieć na zwoju bawełnianej tkaniny – nie będzie można znaleźć człowieka, któryby się odważył pełnić służbę na statkach archipelagu.

– O, ten Sacratif!... ten Sacratif! rozległy się zewsząd głosy oburzenia.

– Imię to stworzone jest na to, by niejednemu napędzić porządnego

strachu, pomyślał właściciel kawiarni, a tem samem skłania każdego do wypicia czegoś na uspokojenie.

– O której godzinie nastąpi odjazd „Syphanty”? spytał kupiec.

– O ósmej, odpowiedział mieszkaniec Korfu. Oczywiście, że sam odjazd nic nie znaczy, trzeba też czegoś dokonać, dodał tonem, któżby zdradzał jego małe zaufanie do wyprawy.

– Dopnie ona celu! wtrącił inny Korfjota (mieszkaniec Korfu). Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że korsarz trzymał ją w szachu, podobnie jak flotę angielską...

– A również i flotę Grecji, Francji i Włoch! zauważył flegmatycznie jakiś angielski oficer, który chciał przy nadarzającej się okazji przypiąć łatkę i innym zaangażowanym państwom.

– Czas ucieka, rzekł kupiec powstając, i jeśli chcemy przypatrzeć się jej odjazdowi, to musimy udać się na Esplanadę.

– Nie, wtrącił inny, pośpiech jest zbyteczny. A zresztą odjazd „Syphanty” zostanie zasygnalizowany strzałem armatnim”.

Panowie prowadzili więc dalej rozmowę, a raczej przeklinali w dalszym ciągu Sacratifa.

Mikołaj Starkos uznał tę chwilę za odpowiednią do wmieszania się do rozmowy. Po mowie jego niktby nie poznał, że jest on Grekiem z południowej Grecji. Zwrócił się do swych sąsiadów i rzekł:

„Czy mogę się, moi panowie, dowiedzieć czegoś bliższego o tej „Syphancie”, o której każdy mówi?

– Jest to korweta<sup>26</sup>, mój panie, korweta, którą zakupiło konsorcjum kupców angielskich, francuskich i korfijskich. Zaopatrzona jest ona w załogę z tychże narodowości złożoną; dowodzi nią zaś dzielny kapitan Stradena. Może uda mu się dokonać tego, czego nie zdołały dokonać wojenne okręty Anglii i Francji.

– Ach, więc to jest statek uzbrojony. A na jakie morze odpływa?

– Na te morza, na których będzie mógł spotkać tego osławionego Sacratifa, schwytać go i powiesić.

– W takim razie muszę pana jeszcze prosić, ciągnął dalej Mikołaj Starkos, byś mi powiedział, kim jest ten Sacratif?

– Pan pytasz kim jest „Sacralif!” krzyknął zdziwiony mieszkaniec Korfu, któremu zawtórował Anglik, przeciągłem „ach”.

Zaiste, człowiek, który znajdował się w samym sercu Korfu i nic nie wiedział o Sacratifie, – którego imię było na ustach wszystkich – musiał wzbudzić ogólne zdziwienie.

Kapitan spostrzegł też natychmiast, jakie wrażenie jego nieświadomość wywołała i dodał pospiesznie:

„Jestem tu zupełnie obcym, moi panowie, rzekł; przybyłem dopiero co z Zary, a więc z najodleglejszej miejscowości nad Adrjatykiem, tak że zdarzenia rozgrywające się na morzu Jońskim są mi zupełnie nieznane.

– Powiedz pan raczej, zdarzenia rozgrywające się na całym archipelagu, zawołał mieszkaniec Korfu, albowiem polem zbrodniczych czynów Sacratifa jest cały archipelag.

– Ach, więc mowa tu o korsarzu...

– O piracie, o najbardziej bezczelnym korsarzu! zauważył długi Anglik. Tak, Sacratif zasługuje na to miano i na każdą nazwę, którą jeszcze wymyślą dla napiętnowania podobnych jemu zbrodniarzy!”

Anglik chwycił z trudem oddech.

„Dziwi mnie zaś, mój panie, ciągnął potem dalej, że można spotkać Europejczyka, który nic nie słyszał o Sacratifie.

– Pan wybaczy, odparł Mikołaj Starkos, samo imię jest mi znane; nie wiedziałem jednak, że to on wprawił całe miasto w poruszenie. Czy wyspie grozi może napad z jego strony?

– Niechby spróbował! zawołał kupiec. Nie będzie on na tyle lekkomyślny, by się na to odważyć!

– Ach... rzeczywiście? odpowiedział kapitan „Karysty”.

– Tak, mój panie, a gdyby to uczynił, nie uniknąłby stryczka. W każdym miejscu wyspy wzniosłyby się szubienice, aby go schwytać w przechodzie.

– Skąd jednak to ogólne wzburzenie? spytał Mikołaj Starkos. Bawię tu zaledwie godzinę i nie znam jeszcze powodu tego podniecenia...

– Powód, mój panie, przerwał mu Anglik, jest następujący: Sacratif zdobył przed miesiącem dwa statki „Three brothers” i „Carnatic”. Załogę, która wpadła żywa w jego ręce, sprzedał na targowiskach Trypolisu.

– To brzydka sprawa, odparł Mikołaj Starkos, będzie on musiał ciężko za nią odpokutować.

– Po tych wypadkach uzbroili tutejsi kupcy, własnym kosztem szybki żaglowiec. Jego wyborową załogą dowodzi nieustraszony żeglarz, kapitan Stradena, który urządzi polowanie na Sacratifa. Tym razem spodziewam się, że pirat, który paraliżuje cały handel archipelagu, nie uniknie szubienicy.

– Zapewne, zapewne, potakiwał Mikołaj Starkos.

– A dziś, objaśniał dalej angielski kupiec, gdy pan widzisz całe miasto w poruszeniu, gdy cała prawie ludność wyległa na Esplanadę, to dzieje się to z

powodu tego, że „Syhanta” podnosi kotwicę. Przy opuszczaniu kanału Korfu towarzyszyć jej będzie wielotysięczne „hurra”.

Mikołaj Starkos dowiedział się już widocznie o wszystkim, co go interesowało. Podziękował za udzielone mu wyjaśnienia; potem powstał, ażeby się wmieszać w tłum, który spacerował po Esplanadzie.

To co mu Anglicy i Korfijczycy opowiedzieli, nie było wcale przesadzone, lecz przeciwnie aż nadto prawdziwe. Od kilku już lat popełniał Sacratif przy swoich rabunkach najokropniejsze zbrodnie. Ten zuchwały i krwiożerczy korsarz złupił już niejednego statek, nie bacząc na jego narodowość. Nikt nie wiedział, z jakiego kraju przybył. Być może że należał do korsarzy żerujących na wybrzeżach kraju Barbaresków. Nikt nie wiedział nic pewnego. Nikt go nigdy nie widział. Ani jeden z tych, którzy dostali się kiedyś w obręb strzałów jego dział nie powrócił do domu. Mordował ich bowiem lub zaprzedawał w niewolę. Nawet okrętów, na których żeglował, niktby nie potrafił opisać. Przenosił się on bowiem ze statku na statek. Napadów dokonywał to na szybko mknącym brygu lewantyńskim, to znów na jednej z owych śmigłych korwet, których żaden okręt nie doścignie, zawsze jednak pod czarną flagą. Gdy w jakimś spotkaniu zmiarkował, że jest słabszy od przeciwnika, znikał jak kamfora. A w jakiej zapadłej zatoce archipelagu należało go potem szukać? Znał on doskonale wszystkie szlaki morskie, które innym statkom grożą nieuchronną zagładą. Hydrografia tych okolic szwankowała bowiem jeszcze bardzo w owym czasie.

Korsarz był nie tylko dobrym żeglarzem ale i podczas napadów sprawiał się dzielnie. Wspomagany zawsze przez załogę, która nie cofała się przed niczem, nie zapominał nigdy pozwolić jej na kilkugodzinny mord i grabież. Ci ludzie szli za nim przeto wszędzie, gdzie ich prowadził i spełniali każdy jego rozkaz. Poszliby za nim nawet w śmierć. Wywierał na nich taki wpływ, że pod groźbą najstraszliwszych kar nie byliby go zdradzili.

Gdy taka zgraja napadała na okręt, zwłaszcza handlowy, a więc niedostatecznie uzbrojony, to obrona miała bardzo małe widoki powodzenia.

Gdyby Sacratif, mimo swej ostrożności i chytryści, znalazł się kiedy wobec statku wojennego, to byłby się raczej wysadził w powietrze, aniżeli poddał. Opowiadano o nim nawet, że raz podczas walki, gdy mu zabrakło kul, nabijał armaty odciętymi głowami zabitych, którzy zalegali pokład.

Takim był człowiek, którego „Syphanta” miała ścigać, takim ten straszny korsarz, którego przekłute imię wzburzyło wszystkie umysły w stolicy Korfu.

Naraz padł strzał. Na jednym z wałów fortecznych wykwitła smuga dymu, po oślepiającym błysku. Był to znak do odjazdu. „Syphanta” podniosła kotwicę i udała się w drogę na południowe szlaki morza Jońskiego.

Tłum ludzi cisnął się na brzeg Esplanady i ku terasie, na której wznosi się pomnik Sir Maitlanda.

Mikołaj Starkos, którego porwało uczucie silniejsze od zwykłej ciekawości, znalazł się wkrótce w pierwszym szeregu widzów.



W jasnym świetle księżycy stawała się korweta coraz bardziej widoczną. Żeglowała pod wiatr, aby opłynąć wygodnie przylądek Bianco, który wrzyna się w morze na południu wyspy.

Z cytadeli padł drugi strzał armatni, a wkrótce trzeci. Na strzały te odpowiedziały trzy strzały, które rozświetliły otwory strzelnicze „Syphanty”. Grzmot strzałowi zagłuszył prawie wielotysięczne „hurra”, z których ostatnie dosięgło jeszcze korwety, mijającej już zatokę Kardakio.

Potem ucichło wszystko. Tłum rozpląnął się w uliczkach przedmieścia Kastrades, zostawiając na Esplanadzie jedynie tych, którzy tam dla załatwienia interesów lub spaceru zostali.

Jeszcze godzinę prawie pozostał zatopiony w myślach Mikołaj Starkos na pustym teraz prawie placu ćwiczeń. W głowie jego i sercu nie było jednak spokoju. Oczy jego pały blaskiem, którego powieki nie mogły prawie ukryć. Oczy jego padły jakby mimowoli na korwetę, która zniknęła właśnie za ostatnimi, ledwie widocznymi wzgórzami wyspy.

Dopiero gdy zegar na wieży kościoła Sanct Spiridion wydzwonił jedenastą, przypomniał sobie Mikołaj Starkos, że ma się spotkać ze Skopelem w pobliżu urzędu zdrowia. Przebył więc ulice, które wiodą do Nowego Fortu i niebawem znalazł się w porcie.

Skopelo oczekiwał go już.

Kapitan sakolewy podszedł doń i rzekł:

„Korweta „Syphanta” odpłynęła właśnie.

– Ach, odparł Skopelo.

– Tak... aby ścigać Sacratifa.

– Korweta czy jaki inny statek, to w zasadzie obojętne!” odparł Skopelo, wskazując równocześnie łódź przywiązaną do schodków portowych, kołyszącą się na ostatnich falach przypływu.

W kilka minut później łódź przybiła do boku „Karysty”; Mikołaj Starkos wszedł na pokład mówiąc:

„A więc jutro do Elizunda!”

## Rozdział VII

## Niespodzianka.

Nazajutrz około godziny dziesiątej, udał się Mikołaj Starkos znów na ląd i skierował się wprost do domu bankiera. Nie poraz pierwszy miał wejść do jego kantoru. Bankier przyjmował go zawsze jako klienta, którego ze względu na korzystne interesa należało wyróżniać z pomiędzy innych.

Elizundo znał go oczywiście; wiedział dość o nim. Nie było mu też obce, że był on rodzonym synem tej patrijotki, o której raz mówił z Henrykiem d'Albaret. Właściwie jednak nikt nie wiedział ani nie mógł wiedzieć, kim i czym był w rzeczywistości kapitan „Karysty”.

Mikołaj Starkos był widocznie oczekiwany albowiem przyjęto go natychmiast po przyjściu. List z Arkadii, który doręczono bankierowi przed czterdziestu ośmiu godzinami pochodził od niego. Zaprowadzono go przeto bezzwłocznie do biura, w którym przebywał bankier, zamykający się ze względów ostrożności na klucz, Elizundo i jego klient byli sami. Nikt nie mógł im przeszkodzić, nikt podsłuchać, co będą mówili.

„Dzień dobry Elizundo, rozpoczął kapitan „Karysty” siadając na fotelu, ze swobodą człowieka, który czuje się jak u siebie w domu. Już sześć miesięcy nie widziałem pana, jakkolwiek nieraz otrzymywał pan wiadomości odemnie. Nie mogłem jednak minąć Korfu, nie wstąpiwszy do pana, aby mu uściśnąć dłoń.

– Mikołaju Starkosie, nie przybyłeś pan tu jedynie w tym celu, aby mnie zobaczyć i zapewnić o swej przyjaźni, odparł bankier głuchym głosem. Czego pan chcesz odemnie?

– Ach, zawołał kapitan, po tych słowach poznaję mego dawnego przyjaciela Elizundo! Ani śladu uczucia, tylko interes. Widocznie dawno już zamknąłeś pan swe serce w skrytce kasy i zagubiłeś do niej klucz.

– Bądź pan tak uprzejmy powiedzieć mi, co pana tu sprowadza i dlaczego pisałeś do mnie przedtem? ciągnął dalej Elizundo.

– Tak, masz pan słuszność! Dość frazesów. Pomówmy poważnie! Sprawy, które mamy omówić, są bardzo ważne i nie cierpią zwłoki.

– List pański mówi o dwu sprawach, – rzekł bankier; jedna z nich wchodzi w obręb naszych zwyczajnych interesów, druga natomiast dotyczy pana osobiście.

– Całkiem słusznie, Elizundo!

– A więc mów, Mikołaju Starkos, pragnę poznać pańskie zamiary”.

Bankier mówił, jak widzimy, całkiem bez ogródek. Chciał, by klient jego oświadczył wprost i bez wykrętów, po co przyszedł. Jego bojaźliwy głos

jednak był w dziwnej sprzeczności ze stanowczym sposobem pytania. Jasnym było, że nie bankier był tu panem sytuacji.

Kapitan „Karysty” nie mógł też ukryć uśmiechu, którego jednak bankier, siedzący ze spuszczonej oczyma nie zauważył.

„Którą sprawę omówimy najpierw?” spytał Mikołaj Starkos.

– Tę, która dotyczy pańskiej osoby! odparł spiesznie bankier.

– Ja jednak wolę mówić przede wszystkim o tem, co mnie osobiście nie dotyczy, rzekł kapitan stanowczym tonem.

– A więc dobrze, słucham!

– Chodzi o transport jeńców, który musimy załadować na okręty w Arkadii. Jest tego dwieście trzydzieści siedem głów, mężczyzn, kobiet i dzieci, które trzeba dostawić na wyspę Scarpanto, skąd podejmuję się przewieźć je na wybrzeża Barbaresków. Jak panu z rozlicznych wspólnych interesów już wiadomo, wydają Turcy towar tylko za gotówkę lub na weksel z dobrym podpisem. Przychodzę więc po pański podpis, i liczę z całą pewnością, że nie odmówisz go Skopelowi, gdy ten się u pana z papierami do podpisu zjawi. Ta sprawa nie przedstawia żadnych trudności, prawda?”

Bankier milczał, milczenie to można było jednak uważać za zgodę na propozycję kapitana. Był on wprost zobowiązany do tego, albowiem już nieraz to czynił.

„Mogę jeszcze dodać – ciągnął dalej Mikołaj Starkos jakby od niechcenia, że interes nie będzie zły. W sytuacji Turków nastąpił zwrot ku gorszemu. Bitwa pod Nawarinem będzie miała dla nich jak najgorsze skutki, albowiem państwa europejskie zaczynają się w to mieszać. Gdy zostaną zmuszeni do zaprzestania wojny, nie będzie już jeńców, a więc i zarobków. Z tego również powodu ostatnie transporty, które kupujemy jeszcze na dogodnych warunkach, osiągną wysoką cenę na wybrzeżach Afryki. Zarobimy więc przy tem obydwaj. Czy mogę liczyć na pański podpis?”

– Zdyskontuję natychmiast pańskie weksle, odparł Elizundo. Nie będę więc potrzebował nic podpisywać.

– Jak pan, wolisz, odrzekł kapitan, wystarczyłby pański podpis. Przecież dotychczas nie wzbraniałeś się pan podpisywać.

– Dotychczas, to nie dziś, rzekł Elizundo, a dziś patrzę całkiem inaczej na te sprawy.

– Ach czy rzeczywiście? zawołał kapitan. Zresztą jak pan chcesz! Jednak czy prawda jest to co słyszałem, że zamierzasz pan wogóle zaniechać interesów?

– Tak, Mikołaju Starkos! oświadczył bankier stanowczym głosem, a co do pana... to ten interes będzie ostatnim, który razem robimy... o ile pan

wogóle obstajesz przy tem, abym i tym razem był spółnikiem.

– Tak, obstaję przy tem” odparł sucho Mikołaj Starkos.

Następnie powstał, przeszedł kilka kroków po gabinecie, przyczem wzrok jego nie wróżący nic dobrego spoczywał bez przerwy na bankierze. W końcu stanął tuż przed nim.

„Panie Elizundo, zaczął drwiącym tonem, musisz pan już być bardzo bogaty, gdy się chcesz wycofać z interesów.”

Bankier milczał.

„Powiedz mi pan zatem, ciągnął dalej kapitan, co zamierzasz z tym majątkiem począć, nie weźmiesz go chyba ze sobą na drugi świat? Byłby to zbyt ciężki bagaż w tej ostatniej podróży. Komu przypadną te miliony, gdy pana już tu nie stanie?”

Bankier milczał ciągle.

„Odziedziczy je zapewne pańska córka, piękna Hadżine Elizundo. Do niej należeć będzie kiedyś cały majątek jej ojca. Tak w rzeczy samej powinno się stać. Lecz cóż ona z nim uczyni? Taka samotna z tylu milionami?”

Bankier powstał z wysiłkiem i jakby składając zeznanie, którego waga zdawała się go przygniatać, wykrztusił:

„Moja córka nie pozostanie samotna!

Wydasz pan ją zamąż? odparł kapitan, a za kogo, jeśli łaska? Któż weźmie ją za żonę, gdy się dowie, skąd większa część majątku jej ojca pochodzi? Gdy zaś Hadżine Elizundo wie o tem, to. komu odważy się oddać swą rękę?

– Jakżeby mogła się o tem dowiedzieć? odrzekł bankier. Dotychczas nie wie o niczem, a kto jej o tem opowie?

– Ja, gdy zajdzie tego potrzeba.

– Pan?

– Tak, wysłuchaj mnie pan i zważ dobrze moje słowa, rzekł kapitan „Karysty” z naciskiem, gdyż nie poruszę już więcej tej kwestji, o której teraz będę mówił. Ten olbrzymi majątek, który zgromadziłeś, zawdzięczasz pan przede wszystkim mnie, i głównie tym niebezpiecznym interesom, przy których mogłem nałożyć głowę. Tylko na szmuglu towarów zrabowanych na okrętach i handlu niewolnikami podczas wojny o niepodległość wzbogaciłeś się pan tak ogromnie. Słusznie się zatem stanie, jeśli te miliony przejdą teraz w moje posiadanie. Jak panu wiadomo, nie choruję na przesady i nie będę się nigdy pytał, skąd pan swój majątek wziąłeś. Gdy wojna się skończy, zlikwiduję również i moje interesy. Ja też nie chcę być w życiu samotny i spodziewam się, zrozumiej mnie pan dobrze, spodziewam się, że Hadżine

Elizundo zostanie żoną Mikołaja Starkosa”.

Bankier opadł na krzesło. Rozumiał aż nazbyt dobrze, że znajduje się w mocy tego człowieka, który przez tyle lat był jego na wszystko się ważącym spółnikiem. Wiedział, że kapitan „Karysty”, chcąc osiągnąć swój cel, nie cofnie się przed niczem i nie wątpił ani na chwilę, że człowiek ten, gdy zajdzie potrzeba, odkryje bezlitośnie przed światem całą przeszłość tego wysoce cenionego domu bankierskiego.

Bankier miał tylko jedną odpowiedź na żądanie Mikołaja Starkosa. Nie zważając na możliwość głośnej kłótni, odrzekł nie bez wahania.

„Córka moja, Mikołaju Starkos, nie może zostać pańską żoną, albowiem wyjdzie ona za innego.

– Za innego! zawołał Mikołaj Starkos. Zaiste, przybyłem w odpowiedniej chwili. Więc córka bankiera Elizundo wyjdzie za mąż...?

– Za pięć dni.

– A za kogo?... spytał kapitan drżącym głosem.

– Za francuskiego oficera.

– Za Francuza? Z pewnością za jednego z tych „przyjaciół Grecji”, którzy walczą o jej wolność?

– Tak.

– A jego nazwisko?

– Kapitan Henryk d’Albaret.

– A zatem, mistrzu Elizundo, ciągnął dalej Mikołaj Starkos, zbliżając się jeszcze bardziej do bankiera i piorunując go wzrokiem, powtarzam jeszcze raz, że gdy kapitan Henryk d’Albaret dowie się kim pan jesteś, to na pewno nie zechce pańskiej córki za żonę. Zaś i córka pańska, gdy pozna źródło dochodów jej ojca, nic zechce zapewne zostać żoną Henryka d’Albaret. O ile pan dziś jeszcze nie zerwie zamierzonego związku, to jutro oboje narzeczeni dowiedzą się o wszystkim... Tak... tak, klnę się na djabła i na mą duszę, dowiedzą się o wszystkim!”

Bankier powstał raz jeszcze. Spojrzał ostro na kapitana „Karysty” i powiedział zrozpaczonym tonem, o którego szczerości nie mógł kapitan wątpić:

„Zgoda!... Lecz ja odbiorę sobie życie, Mikołaju Starkos i nie będę już dłużej hańbą mojej córki!

– A jednak, odparł kapitan, będziesz pan jej hańbą zarówno teraz jak i w przyszłości. Samobójstwo nie obali bowiem faktu, że Elizundo był tylko bankierem korsarzy archipelagu!”

Elizundo usiadł złamany, nie mogąc znaleźć odpowiedzi, kapitan zaś ciągnął dalej:

„Dlatego też nie zostanie Hadżine Elizundo żoną Henryka d’Albaret, lecz – czy chce, czy nie chce – żoną Mikołaja Starkosa!”

Jeszcze przez pół godziny toczyła się rozmowa między tymi dwoma ludźmi, z których jeden prosił gorąco, drugi zaś groził. Nie z miłości pragnął Mikołaj Starkos pojąć Hadżine za żonę. Jemu chodziło jedynie o miliony, które chciał posiadać, i żadne względy nie mogły go od tego postanowienia odwieść.

Hadżine Elizundo nie wiedziała nic o liście, który donosił o rychłym przyjeździe kapitana „Karysty”; od owego właśnie dnia ojciec jej stał się jeszcze bardziej smutny i ponury, niż zazwyczaj. Hadżine czuła, że jakiś tajemny smutek go gnębi, a gdy później zjawił się Mikołaj Starkos, nie mogła opanować żywego niepokoju. Znała bowiem tego człowieka, którego w czasie wojny nieraz w domu swego ojca widziała.

Czuła do niego mimowolną odrazę, z której nie umiała sobie zdać sprawy. On posyłał jej spojrzenia, które przejmowały ją wstrętem. Mówił do niej jednak zawsze o rzeczach obojętnych, tak jakby to mógł uczynić każdy inny klient jej ojca. Młode dziewczę zauważyło jednak, że ojciec jej, nawet przez dłuższy czas po odwiedzinach kapitana „Karysty”, chodził dziwnie przygnębiony a nawet jakby przerażony. Stąd pochodziła jej niechęć do Mikołaja Starkosa, jak dotychczas jednak, niczem nie usprawiedliwiona.

Wobec Henryka d’Albaret nie wspomniała jeszcze, nigdy o nim. Tylko stosunki handlowe bowiem mogły łączyć Mikołaja Starkosa z domem bankierskim, a o interesach swego ojca nie mówiła nigdy z Henrykiem, albowiem były one jej zupełnie nieznane. Młody oficer nie wiedział, co łączyło bankiera z Starkosem, podobnie jak i nie wiedział o pokrewieństwie kapitana z ową dzielną kobietą, którą znał tylko pod imieniem Androniki, a której uratował życie w bitwie pod Chaidari.

Również i Xaris przyjmował nieraz Mikołaja Starkosa w kantorze przy Strada Reale. I on, podobnie jak Hadżine, nie czuł doń zbyt sympatji; jednak to uczucie okazywało się u niego inaczej. Miał on bowiem silny i zdecydowany charakter. Podczas gdy Hadżine unikała o ile możliwości spotkań ze zniechęconym człowiekiem, Xaris pragnął gorąco spotkać się z nim i „porachować mu kości”, przy nadarzającej się okazji.

„Nie mam wprawdzie do tego prawa, rozumował, jednak jakiś powód jeszcze się znajdzie.

Z tego wszystkiego, możemy wnosić, że ostatnie odwiedziny kapitana „Karysty”, nie były mile widziane ani przez Xarisa ani przez Hadżine; wprosi przeciwnie. To też oboje odetchnęli z ulgą, gdy Mikołaj Starkos po dłuższej rozmowie z panem domu, z której nic nie usłyszeli, odszedł i skierował się w stronę portu.

Przez całą godzinę jeszcze pozostał Elizundo w zamkniętym gabinecie.

Nie słyszano nawet, by coś tam mówił.

Jednak ani Xarisowi ani Hadżine nie wolno było wchodzić do gabinetu bez zawołania. Ponieważ odwiedziny trwały tym razem wyjątkowo długo, trwoga ich rosła w miarę jak czas upływał.

Naraz rozległ się z gabinetu Elizunda głos dzwonka poruszanego nieśmiało drżącą ręką. Xaris otworzył posłusznie drzwi, które nie były już na klucz zamknięte i stanął przed bankierem.

Elizundo siedział złamany w fotelu. Wygląd jego wskazywał na to, że stoczył on ciężką walkę z sobą samym. Podniósł głowę i spoglądał na Xarisa, jakby nie mogąc go poznać; potem przetarł czoło ręką.

„Hadżine?” rzekł bezdźwięcznym głosem.

Xaris skinął głową na znak, że go rozumie i oddalił się. Natychmiast nadeszło młode dziewczę.

Bankier spuścił oczy i bez długich wstępów rzekł głosem, drżącym z bólu:

„Hadżine, tak musi się stać... Musisz zrezygnować z zamierzonego ślubu z Henrykiem d'Albaret.

– Co mówisz ojcze?... zawołało młode dziewczę, którą ten niespodziewany cios głęboko wzruszył.

– Tak musi się stać! powtórzył Elizundo.

– Powiedz mi jednak ojcze, czemu cofasz słowo mnie i jemu dane? Wiesz, że nie miałam nigdy zwyczaju dyskutować o twoich życzeniach, a i dziś również nie mam tego zamiaru, bez względu na to, jakie one są. Dowiem się jednak może od ciebie z jakiego powodu mam zerwać zamierzony związek z Henrykiem d'Albaret?

– Ponieważ tak być musi, Hadżine... ponieważ musisz zostać żoną innego!” wyszeptał Elizundo.

Córka zrozumiała go, mimo że tak cicho mówił.

„Żoną innego! zawołała, zraniona tym drugim ciosem równie głęboko, jak pierwszym. Czyją żoną?...

– Kapitana Starkosa.

– Tego człowieka! Tego człowieka!”

Słowa te wyrwały się mimowoli wargom Hadżine. Musiała się oprzeć o stół, aby nie upaść.

Cała jej istota podniosła bunt przeciw temu postanowieniu.

„Kochany ojczcie! zawołała. Nie umiem zdać sobie sprawy, co jest powodem tego rozkazu, który mi dajesz, może nawet wbrew twej woli. Tu kryje się jakaś tajemnica, której mi nie chcesz wyjawiać.

– Nie pytaj mnie o nic, odrzekł Elizundo, o nic!

– O nic, drogi ojczcie?... A więc niechaj będzie. Gdybym nawet chcąc ci być posłuszną, zrezygnowała z poślubienia Henryka d’Albaret, to jednak nigdy nie zostanę żoną Mikołaja Starkosa, choćbym to miała życiem przypłacić!...

– Tak jednak musi być! powtórzył Elizundo.

– Szczęście mego życia stawiasz tu na kartę! zawołało młode dziewicze.

– I mój honor.

– Któż, oprócz ciebie samego, może twoim, honorem rozporządzać? spytała Hadżine.

– Ktoś drugi jeszcze... A tym drugim jest Mikołaj Starkos!”

Przy tych słowach bankier powstał, oczy jego świeciły niesamowitym błyskiem, twarz jego wykrzywiła się, jakby porażona.

Na ten widok Hadżine przewyciężyła się. Przewyciężeniem nazwać bowiem trzeba to, że wychodząc powiedziała:

– Dobrze ojczcie... będę ci posłuszną!”

Kwiat jej życia został złamany, zrozumiała jednak, że bankiera łączy z kapitanem „Karysty” jakaś straszna tajemnica. Przekonała się, że ojciec jej znajduje się w mocy tego znienawidzonego człowieka. Poddała się więc i poświęciła! Honor jej ojca wymagał tej ofiary! Xaris podtrzymał ramieniem chwiejącą się dziewczynę i zaprowadził ją do jej pokoju. Tu dowiedział się o tem, co zaszło. Pierwszym skutkiem tego było, że nienawiść jego ku Mikołajowi Starkos wrosła dwukrotnie.

Po upływie godziny przybył jak zwyczajnie Henryk d’Albaret. Jedna ze służących zawiadomiła go, że nie będzie się mógł z Hadżine zobaczyć. Zażądał, aby go dopuszczono do bankiera... Odpowiedziano mu, że bankier nie może go przyjąć. Chciał wreszcie pomówić z Xarisem... Xarisa nie było w kantorze.

Zaniepokojony, powrócił Henryk d’Albaret do hotelu. Takich odpowiedzi nie słyszał nigdy dotychczas. Postanowił pójść jeszcze raz wieczorem i oczekiwał tej chwili z nieopisaną trwogą. O godzinie dziewiątej doręczono mu list. Spojrzawszy na adres, rozpoznał, że pisała go ręka Elizunda. List zawierał tylko parę zdań:

*„Prosi się Henryka d’Albaret, aby zaręczyny z córką bankiera Elizundo uważał za zerwane. Z powodów, które z jego osobą nie mają nic wspólnego,*



*związek ten nie może być zawarty. Pan Henryk d'Albaret wyświadczy podpisanemu wielką przysługę, jeśli zaprzestanie bywać w domu bankowym.*

*Elizundo”.*

Początkowo nie rozumiał młody oficer ani słowa z tego co czytał. Potem przeczytał list jeszcze raz. Czuł się zupełnie złamany. Co zaszło w domu Elizunda? Skąd ta odprawa? Wczoraj dopiero opuścił dom, w którym czyniono ostatnie przygotowania do jego ślubu. Bankier zachowywał się wobec niego tak jak zawsze. Również i młoda dziewczyna nie okazała mu niczem, że jej uczucia względem niego się zmieniły.

*„Jednak list ten nie pisała nawet Hadżine. Podpis brzmi Elizundo!... Nie! Hadżine nie wiedziała i nie wie jeszcze zapewne, co jej ojciec do mnie napisał. Zmienił on swe postanowienie bez jej wiedzy. Dlaczego?... Nie dałem żadnego powodu do tego... o, postaram się dowiedzieć jaka przeszkoda wyrosła między Hadżine a mną!”*

Ponieważ w domu bankiera nie chciano go przyjąć, przeto napisał list, w którym prosił o podanie mu powodów zerwania związku, który wkrótce miał zostać zawarty.

List ten pozostał bez odpowiedzi. Napisał jeszcze dwa: to samo milczenie.

Teraz zwrócił się wprost do Hadżine. Zaklinał ją na jej miłość, aby mu odpowiedziała, choćby tyle tylko, że się już nigdy nic zobaczą. Nie było odpowiedzi.

List jego nie doszedł prawdopodobnie wogóle do rąk młodej dziewczyny. Henryk d'Albaret musiał tak przypuszczać. Znał ją bowiem na tyle, aby być pewnym, że dałaby mu żądane wyjaśnienie.

W swej rozpaczycy starał się teraz spotkać Xarisa. Nie opuszczał wprost Strada Reale. Całymi godzinami spacerował obok domu bankiera. Nadaremnie. Xaris nie wychodził wogóle z domu, czy to posłuszny rozkazom bankiera, czy też ulegając prośbom Hadżine.

Na tych bezskutecznych usiłowaniach zeszyły dni 24 i 25 października. Henryk d'Albaret sądził, że jego cierpienie i twoga przeszły już wszelkie granice. Mylił się jednak.

W dniu 26 rozeszła się bowiem wieść, która miała go jeszcze ciężiej dotknąć.

Nie tylko, że zerwano jego zaręczyny z Hadżine Elizundo – zerwanie to było już całemu miastu wiadome – lecz na dobitek, miała jeszcze Hadżine oddać swą rękę innemu.

Henryk d'Albaret usłyszawszy tę nowinę, poczuł się zgubionym. Ktoś inny, a nie on, miał zostać małżonkiem Hadżine!

*„Muszę się dowiedzieć, kto to jest! zawołał. Niech nim będzie kto chce,*

*muszę się dowiedzieć!... Dotrę aż do niego!... Zapytam się go i będzie musiał, chcąc czy nie chcąc, odpowiedzieć mi!"*

Młody oficer nie potrzebował długo czekać, aby dowiedzieć się nazwiska rywala. Ujrzał go wkrótce wchodzącego do banku. Gdy tamten opuścił kantor, poszedł za nim aż do portu, w którym go oczekiwała łódź. Następnie widział go znikającego na pokładzie sakolewy, stojącej niedaleko brzegu.

Był to Mikołaj Starkos, kapitan „Karysty”.

Stało się to 27 października. Dalej dowiedział się Henryk d’Albaret, że ślub Mikołaja Starkosa z Hadżine Elizundo odbędzie się niebawem, i że wszystkie przygotowania czyni się z pośpiechem.

Uroczystość zaślubin miała się odbyć trzydziestego w kościele świętego Spirydjona, to jest w tym samym dniu, który przedtem przeznaczony był na ślub Henryka d’Albaret. Nie on jednak miał być nowożeńcem! Miejsce jego zajął ów kapitan, o którym nie wiedziano skąd przybył i dokąd się uda.

Pod wpływem wściekłości, której nie mógł opanować, zdecydował się Henryk d’Albaret odszukać Mikołaja Starkosa, choćby nawet miał pójść za nim aż na stopnie ołtarza.

Chciał go wyzwąć na pojedynek. O ile go nie zabije, to może sam zginie i w ten sposób uwolni się od tej sytuacji, w której nie mógł się dłużej znajdować.

Nadaremnie perswadował sobie, że ślub ten odbędzie się za zgodą Elizunda. Nadarmo powtarzał sobie, że ten, który rozporządził ręką Hadżine, jest jej ojcem.

„Tak, ale to się dzieje wbrew jej woli!... Ulega jakiemuś przymusowi, który ją oddaje w ręce tego człowieka... Poświęca się!”

W ciągu dnia 28 października starał się Henryk d’Albaret spotkać Mikołaja Starkosa. Czatował nań w tym miejscu, w którym wysiadał na ląd, stał godzinami u wejścia do kantoru. Wszystko nadaremnie! A za dwa dni miał się odbyć ten zbrodniczy ślub. W ciągu tych dwa dni ważył się młody oficer na wszystko. Starał się rozmówić z Hadżine lub też dostać w swe ręce Mikołaja Starkosa.

W tem zaszedł nieoczekiwany wypadek, który zmienił za jednym zamachem całą sytuację.

W ciągu popołudnia 29 października, rozeszła się pogłoska, że bankier zachorował na zapalenie mózgu.

I rzeczywiście, w dwie godziny potem Elizundo zmarł.

## Rozdział VIII

### O dwadzieścia milionów.

Nikt narazie nie mógł przewidzieć jakie będą skutki tego wypadku. Gdy Henryk d'Albaret dowiedział się o nim, sądził z początku, że jest to zmiana dla niego bardzo korzystna. W każdym razie termin zamążpójścia Hadżine Elizundo przesunął się o pewien czas. Nie zważając na to, że młoda dziewczyna ugina się zapewne pod ciężarem pierwszej boleści, udał się oficer natychmiast do domu przy Strada Reale. Nie dopuszczono go jednak ani do Hadżine, ani do Xarisa. Musiał więc uzbroić się w cierpliwość.

O ile Hadżine zgodziła się na poślubienie Mikołaja Starkosa tylko na prośby ojca, to obecnie po jego śmierci można było do małżeństwa nie dopuścić.

Ten tok myśli był zupełnie logiczny i prowadził w każdym razie do konkluzji, że szansę d'Albaretu poprawiły się znacznie, podczas gdy szansę Starkosa uległy znacznemu pogorszeniu.

Nie należy więc dziwić się, że następnego dnia na pokładzie sakolewy skierował Skopelo rozmowę na ten temat.

Drugi oficer „Karysty” powróciwszy na pokład o godzinie dziesiątej zrana, przyniósł pierwszy tę nowinę, która poruszyła całe miasto.

Wbrew przypuszczeniom, wiadomość ta nie wprawiła kapitana w gniew, którego należałoby się spodziewać już przy pierwszych słowach Skopela. Mikołaj Starkos umiał panować nad sobą i nie lubiał rzucać na wiatr słów w sprawach już bezpowrotnie przepadłych.

– „Ah, więc Elizundo nie żyje? zagadnął kapitan Skopela.

– Tak, nie żyje.

– Czyżby odebrał sobie życie? mówił dalej Starkos nawpół do siebie, nawpół zaś do siwego oficera.

– Nie, odrzekł Skopelo, z pewnością nie. Lekarze stwierdzili, że tknęła go apopleksja...

– Która go zabiła natychmiast?...

– Mniej więcej. Stracił natychmiast przytomność i zmarł niedługo potem,

nie wyrzekłszy ani słowa.

– Tem lepiej, że tak się stało.

– Bezwzględnie, kapitanie, szczególnie teraz, gdy sprawa Arkadii została załatwiona...

– Zupełnie, zapewnił Mikołaj Starkos. Weksle nasze są zeskontowane i możesz teraz zażądać wydania jeńców za brzęczącą monetę.

– Do diabła, masz rację kapitanie! Jest już najwyższy czas. Lecz gdy jedna sprawa będzie załatwiona, co sianie się z drugą?

– Z drugą...? odpowiedział Mikołaj Starkos spokojnie. Drugą sprawę doprowadzimy do końca zupełnie tak, jak było przewidziane. Nie widzę powodu, by zmienić w czemkolwiek nasze zamiary. Hadżine Elizundo będzie równie posłuszną swemu zmarłemu ojcu, jak była posłuszną żyjącemu. A powody tego posłuszeństwa są ciągle te same.

– Nie ma pan zatem zamiaru, kapitanie, zrezygnować z poślubienia Hadżine?

– Zrezygnować! zawołał Mikołaj Starkos tonem, wyrażającym silną wolę złamania każdej przeszkody. Powiedz mi Skopelo, czy wierzysz, że znajdzie się na świecie człowiek, któryby zamknął ręce, wówczas gdy wystarczy otworzyć je, aby pochwycić z łatwością dwadzieścia milionów?

– Dwadzieścia milionów! powtórzył Skopelo śmiejąc się. No tak, na taką mniej więcej sumę oceniałem majątek naszego poczciwego Elizunda.

– Ładna okrągła sumka w dobrych i pewnych papierach wartościowych, ciągnął dalej Mikołaj Starkos, których zamiana na gotówkę może być dokonana każdej chwili.

– Gdy tylko będzie pan w ich posiadaniu, gdyż narazie przypadnie ten mająteczek pięknej Hadżine.

– A ta znowu przypadnie mnie. Bądź spokojny Skopelo. Jednym słowem tylko mogę zrujnować dobrą sławę bankiera. A córka jego będzie bardziej dbała, nawet po jego śmierci, o honor, aniżeli o majątek. Lecz ja nie mam potrzeby mówić. Córka odczuje ten sam nacisk moralny, który wywierałem na jej ojca i będzie w końcu szczęśliwą, gdy będzie mogła dać w posagu dwadzieścia milionów Mikołajowi Starkosowi. A jeżeli ty w to wątpisz, to nie znasz jeszcze kapitana „Karysty”!

Mikołaj Starkos mówił z taką pewnością siebie, że drugi jego oficer, który niechętnie wogóle poddawał się złudzeniom, uwierzył wreszcie, że wypadek wczorajszy nie zmieni w niczem biegu rzeczy, lecz pociągnie za sobą conajwyżej krótką zwłokę.

Jak długą jednak będzie ta zwłoka, to jedno niepokoiło do pewnego stopnia Skopela i Starkosa, jakkolwiek ten ostatni niechętnie się do tego przyznawał. Nie omieszkał być obecnym na pogrzebie bogatego bankiera,

który odbył się zresztą zupełnie skromnie, zgromadziwszy tylko nieznaczną garstkę najbardziej dotkniętych. Spotkał się na nim naturalnie z Henrykiem d'Albaret; wymienili jednak tylko wiele mówiące spojrzenia, pozatem nie doszło do żadnej scysji.

Kapitan „Karysty” próbował nadaremnie przez pięć dni po śmierci Elizunda widzieć się z młodą dziewczyną. Drzwi domu żałoby były dla każdego zamknięte. Zdawało się, jakby równocześnie z bankierem umarł i dom bankowy.

Również i Henryk d'Albaret nie miał więcej szczęścia od Starkosa. Nie mógł się porozumieć z nią ani osobiście, ani drogą listowną. Przypuszczał nawet, że może Hadżine opuściła Korfu pod opieką Xarisa, którego również nie mógł nigdzie zobaczyć.

Daleki od odstąpienia od swych zamiarów, powtarzał sobie kapitan „Karysty” w swych najskrytszych myślach, że jest to tylko zwłoką w urzeczywistnieniu tychże. Nie zaniedbał też zaznaczyć tego przy każdej sposobności i Skopelo robił też wszystko co możliwe, by rozszerzyć po mieście wiadomość, że zaślubiny Hadżine Elizundo z Mikołajem Starkosem odbędą się na pewno. Chodziło tylko o to, by przeczekać czas pierwszej żałoby i uporządkować interesy finansowe banku.

Co do majątku pozostawionego przez bankiera, to wiedziano, że był olbrzymi. Plotki kursujące po mieście, zwiększyły pięciokrotnie rzeczywistą wartość majątku. Zapewniano się wzajemnie że Elizundo pozostawił nie mniej, jak sto milionów. To ci dopiero spadkobierczyni ta Hadżine. Szczęśliwów Mikołaj Starkos, który ma otrzymać jej rękę. Było to tematem wszystkich rozmów nie tylko w Kortu samem lecz także na przedmieściach miasta jakoteż w najodleglejszych wioskach wyspy. Tłumy gapiów gromadziły się przed domem na Strada Reale. Ponieważ nie mieli nic lepszego do roboty, oglądali przynajmniej ten sławny dom, do którego wpłynęło tyle złota i w którym zapewne wiele zeń musiało pozostać, albowiem wydano go nie wiele.

W rzeczywistości majątek był bardzo wielki. Wynosił on około dwudziestu milionów i składał się, jak słusznie przypuszczali Mikołaj Starkos i Skopelo, z łatwych do zrealizowania papierów a tylko w małej części z realności.

Przekonali się o tem w parę dni po śmierci bankiera Hadżine Elizundo i Xaris. Przy tej sposobności dowiedzieli się także, w jaki sposób ten majątek został zdobyty. Xaris orjentował się na tyle w stosunkach handlowych bankiera, że skoro mu dano do przejrzenia księgi i papiery zmarłego, spostrzegł natychmiast jakiego rodzaju były interesy bankiera. Elizundo miał zapewne zamiar zniszczyć te dowody, niestety śmierć zaskoczyła go i obecnie papiery istniały, mówiąc głośno i dobitnie.

Hadżine i Xaris wiedzieli więc dobrze skąd pochodziły te miliony. Nie potrzebowali więc dowiadywać się dopiero od osoby trzeciej, jakim wstrętym sposobem zostały zgromadzone, i jakim nakładem pracy i trosk zdobył bankier majątek.

Mikołaj Starkos opierał całą swą władzę właśnie na tem, że znał tajemnicę Elizunda. Był jego współnikiem i mógł jednym słowem pozbawić go czci. Gdyby mu się zaś później spodobało zniknąć zupełnie z horyzontu, nie odnalazłby nikt nawet jego śladów. Zabranie córki ojcu miało być zapłatą za milczenie.

„Nędznik!... Łotr! zawołał Xaris.

– „Milcz” odpowiedziała Hadżine.

Xaris umilkł, gdyż wiedział dobrze, że słowa jego mogłyby dotrzeć dalej, aniżeli tylko do Mikołaja Starkosa. Zaostrzone stosunki jednak wymagały najspiesniejszego rozwiązania i rzeczą Hadżine było rozwiązanie to jak najrychlej do skutku doprowadzić.

Szóstego dnia po śmierci bankiera został Mikołaj Starkos przez oczekującego nań na molo Xarisa uproszony do jaknajszybszego zjawienia się w domu bankiera.

Nie można powiedzieć, by zaproszenie to było wypowiedziane w tonie życzliwym; przeciwnie Xaris wyrzucił z siebie tych parę słów tonem nie zapowiadającym nic dobrego. Kapitan nie był jednak człowiekiem zważającym na drobnostki i podążył za Xarisem w stronę kantoru, do którego wprowadzono go bezzwłocznie.

Gdy sąsiedzi ujrzeli Mikołaja Starkosa, wchodzącego do zamkniętego dotychczas domu, nie wątpili już, że los mu się uśmiecha.

Mikołaj Starkos zastał Hadżine w gabinecie ojca, siedzącą przed biurkiem, zarzuconem stosami papierów, dokumentów i ksiąg handlowych. Kapitan domyślił się, że młoda dziewczyna wglądnęła już w interesa domu. Był tylko ciekaw, czy odkryła stosunki łączące jej ojca z rozbójnikami morskimi.

Gdy kapitan wszedł do pokoju, Hadżine podniosła się, oszczędzając sobie tem samem zaproszenia kapitana do zajęcia miejsca, poczem dała znak Xarisowi, by się oddalił. Nosila ciężką żalobę. Jej poważne rysy jak i zmęczone nocnem czuwaniem oczy zdradzały osłabienie, dalekie jednak od duchowego wyczerpania. Nawet przy rozmowie, która się zawiązała, nie opuszczał jej właściwy jej spokój.

„Oto jestem Hadżine Elizundo – rozpoczął kapitan – na pani rozkazy... Z jakiego powodu zawezwała mnie pani?

– Z dwu powodów – Mikołaju Starkosie – odrzekła młoda dziewczyna, dążąc prosto do celu. Przedewszystkiem chciałam panu powiedzieć, że planowane połączenie, do którego jak panu zapewne wiadomo chciał mnie mój ojciec zmusić, należy uważać za rozwiązane.

– A ja – brzmiała zimna odpowiedź Starkosa, zauważam tylko, że Hadżine Elizundo, mówiąc w ten sposób, nie pomyślała o skutkach, które jej słowa za sobą mogą pociągnąć.

– Pomyślałam o tem dobrze i zobaczy pan sam, że postanowienie moje jest nieodwołalne skoro powiem panu, że wiem wszystko, co odnosi się do interesów prowadzonych przez bank Elizunda z panem lub panu podobnymi ludźmi!”

Rzecz jasna, że kapitan „Karysty” wysłuchał tej odpowiedzi krótkiej lecz dobitnej z niezadowoleniem. Przypuszczał wprawdzie, że Hadżine zechce go się pozbyć w sposób krótki i węzłowaty, lecz żywił nadzieję, że złamie jej opór, mówiąc jej o tem kim był jej ojciec i jakie go z nim, Mikołajem Starkosem łączyły stosunki. A teraz wiedziała ona wszystko. Tym sposobem wymykała mu się z dłoni broń, może najlepsza. Mimo wszystko nie czuł się jeszcze zwyciężonym i ciągnął swym ironicznym tonem dalej?

„Więc pani zna interesa Elizunda i mimo to wzbrania się pani?

– Trwam przy tem Mikołaju Starkosie i będę trwała przy tem zawsze, albowiem uważam to za najświętszy mój obowiązek!

– Przypuszczam jednak, że kapitan Henryk d’Albaret...

– Niech pan nie wspomina tego nazwiska! przerwała Hadżine żywo.

Za chwilę opanowała się i dodała chcąc uniknąć nowego podrażnienia:

– Wie pan przecież, że Henryk d’Albaret nie zgodzi się nigdy na poślubienie córki bankiera Elizunda.

– Można tak przypuszczać!

– Tak, lecz jego odmowa byłaby bardzo zaszczytną!

– A to dlaczego?

– Gdyż człowiek taki jak on nie poślubia dziedziczki majątku bankiera piratów. Nie, człowiek z honorem nie przyjmie majątku zdobytego tą drogą.

– Zdaje mi się, wtrącił Mikołaj Starkos, że mówimy o rzeczach, które nie mają najmniejszego związku z właściwą sprawą.

– Ta sprawa jest załatwiona!

– Pozwoli mi pani zauważyć, że człowiekiem, któremu Hadżine Elizundo ma oddać swą rękę jest kapitan Starkos a nie Henryk d’Albaret. Przez śmierć ojca pani poglądy jej na tą sprawę, nie uległy chyba zmianie.

– Byłam posłuszna memu ojcu – rzekła Hadżine, nie wiedząc nawet, z jakich powodów przeznacza mnie na ofiarę. Teraz wiem, że posłuszeństwem mojem miałam uratować jego cześć i nazwisko.

– A więc, skoro jest to pani wiadomem... przerwał Mikołaj Starkos.

– Jest mi wiadomem, nie dała mu dokończyć Hadżine – że był pan tym współwinnym, który nakłonił go do zbrodniczych interesów i który umożliwił

zdobycie tylu milionów nieposzlakowanemu dotychczas bankierowi. Wiem, że groził mu pan skandalem, gdyby nie oddał panu swej córki. Zaiste, czy przypuszczał pan kiedyś Mikołaju Starkosie, że mogłabym się kiedykolwiek z innych powodów zgodzić na małżeństwo z panem, jak tylko przez posłuszeństwo dla ojca?

– Wszystko się zgadza, Hadżine Elizundo, i nie mam nic do dodania. Jeżeli jednak cenila pani tak wysoko honor swego ojca za jego życia, to nie może pani inaczej postąpić i po jego śmierci. Na wypadek zaś, gdyby pani obstawała przy cofnięciu danego mi słowa to wówczas...

– Powie pan wszystko! wykrzyknęła Hadżine tonem takiej odrazy i lekceważenia, że Starkos, jakkolwiek był człowiekiem bezwstydnym, to jednak zarumienił się.

– Tak!... Wszystko! powtórzył.

– Nie uczyni pan tego!

– A to z jakiego powodu?

– Ponieważ tem samem oskarży pan i siebie samego!

– Siebie oskarżę? Hadżine Elizundo! Czy może pani nawet przypuścić, że owych interesów dokonywano pod mojem nazwiskiem? Wmawia pani sobie może, że Mikołaj Starkos krąży sam po archipelagu i handluje jeńcami wojennymi? Skoro będę mówił, to nie zaszkodzę sobie nic a nic, a jeżeli mnie pani do tego zmusi, to będę właśnie mówił!”

Młoda dziewczyna patrzyła kapitanowi prosto w twarz. Oczy jej wyrażające całą odwagę kobiety mającej spokojne sumienie nie ulęknęły się groźnego wzroku Starkosa.

„Mikołaju Starkosie – ciągnęła dalej – istnieje jedno słowo, którem rozbroiłabym pana natychmiast, ponieważ nie nastaje pan na to małżeństwo ani z sympatji ani z miłości. Panu chodzi tylko o zdobycie majątku mego ojca! Tak, pan żąda tylko owych milionów!... Więc dobrze, oto są, weź je pan, idź w swoją drogę, i nie pokazuj mi się więcej na oczy. Ja jednak tego nie powiem, Mikołaju Starkosie!... Miljony, które odziedziczyłem, nie staną się pańską własnością! Zatrzymam je i zużytkuję tak, jak mi się spodoba... Nie dostanie pan ich nigdy! A teraz wynoś się pan! Opuść pan ten dom... Idź pan!

Hadżine wyciągnęła ramiona i podniosła głowę. Zdawało się, że przeklina Starkosa podobnie jak to niedawno temu uczyniła Andronika na progu swego domu.

Wtedy uszedł Starkos przed rozgniewaną matką, obecnie jednak pozostał zdecydowany na wszystko.

„Hadżine Elizundo, rzekł z groźbą w głosie, tak, muszę zdobyć pani miliony, w taki lub owaki sposób... I zdobędę je napewno!



– Nigdy, zniszczę je raczej, lub rzucę je w nurty zatoki!

– Będę je miał, gdyż taka jest moja wola!”

Mikołaj Starkos chwycił młodą dziewczynę za ramię. Gniew odebrał mu panowanie nad sobą. Spojrzenie jego zmętniało. Był w stanie zamordować ją.

Hadżine Elizundo uczuła to w jednej chwili. Umrzeć! Co zależało jej teraz na tem! Śmierć nie przestraszała jej. Zakreśliła sobie całkiem inne plany na przyszłość... Musiała żyć.

– Xaris! zawołała.

Drzwi otworzyły się. Na progu ukazał się Xaris.

– Xarisie! Wyprowadź tego człowieka!

Mikołaj Starkos nie miał nawet czasu, by uczynić jakiegokolwiek poruszenie. Uczuł się porwanym przez dwoje żelaznych ramion, tak, że stracił oddech.

Chciał mówić, krzyczeć, nie mógł wydobyć głosu ani też uwolnić się ze straszliwego uścisku. Nawpół uduszony, śmiertelnie blady, znalazł się kapitan na ziemi przed drzwiami domu.

Doleciały go jeszcze słowa Xarisa:

– Nic zabiłem cię, gdyż ona mi tego nie rozkazała, jeżeli mi to jednak rozkaże, uczynię to bez wahania!”

Drzwi domu zamknęły się.

O tej porze były ulice już prawie puste. Nikt też nie zauważył, że kapitana wyrzucono z domu bankiera. Widziano go jednak wchodzącego tam. To wystarczało. Gdy zatem Henryk d’Albaret dowiedział się, że jego rywal został przyjęty, sądził podobnie jak i reszta mieszkańców miasta, że Mikołaj Starkos występuje wobec młodej dziewczyny w dalszym ciągu w roli narzeczonego.

Był to straszny cios dla niego. Mikołaj Starkos gościem w domu, do którego on sam miał wstęp surowo zakazany. O mało co nie kłął Hadżine, a ktoś na jego miejscu postąpiłby inaczej? Opanował się jednak, miłość odniosła zwycięstwo nad gniewem i jakkolwiek pozory przemawiały przeciw dziewczynie, powtarzał sobie:

– „Nie, nie... To jest niemożliwe! Z tym człowiekiem... To być nie może! to po-twarz!...”

Mimo swych grózb uznał Mikołaj Starkos za stosowne milczeć narazie. Nie chciał jeszcze zdradzić tajemnicy, ciężącej na życiu bankiera Elizunda. Pozostawiało mu to przecież swobodę działania i mógł uczynić to w lec IV”, gdy położenie tego będzie wymagało.

Nie ukrywał przed Skopelem tego co zaszło w domu Hadżine Elizundo. Ten radził mu milczeć i czekać aż wypadki ułożą się dla nich korzystniej. Kapitana niepokoił tylko ten szczegół, że Hadżine nie chciała okupić jego milczenia. Jaki był tego powód? Tego narazie nie wiedział. Następnego dnia aż do 12-go listopada, nie opuszczał kapitan Starkos swego okrętu. Myślał i rozważał nad sposobami, mogącemi go najszybciej doprowadzić do celu. Pozatem liczył na swoje szczęście, które dopomagało mu tak często podczas jego zbójczej kariery, tym razem przeliczył się jednak.

Henryk d'Albaret żył także w zupełnem odosobnieniu. Nie uważał za wskazane ponowić próby zobaczenia się z młodą dziewczyną, jednak nie zrezygnował jeszcze zupełnie.

Dwunastego wieczorem, doręczono mu w jego hotelu list. Przeczucie powiedziało mu, że pochodzi on od Hadżine Elizundo. Rozdarł kopertę i rzucił okiem na podpis, w rzeczywistości nie mylił się.

List zawierał tylko parę zdań skreślonych ręką młodej dziewczyny, i brzmiał jak następuje:

*Henryku!*

*Śmierć mego ojca zwróciła mi wprawdzie wolność, ty jednak musisz o mnie zapomnieć. Córka bankiera Elizundo nie jest Ciebie godną. Nic mogę należeć ani do łotra Mikołaja Starkosa, ani do Ciebie, człowieka bez skazy. –  
Przebacz mi i żegnaj*

*Hadżine Elizundo.*

Po otrzymaniu tego listu, udał się Henryk bezzwłocznie do znanego domu przy Strada Reale...

Dom był zamknięty, opuszczony i pusty. Widocznie Hadżine opuściła go wraz z wiernym Xarisem, by już nigdy doń nie powrócić.

## **Rozdział IX**

### **Archipeląg w płomieniach.**

Wyspa Scio – zwana powszechnie od owego czasu Chio – leży na morzu egejskim, na zachód od zatoki Smyrneńskiej w pobliżu wybrzeża Małej Azji. Wraz z wyspami Lesbos i Samos tworzy cykl wysp zwanych Sporadami, położony na wschodzie archipelagu. Obwód jej wynosi pełnych czterdzieści mil. Góra Pelineus, obecnie Górą Eljasza zwana wznosząca się

nad tymi obszarem, jest wysoką na dwa tysiące pięćset stóp.

Z większych miast tej wyspy, jak Volysso, Pitys, Delphinium, Leuconia, Kaukasia jest przecież sama stolica Scio, miastem najważniejszym. W roku 1827 dnia 30 października, wysadził tutaj pułkownik Fabvier mały korpus ekspedycyjny, składający się z siedmiuset żołnierzy wojsk regularnych, dwustu jeźdźców i tysiąca pięciuset ochotników wyekwipowanych przez mieszkańców Scio. Korpus posiadał dziesięć haubic i sześć armat.

Interwencja mocarstw nie doprowadziła nawet i po bitwie pod Nawarinem do zupełnego rozwiązania kwestji greckiej. Anglja, Francja i Rosja chciały przyznać nowemu królestwu tylko te granice, które wywalczyło sobie powstanie. Na to ograniczenie nic mógł się zgodzić rząd grecki, żądając aby nietylko cały grecki ląd stały lecz także wyspy Kreta i Scio wolność odzyskały. Za przykładem Miaulisa, który obrał sobie za podstawę swych działań wojennych Kretę, wylądował Fabvier wspomnianego dnia, w miejscowości Maurolimena na wyspie Scio.

Nietrudno zrozumieć, że Grecy pragnęli wydrzeć Turkom tę piękną wyspę, prawdziwą perłę Sporadów. Swemu niebu – może najczystrszemu w małej Azji zawdzięcza wyspa swój przepyszny klimat bez wielkich upałów i nadmiernego zimna. Lekki wietrzyk odświeża tu stale powietrze, czyniąc ją jedną z najzdrowszych wysp archipelagu. W pieśni pochwalnej przypisywanej Homerowi nazywa ją poeta „bardzo tłustą”. Na zachodzie wyspy wytwarza się doskonałe wino, przewyższające w dobroci najdelikatniejsze wina starożytności oraz miód, który może godnie współzawodniczyć z najstynniejszymi gatunkami. Na wschodniej stronie kwitną pomarańcze i cytryny, których sława dosięga krańców Europy. Na południu pokrywają ją różnego gatunku drzewa mastyksowe, dające drogocenną żywicę, znajdującą różnorakie zastosowanie w malarstwie i wyrobie leków. Pozatem udają się znakomicie w tej, doprawdy błogosławionej przez Boga okolicy, figi, daktyle, migdały, oliwki oraz szereg pięknych gatunków drzew strefy umiarkowanej.

Tę wyspę więc pragnął rząd narodowy połączyć z nowym królestwem i z tego też powodu przedsięwziął dzielny Fabvier, mimo licznych przykrości, których doznawał ze strony tych, za których przelewał swą krew, wyprawę zmierzającą do zdobycia tej wyspy.

W ostatnich miesiącach tego roku nie zaprzestali Turcy na całym półwyspie morderstw i rabunków i to nawet na dwa dni przed wylądowaniem hrabiego Capo d'Istria w Nauplii.

Przybycie tego dyplomaty miało na celu uspokojenie wewnętrznych tarć wśród Greków oraz skupienie władzy w jednym ręku. Jakkolwiek w sześć miesięcy później Rosja wypowiedziała wojnę sułtanowi, dopomagając tym sposobem do utworzenia nowego królestwa, to jednak Ibrahim dzierżył silnie środkową część Peloponezu oraz miasta nadbrzeżne.

I chociaż po upływie ośmiu miesięcy to jest 6 lipca 1828, począł się już gotować do opuszczenia tego kraju, w którym tyle złego wyrządził i chociaż we wrześniu tego samego roku nie było już ani jednego Egipcjanina na ziemi greckiej, to jednak długi czas jeszcze potem nękały dzikie hordy maruderów

nieszczęśliwą Moreę.

Skoro więc Turcy posiadali jeszcze w swej mocy rozmaite miasta tak Peloponezu jak i Kreta, to nie należy się dziwić, że morze roiło się od piratów. Szkody wyrządzane przez nich okrętom handlowym, krążącym między wyspami, były bardzo znaczne, dlatego też wodzowie greckich flotylli jak Miaulis, Canaris i Tsamados nie ustawali w ciągłym tropieniu piratów. Łotrzykowie owi byli jednak tak liczni i nieuchwytni, że podróżowanie po morzu było w owym czasie bardzo niebezpieczne. Od Kreta aż do wyspy Metelin, od wyspy Rhodos aż po Czarnogórę, był cały archipelag w płomieniach.

Bandy, złożone z wyrzutków wszystkich narodowości grasowały w sąsiedztwie wyspy, pragnąc przyjść z pomocą baszy zamkniętemu w cytadeli, którą oblegał Fabvier, znajdujący się obecnie w niekorzystnych warunkach.

Czytelnik przypomni sobie zapewne, że znaczniejsi kupcy wysp jońskich, przestraszeni okropnym stanem rzeczy szkodzącym na równi wszystkim składom Lewantu, zebrali między sobą kapitał potrzebny do wyposażenia korwety, mającej za zadanie walkę z korsarzami.

Wskutek tego też wyruszyła „Syphanta” przed pięcioma tygodniami z Korfu, by oczyścić morza archipelagu od piratów. „Syphanta” rozpoczęła swą wyprawę pod dobrą wróżbą, gdyż z początku już wyłapała kilka okrętów, które można było słusznie o uprawianie korsarstwa podejrzewać. Dowódca jej, Stradena, prowadził swą pracę z pełną poświęcenia odwagą, ukazywał się to koło wyspy Psary, Skyros, Zea, to znów w pobliżu wysp Lemnos, Paros i Santorin i mógł się poszczycić wcale dobrymi wynikami, nie mógł jednak nigdzie spotkać się z „Sacratifem”, który znaczył swój pobyt najokrutniejszymi zbrodniami. Słyszano o nim wiele, lecz był on jakby niewidzialny.

Przed czternastoma dniami conajwyżej, dnia 13 listopada, ukazała się „Syphanta” w okolicach Scio. Owego dnia udało się jej dostawić schwytych w porcie wyspy rozbójników morskich Fabvierowi, który powiesił ich bez ceregieli.

Od owego czasu jednak zaginął zupełnie słuch po korwecie; nikt nie mógł powiedzieć, w jakich okolicach przebywała obecnie i zaczęto obawiać się coraz bardziej o jej losy. Było to też bardzo dziwnem, że w tej okolicy pokrytej taką ilością wysp i wysepek, nie zauważono nigdzie obecności okrętu.

W tych warunkach więc przybył Henryk d'Albaret w osiem dni po opuszczeniu Korfu na wyspę Scio. Oddał się natychmiast na usługi swego dawnego komendanta, by rozpocząć na nowo walkę z Turkami.

Zniknięcie Hadzine Elizundo dotknęło go bardzo boleśnie. Dziewczyna odtrąciła wprawdzie Mikołaja Starkosa jako skończonego łotra, lecz uszła z domu nazywając siebie samą niegodną Henryka d'Albaret. Jaka tajemnica kryła się w tem dziwnem postępowaniu? Jak miał ją odkryć? Czy należało szukać jej w przeszłości Hadzine, czy też może w niej samej, wydającej się tak łagodną i czystą? Może w życiu jej ojca? Lecz jakież związki istniał między

bankierem a kapitanem Starkosem?

Kto mógł odpowiedzieć na te pytania? Dom bankiera był zupełnie opustoszały, a Xaris opuścił miasto z pewnością wraz ze swą panią.

Henryk d'Albaret mógł więc liczyć tylko na siebie, chcąc odkryć tajemnice rodziny Elizunda.

Przedewszystkiem przyszło mu na myśl przeszukać samo miasto jakoteż i całą wyspę. Może Hadżine znalazła swe schronienie w jakiejś kryjówce. Na wyspie nie brak rozrzuconych i odległych wsi, w których nietrudno się ukryć. Kto chce wycofać się z życia i pragnie, by świat o nim zapomniał, ten znajdzie w Benizze, Santa Decca, Leucimne i w dwudziestu innych miejscowościach pewne i wprost wymarzone schronienie. Henryk d'Albaret zwiedził wszystkie ulice i drogi, śledził za śladem dziewczyny w najmniejszych nawet wioskach, nie znalazł nic... nic!

Wkrótce otrzymał wiadomość, która wskazywała na to, że Hadżine Elizundo opuściła zupełnie Korfu. W małym porcie Alipa, na północnym wschodzie wyspy dowiedział się, że przed niedawnym czasem wypłynęła stąd na morze mała sponsona, wynajęta przez dwoje pasażerów.

Bądź co bądź, była to wiadomość bardzo niepewna. Jednak pewna zgodność faktów i czasu odjazdu nappełniła młodego oficera jeszcze większą obawą.

Powróciwszy bowiem na Korfu dowiedział się, że sakolewa opuściła port. Co jednak było godnem uwagi, to ta okoliczność, że stało się to w tym samym dniu, w którym zniknęła Hadżine Elizundo. Miałaby istnieć jakiś związek pomiędzy obydwoma wydarzeniami? Może Hadżine wpadła wraz z Xaristem w pułapkę i została uprowadzona gwałtem? Była teraz może w ręku kapitana „Karysty”?

Ta myśl była dla Henryka d'Albaret zabójczą. Lecz cóż mógł uczynić? Na którym końcu świata miał szukać kapitana Starkosa?

Kim był w ogólności ten awanturnik? „Karystę” można było słusznie nazwać okrętem podejrzaney konduity, gdyż nikt nie znał jej i nie wiedział skąd i dokąd dążyła. Po głębszym jednak namyśle odrzucił d'Albaret swoje przypuszczenie. Wszak sama Hadżine Elizundo pisała mu, że nic jest go godną i że nic ujrzy jej już nigdy. Naturalnem następstwem tego było to, że zniknęła dobrowolnie pod opieką wiernego Xarisa.

A jeżeli tak się sprawa przedstawiała, to Henryk nie potrzebował tracić nadziei, że ujrzy ją jeszcze. Może uniosło ją uczucie miłości ojczyzny i wyruszyła na pole bitwy, gdzie rozstrzygały się losy jej kraju. Może postanowiła swój olbrzymi spadek ofiarować na cele walki o wolność? Dlaczegooby nic miała naśladować tak szczytnych przykładów Boboliny, Modeny i Androniki, dla których to bohaterki żywiła głęboki kult?

W każdym razie jednak było pewnem, że Hadżine opuściła Korfu, i to skłoniło ostatecznie młodego oficera do powrotu do korpusu „przyjaciół Grecji”. Pułkownik Fabvier znajdował się obecnie z wojskami regularnymi na

Scio; postanowił więc udać się do niego. Opuścił więc wyspy Jońskie, przekroczył spiesznie północną Grecję, wsiadł na okręt w zatoce Eginy i przybił wkrótce do Scio, uniknąwszy po drodze szczęśliwie napadu piratów. Fabvier przyjął go bardzo serdecznie, co było jeszcze jednym dowodem, jak bardzo cenił młodego oficera. Dzielny ten wojownik widział w nim nie tylko godnego zaufania towarzysza broni, lecz także serdecznego przyjaciela, przed którym mógł wypowiedzieć wszystko, co mu leżało ciężarem na sercu. A ciężar ten był niemały. Brak dyscypliny u wojsk nieregularnych, które stanowiły zawsze poważną część jego korpusu, niski i do tego nieregularnie wypłacany żołd, trudności stawiane przez Sciotów, wszystko to krzyżowało Fabvierowi plany i opóźniało jego działania.

W międzyczasie rozpoczęło się oblężenie cytadeli w Scio. Henryk d'Albaret przybył w sam czas, by wziąć czynny udział w pracach przygotowawczych, przede wszystkim w kopaniu rowów. Dwa razy już zalecały państwa sprzymierzone Fabvierowi odstąpienie od oblężenia, ten jednak oparty na wyraźnym przyzwoleniu rządu greckiego nie dawał tym radom posłuchu i prowadził oblężenie w dalszym ciągu.

Oblężenie zmieniło się wkrótce w rodzaj blokady, niezupełnej jednakże, gdyż oblężeni otrzymywali przecież prowianty i amunicję. Fabvier byłby przecież zdobył cytadelę, gdyby nie to, że wojsko jego, osłabione głodem, rozprasało się po całej wyspie w poszukiwaniu pożywienia. W tych warunkach udało się flocie ottomańskiej, składającej się z pięciu okrętów, zdobyć gwałtem port Scio i doprowadzić oblężonym dwa tysiące ludzi posiłków. Wprawdzie Miaulis ukazał się wkrótce potem ze swą flotą, by przyjść z pomocą Fabvierowi. przybył jednak zapóźno i musiał powrócić z niczem.

Wraz z admirałem greckim przybyło kilka okrętów ze świeżymi zastępami ochotników, którzy wysiedli na ląd, wzmacniając siły oblegających.

Między nimi była także jedna kobieta.

Andronika walczyła do ostatniej chwili na Peloponezie przeciw zastępom Ibrahima, obecnie zaś postanowiła wziąć czynny udział w końcowych walkach tej długiej wojny. Przybyła więc na Scio z silnym postanowieniem walczenia do ostatka i gdyby tego zaszła potrzeba, ofiarowałaby chętnie swe życie dla tej wyspy, którą Grecy postanowili przyłączyć do królestwa swego. Byłoby to dla niej rodzajem zadośćuczynienia za straszne czyny, które popełnił tu jej niegodny syn przy sposobności rzezi w roku 1822.

Owego czasu rzucił sułtan na wyspę Scio swą klątwę: „Ogień, miecz i niewola” wydając ją na pastwę zniszczenia. Pasza Kara-Ali, któremu poruczono tę karną ekspedycję, wywiązał się dokładnie ze swego zadania. Jego hordy żądne krwi przybyły na wyspę. Wymordowano bez litości wszystkich mężczyzn oraz kobiety powyżej lat czterdziestu. Pozostałą resztę skazaną na niewolę, miano wywieść na targi smyrneńskie i berberyjskie. Trzydzieści tysięcy Turków spustoszyło wyspę ogniem i mieczem, zalewając ją morzem krwi. Zabito ogółem dwadzieścia trzy tysiące Sciotów, drugie tyle przeznaczono na sprzedaż.

Przy tej okazji nie brakło naturalnie Mikołaja Starkosa. Hulał najpierw ze swoją bandą, będąc pierwszym w najokrutniejszych mordach i rabunkach, później zaś przewoził swych własnych braci na okrętach do Azji i Afryki, biorąc lwią część zysku z tego haniebnego rzemiosła.

Z owego czasu też datuje się stosunek handlowy Starkosa z bankierem Elizundem; straszny ten handel dostarczył tak znacznych dochodów ojcu Hadżine.

Andronika wiedziała dobrze o współudziale Starkosa w masowych mordach na Scio i o roli jaką odegrał ten nędznik w owej strasznej tragedji. Było to też jej wewnętrzną pobudką do udania się właśnie na to miejsce, gdzieby ją zapewne stokrotnie przeklęto, gdyby wiadano, że jest matką owego zbrodniarza. Walczyć obecnie na tej wyspie i przelać swą krew serdeczną za sprawę Sciotów, wydawało się jej najwyższem zadośćuczynieniem i pokutą za zbrodnie jej syna.

Przybywszy na Scio musiała przecież w którymś dniu spotkać Henryka d'Albaret. W rzeczywistości w krótki czas po swem przybyciu w dniu 15 stycznia, spotkała się niespodzianie ze swym wybawcą z pod Chaidari.

Rozwarła ramiona i poszła mu naprzeciw, wołając:

„Henryk d'Albaret!

– Panią... Androniko... Pani, Panią odnajduję tu znowu?

– Tak, odpowiedziała bohaterska kobieta. Czyż miejsce moje nie jest tam, gdzie toczy się walka z ciemiężcami?

– Androniko – zawołał młody oficer – możesz być dumną ze swej ojczyzny i pysznić się jej dziećmi, które broniły jej wraz z tobą. Wkrótce już nie będzie ani jednego żołnierza tureckiego na ziemi greckiej.

– Wiem o tem Henryku d'Albaret i oby Bóg dał mi dożyć tego cudownego dnia!”

W dalszym ciągu rozmowy opowiedziała mu Andronika o swych przeżyciach od czasu, gdy rozstali się po bitwie pod Chaidari. Mówiła więc o swym powrocie do Magny, swojej ojczyzny, którą chciała raz jeszcze ujrzeć przed wyruszeniem do armji peloponeskiej i wreszcie o podróży swej na Scio.

Henryk d'Albaret opowiedział jej natomiast o swym powrocie na Korfu, o poznaniu rodziny Elizundów i o tajemniczem zniknięciu Hadżine. W końcu wyraził nadzieję, że ujrzy ją przecież jeszcze w życiu.

„Tak, Henryku d'Albaret, jakkolwiek nie wie pan jaka tajemnica ciąży na życiu tej młodej dziewczyny, w każdym razie jednak jest ona zapewne pana godną! Spotka pan ją niechybnie i będziecie tak szczęśliwi, jak oboje na to zasługujecie.

– Powiedz mi pani, Androniko. czy nie znałaś bankiera Elizunda?

– Nie, brzmiała odpowiedź Androniki. Skądże miałabym go znać i dziwi mnie, że pan mnie wogóle o to pyta.

– Miałem nieraz sposobność wymienić imię pani w moich opowiadaniach. Ilekroć to czyniłem, okazywał bankier specjalne zainteresowanie. Pewnego dnia nawet wypytywał mnie, czy nie wiem, co się z panią stało po naszym rozstaniu.

– Nie znam go osobiście, a nie przypominam sobie nawet bym kiedykolwiek wymieniła imię bankiera Elizunda.

– Wobec tego tkwi tu jakaś tajemnica, której zapewne z powodu śmierci Elizunda nigdy nie odkryjemy”.

Henryk d’Albaret umilkł. Odżyły w nim wspomnienia z czasów pobytu na Korfu. Pomyślał o tem wszystkim, co tam wycierpiał oraz o tem, co zdała od Hadżine jeszcze wycierpieć będzie musiał.

Potem zwrócił się znów do Androniki:

„Co zamierza pani począć po ukończeniu wojny?

– Bóg w swej łaskawości, odpowiedziała żarliwie Andronika, zabierze mnie z tej ziemi, czuję tylko wyrzuty sumienia, że tak długo na niej żyła.

– Wyrzuty sumienia?

– Tak!”

Ta biedna matka chciała przez to powiedzieć, że życie jej było dla niej wogóle nieszczęściem, albowiem urodziła takiego syna.

Odpędziła jednak te myśli i ciągnęła dalej:

„Pan Henryku d’Albaret, jesteś jednak młody i Bóg dozwoli panu przeżyć jeszcze wiele dni. Użyj pan ich na odnalezienie tej, którą straciłeś, a która... pana tak gorąco kocha,

– Tak, Androniko, będę jej szukał wszędzie, lecz równocześnie będę szukał tego znieawidzonego rywala, który stanął między nami.

– Kim był ten człowiek? zapytała Andronika.

– Kapitanem nieznanego mi bliżej lecz bardzo podejrzanego okrętu, który opuścił Kortu, zaraz po zniknięciu Hadżine.

– Nazwisko jego?

– Mikołaj Starkos!

– On!...”

Jeszcze słowo a tajemnica byłaby zdradzona. Andronika przyznałaby



się, że jest matką owego Starkosa.

Tak niespodzianie przez Henryka d'Albaret wypowiedziane imię wstrząsnęło Androniką do głębi. Chociaż była bardzo energiczna z natury, to jednak imię jej syna napełniało ją niewymownym strachem. Wszelkie nieszczęścia, które dotknęły młodego oficera, który z narażeniem życia uratował ją od śmierci, były dziełem Mikołaja Starkosa.

Rzecz jasna, że wrażenie, jakie to nazwisko na Andronikę wywarło, nie uszło uwagi Henryka i nie należy dziwić się temu, że próbował wybadać przyczynę tego zmieszania.

„Co pani jest?... Co się stało? zawołał. Skąd to wzruszenie? Mów pani! ... Czy zna pani kapitana „Karysty?”

– Nie! Henryku d'Albaret! odpowiedziała Andronika głosem niepewnym, jękając się mimowoli.

– Nie wierzę! Pani go zna!... Androniko błagani panią... niech mi pani powie kto jest ten człowiek... czym się zajmuje... gdzie jest teraz... i gdzie go mogę odnaleźć.

– Nie wiem tego!

– Nie, pani wie... wie pani, lecz nie chcesz mi tego zdradzić. Może pani potrafi wprowadzić mnie nawet jednym słowem na jego ślad, może nawet na ślad Hadżine... Pani nie chce mówić!

– Henryku d'Albaret, odpowiedziała Andronika pewnym już głosem, nie wiem, nie! Nie jest mi wiadomem, gdzie ów kapitan obecnie przebywa... Nie znam kapitana Starkosa!”

Rzekłszy to, opuściła młodego oficera, który pozostał na miejscu, wzburzony do głębi.

Mimo że prawie natychmiast rozpoczął szukać Androniki, to jednak nie mógł jej nigdzie odnaleźć. Widocznie opuściła wyspę Scio i udała się z powrotem na stały ląd. Henryk d'Albaret stracił wszelką nadzieję odnalezienia jej.

Pozatem operacje pułkownika Fabviera dobiegały do końca. Rezultat jego wysiłków był prawie żaden.

Dezercja w korpusie ekspedycyjnym przybierała zastraszające rozmiary. Mimo błagań oficerów opuszczali żołnierze szeregi i wsiadali na okręty, celem opuszczenia wyspy. Artylerzyści nawet, na których pułkownik liczył najbardziej, pozostawiali działa na pastwę losu. Ogólne zniechęcenie i depresja ogarnęła wszystkich nawet najlepszych, tak, że opadały ręce.

Nie pozostało nic innego jak odstąpić od oblężenia i powrócić do Syry, skąd nieszczęsna wyprawa wyruszyła. W nagrodę za swe dzielne czyny otrzymał pułkownik Fabvier tylko wyrzuty i czarną niewdzięczność.

Henryk d'Albaret postanowił opuścić Scio równocześnie ze swym komendantem. W którą stronę jednak miał zwrócić swe poszukiwania? Henryk wahał się długo, aż wreszcie niespodziewany przypadek rozwiązał jego wątpliwości. W wigilię odjazdu młodego oficera do Grecji nadszedł doń pocztą list, opatrzony pieczętką z Korfu, który zawierał następujące słowa:

*„W sztabie korwety „Syphanta” jest jedno miejsce. Czy Henryk d'Albaret nie byłby skłonny miejsce to zająć i wziąć udział w dalszych wyprawach przeciw Sacratifowi i piratom archipelagu?”*

*„Syphanta” będzie w pierwszych dniach marca w pobliżu przylądka Anapomera, w północnej części wyspy, a jedna z łodzi będzie stała w zatoce Ora, u brzegu tego przylądka w pogotowiu.*

*Niechże kapitan d'Albaret uczyni to, co mu nakazuje jego patriotyzm!”*

Na liście brakło podpisu, a charakter pisma był kapitanowi zupełnie nieznan. I nic nie wskazywało na to, kim był tajemniczy autor tego listu. W każdym razie przynosił mu list ten pewną wiadomość o korwecie, o której słuch już od dłuższego czasu zaginął.

Jak widzimy, nadarzała się Henrykowi d'Albaret znakomita sposobność powrotu do właściwego mu zawodu marynarza. Wreszcie było mu danem wziąć udział w ściganiu owego Sacratifa, a może nawet w uwolnieniu archipelagu od tej zmory. Niemały wpływ na decyzję młodego oficera wywarła nadzieja spotkania Mikołaja Starkosa wraz z jego sakolewą. Postanowienie zapadło więc szybko, Henryk d'Albaret przyjął propozycję w liście anonimowym. Skoro więc pułkownik Fabvier opuszczał wyspę Scio, pożegnał serdecznie swego kapitana, który w najętej łodzi wyruszył ku północnej stronie wyspy.

Podróż w ogólności nie długa skróciła się jeszcze dzięki wiatrowi, wiejącemu z południowo-zachodniej części lądu. Łódź przepłynęła obok portu Coloquinta, między wyspami Anossai i przylądkiem Ora i żeglowała wzdłuż wybrzeży, aby dotrzeć do zatoki tejże nazwy.

W dniu 1-go marca wstąpił Henryk d'Albaret w tym miejscu na ląd.

U stóp ściany skalnej przywiązana była oczekująca go łódź, dalej nieco widać było korwetę.

– „Jestem kapitan Henryk d'Albaret, zwrócił się młody oficer do bosmana dowodzącego łodzią.

– Czy chce pan udać się na okręt?

– Natychmiast.”

Łódź odbiła od brzegu. Popychana sześcioma wiosłami, dopłynęła wkrótce do korwety, od której była zresztą oddalona najwyżej o jedną milę morską.

Skoro tylko Henryk d'Albaret ukazał się na schodkach, usłyszał donośny gwizd; w tej samej chwili prawie rozległ się strzał armatni a następnie jeszcze dwa w krótkich odstępach czasu. Gdy zaś młody oficer wstąpił na pokład, cała załoga sprezentowała przed nim broń, a na szczycie masztu ukazała się flaga korfijska. Przed frontem ukazał się drugi oficer korwety i zawołał głosem donośnym, tak że go wszyscy musieli usłyszeć:

– Oficerowie i załoga „Syphanty” mają honor i szczęście powitać na pokładzie swym swego dowódcę, Henryka d'Albaret!

## Rozdział X

### Na wodach archipelagu.

Syphanta była korwetą drugiej klasy. Posiadała w swej baterji dwadzieścia dwa działa cztero funtowe, oraz sześć dwunastofuntowych na pokładzie, co dla okrętów tej klasy było wtedy rzadkością. Ostry dziób, zgrabnie zbudowany tylny pokład, jakoteż dobrze obliczona linja zanurzenia pozwalały jej współzawodniczyć z najlepszymi okrętami. Ruchy jej były łagodne i posuwała się lekko. Pod wiatr żeglowała ostro, nie ściągając ani jednego żagla, podobnie jak najlepsze okręty. Jeśli tylko dowódca jej był dzielnym marynarzem, mógł bez obawy płynąć z rozpiętymi żaglami. Podobnie jak fregata, nie obawiała się przewrócenia. Raczej jej maszty zostałyby strzaskane, aniżeliby miała pójść na dno przy rozpiętych żaglach.

Te zalety pozwalały „Syphancie” poruszać się bardzo szybko nawet po najbardziej wzburzonych falach, tem samem zwiększała się i nadzieja dobrego wyniku tej pełnej przygód wyprawy, na którą wystali ją armatorzy, sprzymierzeni przeciw piratom archipelagu.

„Syphanta” nie była okrętem wojennym, albowiem była własnością ludzi prywatnych a nie jakiegoś uznanego państwa, jednak służba na niej była zorganizowana na sposób wojskowy. Jej oficerowie jakoteż załoga przyniosłaby zaszczyt każdemu statkowi wojennemu jakiegoś państwa. Ruchy statku jakoteż dyscyplina były takie same w czasie podróży jak w czasie pobytu w porcie. Nic można tu było dostrzec niedbałości załogi, jaką się często obserwuje na pospiesznie uzbrajanych statkach, gdzie czynności marynarzy nie są tak ściśle uregulowane, jak na statkach wojennych.

W spisie załogi „Syphanty” znajdowało się dwustu pięćdziesięciu marynarzy, pochodzących głównie z zachodnich krajów nadmorskich. Byli tam Francuzi, Prowensalczyki, Anglicy, Grecy i Korfijscy, ludzie obeznani dokładnie z obsługą okrętu a przytem dzielni żołnierze, – jednym słowem – marynarze duszą i ciałem, na których można było w zupełności polegać.

Złożyli oni już nieraz tego dowody. Starsi majtkowie i bosmani spełniali godnie rolę pośredników między załogą a korpusem oficerskim, Korpus ten składał się z czterech poruczników, ośmiu chorążych, pochodzących z Korfu, Anglii i Francji, oraz z wice-komendanta, którym był stary wilk morski kapitan Todros. Znał on dokładnie archipelag, którego zakamarki miała korweta przetrząsnąć, oraz wszystkie zatoki każdej, choćby najmniejszej wyspy; nie było ani skrawka lądu, którego położenia nie umiałby określić. Głowa zaś jego była jakby mapa, na której każda głębia była zaznaczona.

Był on Grekiem z Hydry, lat około pięćdziesięciu i służył niegdyś pod rozkazami Canarisa i Tomasisa. Dla komendanta „Syphanty” był on bardzo cennym pomocnikiem.

Pierwszą część swej wyprawy odbyła korweta pod rozkazami kapitana Stradeny wśród bardzo pomyślnych warunków, albowiem udało jej się zniszczyć niejedyn statek korsarski i zdobyć obfity łup. W dalszej jednak podróży poniosła korweta dotkliwie straty tak wśród załogi, jak i wśród oficerów.

Dnia 27 lutego stoczyła „Syphanta” niedaleko Lemnos krwawą walkę z całą flotą korsarzy i tem tłumaczy się to, że tak długo nie było od niej wiadomości.

W walce tej oprócz czterdziestu ludzi z załogi padł również kapitan Stradena, trafiony kulą na posterunku.

Dowództwo objął wtedy Kapitan Todros, doprowadził bitwę do zwycięskiego wyniku, poczem udał się do zatoki egińskiej celem poczynienia najkonieczniejszych naprawek kadłuba i żagli.

Ku niemałemu zdziwieniu dowiedziono się tamże, że „Syphanta” została nabytą po bardzo wysokiej cenie przez pewnego bankiera z Raguzy. Pełnomocnik kupującego przybył do Eginu celem załatwienia formalności towarzyszących przepisaniu okrętu na nazwisko nowonabywcy. Wszystko odbyło się w ten sposób, że nikt nie mógł podnieść sprzeciwu i było faktem dokonany, że korweta nie należała już więcej do związku kupców korfijskich, któremu zawdzięczała swoją dotychczasową rolę. Nawiasem mówiąc, zrobili dawni właściciele znakomity interes przy sprzedaży okrętu.

Jakkolwiek właściciel „Syphanty” się zmienił, to jednak cele korwety pozostały te same. Miała w dalszym ciągu tropić rozbójników morskich, odwozić do ojczyzny odbitych jeńców, i w każdym razie nie prędeż spocząć, aż najgorszy z piratów, krwiożerczy Sacratif zostanie unieszkodliwiony. Po ukończeniu naprawy otrzymał drugi oficer rozkaz krążyć w pobliżu północnej części wyspy Scio, aby zabrać na pokład nowego kapitana, który miał się stać „pierwszym po Bogu” na okręcie.

W tym samym czasie otrzymał Henryk d'Albaret ów lakoniczny list, w którym zawiadomiono go, że w sztabie korwety „Syphanta” jest jedno miejsce wolne.

Jak już wiemy, przyjął on tę propozycję, nie przypuszczając nawet, że

zajmie stanowisko komendanta. Dlatego też zastępca komendanta jak również oficerowie i załoga poddali się jego rozkazom, skoro tylko stanął na pokładzie, podczas gdy strzały działowe pozdrowiły sztandar Korfu.

O tem wszystkim dowiedział się Henryk d'Albaret z ust kapitana Todrosa. Akt, mocą którego został mianowany dowódcą statku, sporządzony był wedle wszelkich wymogów prawa, nikt zatem nie mógł ani przez chwilę wątpić o jego prawomocności. Pozatem kilku oficerów statku znało go już z dawniejszych czasów; wiedzieli, że był on jednym z najmłodszych a zarazem jednym z najzdolniejszych poruczników okrętowych w marynarce francuskiej.

Oprócz tego uważali go wszyscy jako uczestnika walki o niepodległość. Przy pierwszym przeglądzie, którego dokonał na pokładzie „Syphanty” powitano go radosnymi okrzykami.

„Oficerowie i żołnierze! przemówił krótko Henryk d'Albaret, wiem jakie zadania ma „Syphanta” przed sobą. Spełnimy je wszystkie z pomocą Bożą! Cześć dawnemu komendantowi Stradenie, który padł zaszczytnie na posterunku. Liczę na was! Liczcie na mnie! – Odejść!...”

Nazajutrz 2 marca wyruszyła korweta wczesnym rankiem, pozostawiając za sobą wyspę Scio, z wznoszącą się na niej górą Eljasza i skierowała się na północ.

Żeglarzowi wystarczy spojrzeć na statek i płynąć na nim przez pół dnia, aby mógł ocenić jego wartość. Dał właśnie rzeźki wiatr z północnego zachodu, a mimo to nie trzeba było skracać żagli. Komendant Henryk d'Albaret miał więc najlepszą sposobność poznać i ocenić zalety korwety.

„Nie ściągnie ona żagli przed żadnym okrętem zjednoczonych flotylli, rzekł doń kapitan Todros, ani też przy najsilniejszym wietrze”.

Zdanie powyższe miało wedle pojęć dzielnego żeglarza następujące znaczenie: po pierwsze, że żaden żaglowiec nie zdoła prześcignąć „Syphanty”, a po drugie, że dzięki silnemu ożaglowaniu i solidnej budowie będzie mogła płynąć z rozpiętymi żaglami w takiej pogodzie, w której każdy inny statek, nie chcąc pójść na dno, musiałby przynajmniej część żagli ściągnąć.

„Syphanta” żeglowała ku północy, mając silny wiatr z prawej strony i minęła wkrótce Metelin lub Lesbos, jedną z największych wysp Archipelagu.

Następnego ranka przepłynęła korweta obok tej wyspy, w pobliżu której w r. 1821 to jest w początkach wojny, odnieśli Grecy zwycięstwo nad flotą ottomańską.

„Brałem udział w tej walce opowiadał kapitan Todros komendantowi d'Albaret Było to w maju. W sześćdziesiąt brygów ścigaliśmy pięć tureckich okrętów linjowych, pięć fregat i cztery korwety, które uciekały do portu Metelin. Okręt o siedemdziesięciu czterech działach oddzielił się od ściganej eskadry, aby sprowadzić pomoc z Konstantynopola. Puściliśmy się jednak za nim i wysadziliśmy go wraz z dziewięćset pięćdziesięciu majtkami w powietrze. Tak, byłem przy tem i sami napalałem worki wypełniono siarką i

słomą, któreśmy mu przywiązali do kadłuba. Były to dobre ciepłe koszule, panie komendancie, polecam je panu w razie potrzeby do użytku... panów piratów!"

Warto było słyszeć kapitana Todrosa opowiadającego o swych czynach wojennych w rubaszny sposób majtków, z przedniego kasztelu; to jednak, co drugi oficer „Syphanty” opowiadał, polegało na prawdzie.

Nie bez słusznej przyczyny skierował się Henryk d’Albaret na północ. Na kilka dni przed opuszczeniem Scio zameldowano mu, że w okolicach Lemnos i Samotraki ukazało się kilka podejrzanych okrętów.

Kilku lewantyńskich żeglarzy zostało napadniętych i obrabowanych przy wybrzeżach Turcji europejskiej. Możliwe, że piraci uważali za wskazane cofnąć się bardziej na północ, aby uniknąć pościgu „Syphanty!”

Było to z ich strony sprytnie pomyślane.

Na wodach obok Metelinu nie zauważono nic podejrzanego. Napotkano tylko kilka handlowych statków, które same przyłączyły się do korwety, albowiem czuły się bezpieczniejsze pod jej osłoną.

Przez czternastodniowy okres czasu spełniała „Syphanta” sumiennie swe obowiązki, jakkolwiek zła pogoda w okresie zrównania dnia z nocą dawała się jej dobrze we znaki.

Podczas dwu czy trzech bardzo gwałtownych burz miał nietylko Henryk d’Albaret sposobność poznać dalsze zalety statku i załogi, lecz również i załoga miała okazję poznać bliżej swego komendanta. Nie zadał on kłamu sławie, która otacza francuskich oficerów marynarki, że są zręcznymi żeglarzami w najcięższych nawet warunkach. Czy okaże się zdolnym taktykiem w bitwie morskiej, miała dopiero przyszłość okazać; natomiast nikt nie wątpił, że zachowa się dzielnie w ogniu.

Młody komendant wykazał w najcięższych nawet warunkach, że jest wykształcony zarówno teoretycznie jak i praktycznie. Miał śmiały charakter, silną wolę i zimną krew, gotów był zawsze wszystko przewidzieć i opanować, jednym słowem był on takim, jakim żeglarz być powinien.

W drugiej połowie miesiąca przeszukiwała korweta okolice Lemnos.

Wyspa ta, największa z wysp leżących po tej stronie morza Egejskiego, mierzy na długość piętnaście, na szerokość zaś pięć do sześciu mil. Wojna o niepodległość ominęła tę wyspę, jakoteż obok leżącą Imbro. Natomiast pojawiali się tu często korsarze, którzy ważyli się nawet porwać okręty u wejścia do portu. Korweta zarzuciła w tym przepelnionym porcie kotwicę, aby zakupić świeży prowiant. W owym czasie budowano na Lemnos okręty. Z obawy jednak przed piratami nie wykańczano statków, których budowę rozpoczęto, a gotowe okręty nic wypływały na morze. Stąd to przepelnienie.

Wieści, które tu do uszu Henryka d’Albaret doszły, umacniały go tylko w zamiarze dokonania wyprawy na północ archipelagu. Imię bowiem Sacratifa wspominano bowiem tu nieraz zarówno wobec niego jak i wobec jego

oficerów.

„Ach, zawołał kapitan Todros, pragnę gorąco spotkać się z tym łotrem, który wydaje mi się być legendarną postacią. Miałbym w ten sposób przynajmniej dowód, że istnieje on rzeczywiście.

– Czy wątpisz pan w jego istnienie? spytał zaciekawiony Henryk d'Albaret.

– Na honor komendancie, odparł Todros, jeśli pan chcesz bym był szczerzy, to muszę panu powiedzieć, że wogóle nie wierzę w istnienie owego Sacratifa, a nie znam nikogo, ktoby mógł się pochwalić, że go widział. Może jest to tylko wojenny przydomek, który piraci nadają sobie po kolei. Nie jeden z nich nosił już zapewne to imię; jednak to nic nie szkodzi! Cała rzecz w tem, aby tych łotrzyków powywieszać, a tej przyjemności im chyba nie odmówimy.

– To co pan mówisz, jest bardzo prawdopodobne, odparł Henryk d'Albaret, w ten sposób możnaby wytłumaczyć jego wszędyobecność.

– Ma pan słuszność, panie komendancie, dodał jeden z oficerów. Jeśli Sacratif ukazuje się jak ludzie twierdzą, równocześnie w kilku miejscach, to dowodzi to niezbicie, że imię to nadaje sobie większa ilość korsarzy.

– A czynią to jedynie w tym celu, aby zmylić pościg, zauważył kapitan Todros. Jednak istnieje, powtarzam, niezawodny środek na wygubienie tego imienia. – Wszyscy, którzy to imię noszą, muszą być schwytani i powieszani... a nawet i ci wszyscy, którzy je niegdyś nosili. W ten sposób prawdziwy Sacratif, o ile wogóle taki istnieje, nie uniknie dobrze zasłużonego stryczka”.

Kapitan Todros miał bezwątpienia słuszność, należało jednak tylko tego zbrodniarza najpierw schwytać.

„Kapitanie Todros, spytał Henryk d'Albaret, czy nie spotkałeś pan w czasie wyprawy „Syphanty” lub przedtem, sakolewy wielkości około stu tonn, zwanej „Karysta?”

– Nigdy, odparł drugi oficer.

– A panowie?” ciągnął dalej komendant, zwracając się do swych oficerów.

Ani jeden z nich nie słyszał nic o sakolewie, jakkolwiek większość z nich pełniła służbę na wodach archipelagu od początku walki o niepodległość.

„Czyż nie słyszeli panowie nigdy o Mikołaju Starkosie, kapitanie owej „Karysty?” spytał z naciskiem Henryk d'Albaret. Imię to było zupełnie nieznane oficerom korwety. Nie było to wcale dziwnem, albowiem chodziło tu tylko o dowódcę zwykłego statku handlowego, które spotyka się setkami w portach Lewantu.

Todros przypominał sobie niejasno, że słyszał o Mikołaju Starkosie, gdy przebywał w porcie Arkadja w Messenji. Imię to miał nosić jeden z tych

kapitanów trudniących się kontrabandą, którzy przewożą jeńców kupowanych u władz tureckich do krajów Barbaresków.

„Jednak to nie może być ten Starkos, o którym pan mówisz, dodał. Ten był bowiem, wedle słów pańskich dowódcą sakolewy, a sakolewa nie nadaje się do przewożenia jeńców.

– Oczywiście że nie!” odrzekł Henryk d’Albaret i dał narazie spokój wypytywaniu.

To ciągle zajmowanie się Mikołajem Starkosem pochodziło stąd, że myśli jego krążyły uporczywie około tajemniczego zniknięcia Hadżine Elizundo i Androniki, a te dwa imiona łączyły się ciągle ze sobą w jego wspomnieniach.

25 marca znajdowała się „Syphanta” na wysokości wyspy Samotrake, w odległości sześćdziesięciu mil na północ od Scio. Gdy weźmiemy pod uwagę ilość czasu zużytego na przebycie tej drogi, spostrzeżemy, że „Syphanta” przetrząsnęła po drodze zapewne wszystkie kryjówki. O ile zatoka jakaś była za płytka i „Syphanta” nie mogła do niej wpłynąć, wtedy wysyłano łodzie na poszukiwania. Dotychczas jednak wszystkie takie poszukiwania pozostały bez wyniku.

Wyspa Samotrake została podczas wojny straszliwie spustoszona a w owym czasie była jeszcze w mocy Turków. Można się więc było spodziewać, że korsarze będą szukać i zapewne znajdą tu schronienie w licznych zatokach wyspy – ponieważ właściwego portu wyspa nie posiada. Na wyspie wznosi się góra Saoce, wysoka na pięć do sześciu tysięcy stóp. Strażnik, stojący na jej szczycie mógł zawczasu dostrzec i zasygnalizować każdy podejrzany okręt. W ten sposób ostrzeżeni piraci mogli uniknąć, zanim ów okręt się przybliżył. W każdym razie jakieś okręty musiały u brzegów wyspy być ukryte, albowiem „Syphanta” nie napotkała na morzu ani jednego statku.

Henryk d’Albaret wziął teraz kurs na północny zachód, aby dotrzeć do wyspy Thasos, odległej o dwadzieścia mil od Samotraki. Ponieważ wiatr wiał w kierunku przeciwnym, musiała „Syphanta” lawirować pod wiatr; wkrótce jednak zastąpił ją ląd i korweta wpłynęła na spokojniejsze wody, gdzie jazda była łatwiejszą i przyjemniejszą.

Jak dziwnie układały się jednak losy wysp archipelagu! Podczas gdy Scio i Samotrake ucierpiały wiele od Turków, udało się wyspom Thasos, Lemnos i Imbro uniknąć tego smutnego losu. Ludność wyspy Thasos jest pochodzenia greckiego. Panują tu jeszcze prastare zwyczaje. Mężczyźni i kobiety zachowali dawny strój i uczesanie nadające im wdzięk starożytności. Turcy, którym wyspa podlega od piętnastego wieku, mogli więc tu dowolnie rabować, nie napotykając na opór. Dziwnym trafem jednak uniknęła wyspa rabunków, jakkolwiek jej bogactwa mogły łatwo wzbudzić pożądanie u tych bezecnych barbarzyńców.

Gdyby nie przybycie „Syphanty”, wyspa Thasos doświadczyłaby była jednak, prędzej czy później, całej grozy rabunku.



W dniu 2 kwietnia mianowicie zagrażało wyspie niebezpieczeństwo, albowiem korsarze zamierzali wylądować w północnym porcie wyspy, dziś Port Pyrgo zwanym. Przybyli oni na pięciu lub sześciu mistikach<sup>27</sup> i djermach, którym towarzyszyła brygantyna uzbrojona w dwanaście dział. Ten napad bandytów na ludność nienawykłą do wojny musiałby się być zakończyć najokropniejszą rzezią, albowiem wyspa nic posiadała, nigdzie dostatecznych sił zbrojnych, któreby mogły stawić opór korsarzom.

W samą więc porę przybyła korweta do portu. Statki korsarskie, zawiadomione o niebezpieczeństwie sygnałem wywieszonym na wielkim maszcie brygu, ustawiły się w ordynku bojowym, co wskazywało na niebywałą u korsarzy odwagę.

„Czyżby odważyli się na przypuszczenie ataku? zawołał kapitan Todros, który stał na mostku kapitańskim obok komendanta.

– Nie wiadomo, czy chcą atakować czy jedynie bronić się, odparł Henryk d’Albaret, zdziwiony zachowaniem się piratów.

– Do diabła, spodziewałem się raczej ujrzeć tych łotrów umykających z rozpiętymi żaglami.

– Przeciwnie, kapitanie Todros, niech stawiają opór... lub jeszcze lepiej niech nas zaatakują! Gdyby rzucili się do ucieczki, udałoby się może niektórym z nich umknąć. Zakomenderuj pan: „Gotujcie się do walki!”

Rozkaz komendanta został natychmiast spełniony. Działa otrzymały amunicję, przygotowano lonty, tak, że obsługa mogła je wygodnie użyć. Na pokładzie gotowano się do walki i rozdzielono broń, muszkiety, pistolety, szable i haki<sup>28</sup>. Majtkowie byli gotowi spełnić swój obowiązek zarówno podczas walki, jak i podczas ścigania uciekających. Wszystko wykonano szybko i sprawnie jak na prawdziwym okręcie wojennym.

Tymczasem korweta zbliżała się do flotyli, gotowa zarówno do ataku, jak i do obrony. Komendant zamierzał ruszyć wprost na brygantynę, dać ognia z wszystkich dział jednego boku i unieszkodliwszy ją w ten sposób, wedrzeć się na pokład.

W każdym razie było możliwym, że piraci gotując się do walki, myśleli równocześnie o ucieczce. Zaskoczeni niespodzianie przez korwetę, która opanowała wejście do portu, nie mogli już umknąć i nie pozostawało im nic innego jak zdobyć siłą wolny przejazd.

Ogień rozpoczęła brygantyna. Strzały jej miały na celu pozbawić „Syphantę” jednego z masztów. O ileby się jej to udało, położenie korsarzy poprawiłoby się, albowiem mogli mieć nadzieję umknięcia przed niebezpiecznym przeciwnikiem.

Kule przeleciawszy w wysokości siedmiu lub ośmiu stóp nad pokładem „Syphanty”, rozdarły kilka lin i szkot oraz pogruchotały kilka mniejszych reji. Strzaskały również kilka zapasowych części i zraniły lekko czterech marynarzy. Na ogół uszkodzenia okrętu były nieznaczne.

Henryk d'Albaret, nie zaraz odpowiedział strzałami. Żeglował dalej i dał ognia z dział prawego boku dopiero wtedy, gdy dym poprzednich strzałów się rozwiął.

Komendant brygantyny wykonał, korzystając z wiatru – obrót tak szczęśliwie, że tylko dwie lub trzy kule trafiły kadłub powyżej linii i zanurzenia. W ten sposób mimo zabicia kilku ludzi z załogi mogła brygantyna jeszcze dalej walczyć.

Pociski korwety, które chybiły, nie poszły jednak całkiem na marne. Brygantyna wykonując obrót, odsłoniła mistykę, która otrzymała większą część kul w lewy bok kadłuba, tak, że woda zaczęła się wdzierać do wnętrza.

„No, o ile nie brygantyna to przynajmniej jej towarzyszka dostała porcję żelaznych fasoli w żołądek, zawołał jeden z majtków, stojących na przednim kasztelu „Syphanty”.

– Zakładam się o moją porcję wina, że zatonie w przeciągu pięciu minut!

– W przeciągu trzech!

– Zakład stoi, chcę tylko aby mi twoje wino tak łatwo przez gardło przeszło, jak do jej wnętrza wpływa woda przez dziury!

Tonie!... Tonie!...

– Zanurzyła się już po burty... wnet zniknie zupełnie.

– A te łotry tam skaczą w wodę i ratują się pływaniem...

– Podoba im się widocznie bardziej śmierć na stryczku aniżeli utonięcie. Nie będziemy im w tym przeszkadzali!”

Mistyka pograżyła się rzeczywiście w fale. Zanim jednak woda dosięgła burty, skoczyła załoga w nurty, usiłując dopłynąć do innych statków flotylli.

Ludzie na tamtych statkach mieli jednak coś lepszego do roboty, jak zajmować się ratowaniem rozbitków z mistyki. Myśleli jedynie o ucieczce. Nieszczęśliwi znaleźli więc śmierć w falach, a nikt nie rzucił im nawet liny, by ich na pokład wyciągnąć.

Druga salwa „Syphanty” dosięgła jedną z djerma, ustawioną bokiem do niej i uczyniła ją zupełnie niezdolną do walki; nie trzeba sobie było nawet zadawać trudu, by ją całkowicie zniszczyć. Wkrótce znikła djerma w płomieniach pożaru, który wznieciły ogniste kule rzucone na jej pokład.

Inne małe statki, widząc obrót jaki walka przybrała, zrozumiwały, że nie ostoją się pod ogniem ciężkich dział. Nawet ucieczka nie miała widoków powodzenia ze względu na wielką szybkość „Syphanty”.

Kapitan brygantyny uczynił więc to, co mu jedynie do uczynienia zostało, jeśli chciał uratować załogę. Dał sygnał i w przeciągu kilku minut wszyscy piraci schronili się na pokład brygantyny. Opuszczone statki podpalili i

wysadzili w powietrze.

Załoga brygantyny wzmocniona teraz około setką ludzi, mogła łatwo stawić czoło napadowi nieprzyjaciela, o ileby się jej nie dało umknąć.

Jakkolwiek korsarze byli teraz liczebnie równi załodze korwety, to jednak ucieczka byłaby dla nich jeszcze najlepszym wyjściem. Nie wahali się też długo a korzystając z większej szybkości swego statku, postanowili umknąć na wybrzeża Turcji. Kapitan ich mógłby tam ukryć statek tak dobrze w skałach nadbrzeżnych, że korweta nie znalazłaby go i nie mogłaby go ścigać.

Wiatr wzmógł się, znacznie. Mimo to brygantyna rozpięła wszystkie żagle i nie zważając na możliwość złamania się masztów poczęła się oddalać od Syphanty”.

„Ładnie umyka, zawołał kapitan Todros, byłoby to jednak bardzo dziwne, gdyby jej nogi okazały się dłuższe od nóg korwety!”

Zwrócił się następnie do komendanta, oczekując rozkazu.

W tej jednak chwili uwaga Henryka d’Albaret była zajęta czemś innym. Nie patrzył zupełnie na brygantynę. Obserwował przez lunetę lekki statek, który rzucił się właśnie do spiesznej ucieczki z portu Thasos.

Była to sakolewa. Pędzona północno-zachodnim wiatrem, który pozwolił jej na rozpięcie wszystkich żagli, wpłynęła poprzednio z południowej strony do portu.

Henryk d’Albaret, popatrzawszy przez chwilę bystro w jej kierunku, odjął gwałtownie lunetę od oka.

„Karysta!” zawołał.

– Jakto, czyżby to była ta sakolewa, o którejśmy mówili? spytał kapitan Todros.

– „Ta sama; dałbym dużo za to, by ją doścignąć...”

Henryk d’Albaret nie dokończył zdania. Nie mógł się ani chwili wahać w wyborze między brygantyną, na której znajdowała się liczna załoga korsarska, a „Karystą”, którą w każdym razie dowodził Mikołaj Starkos. Mógł był oczywiście zaprzestać pościgu brygantyny i zabiegłszy drogę sakolewie, zaatakować ją i zdobyć. Byłby jednak wtedy poświęcił interes ogółu dla sprawy prywatnej, tego nie było mu wolno uczynić. Obowiązek nakazywał puścić się bezzwłocznie w pogoń za brygantyną i zniszczyć ją. Zdecydował się też natychmiast. Po raz ostatni spojrział w kierunku „Karysty”, która zmykała co sił i wydał następnie potrzebne rozkazy, aby ścigać okręt korsarski, który umykał w przeciwną stronę.

Z rozpiętymi żaglami puściła się „Syphanta” w pogoń za brygantyną. Równocześnie wycelowano działa, a ponieważ odległość między obydwoma statkami nie przenosiła pół mili, przeto działa poczęły otwierać swe spiżowe paszcze i przemawiać słowami, które były nie w smak brygantynie. Skręciła

więc o dwie ćwierci i próbowała w tym kierunku oddalić się od przeciwnika.

Zawiodła się jednak. Sternik korwety skręcił ster i „Syphanta” zmieniła również kurs.

Pościg trwał już blisko godzinę. Piraci byli coraz bliżej i nie ulegało wątpliwości, że jeszcze przed północą zostaną dopędzeni. Walka jednak, jaką oba statki stoczyć miały, zakończyła się całkiem inaczej.

Jedna z kul wystrzelonych z dział „Syphanty”, strzaskała fokmaszt brygantyny. Statek zdany więc był na łaskę wiatru, a korweta brasując<sup>29</sup> tylko żagle znalazła się po upływie kwadransa naprzeciw statku korsarskiego.

Głuchy grzmot dział potoczył się po wodzie. „Syphanta” dała ognia z całej baterji z odległości około stu sążni. Ten grad żelaza poderwał wprost brygantynę w górę. Nie zatonała ona jednak, albowiem trafiona została powyżej linii zanurzenia.

Kapitan brygantyny, której załogę ostatnia salwa zdziesiątkowała, widział jasno, że nie może się dłużej bronić; wywiesił więc białą flagę. Łodzie korwety przybiły niebawem do brygantyny i zabrały pozostałą przy życiu załogę. Następnie podpalono statek.

Gdy ogień doszedł do linii zanurzenia statek zatonął bez szmeru.

„Syphanta” dokonała w ten sposób dobrej i pożytecznej rzeczy. Kim był dowódca owej flotyli, jak się nazywał, skąd pochodził i czym się przedtem zajmował, nie dowiedziano się nigdy, milczał bowiem uporczywie na wszelkie zadawane mu pytania. Również i jego ludzie zacięli się w milczeniu. Być może, że nie wiedzieli nawet nic o dotychczasowych zajęciach tego, który nimi dowodził. Nie ulegało jednak wątpliwości, że byli korsarzami, więc też postąpiono z nimi jak należało.

Pojawienie się i zniknięcie sakolewy wzbudziło dziwne myśli w Henryku d’Albaret. Statek ten, ze względu na dziwne okoliczności, wśród jakich opuścił port Thasos, był mu jeszcze bardziej podejrzany; wykorzystał bowiem toczącą się walkę i umknął. Widocznie obawiał się zetknięcia z „Syphantą” przez którą mógł być łatwo poznany. Uczciwy okręt byłby pozostał spokojnie w porcie, tem bardziej, że piraci stamtąd uciekali. „Karysta” natomiast, nie bacząc na możliwość dostania się w łapy rozbójników, podniosła spieszenie kotwicę i wypłynęła na pełne morze. Nie mogła być bardziej dwuznacznie postąpić i należało przypuszczać, że łączyły ją z korsarzami jakieś tajemne węzły. Komendant Henryk d’Albaret nie zdziwiłby się nawet, gdyby w Mikołaju Starkosie odkrył współnika piratów. W tej jednak chwili mógł się spodziewać, że tylko szczęśliwy traf zdoła go na ślad „Karysty” naprowadzić. Noc zapadła i „Syphanta” która skierowała się bardziej na południe, straciła nadzieję spotkania sakolewy. Henryk d’Albaret żałował bardzo, że nie skorzystał z nadarzającej się sposobności schwytania Mikołaja Starkosa; musiał się jednak pogodzić z losem, i pocieszyć się tem, że wypełnił obowiązek. Wynikiem walki pod Thasos było zniszczenie pięciu korsarskich statków, przyczem korweta poniosła tylko nieznaczne straty. W ten sposób zapewniono północnej części archipelagu – na pewien czas przynajmniej –

spokój i bezpieczeństwo.

## Rozdział XI

### Sygnaly bez odpowiedzi.

Po bitwie pod Thasos krążyła „Syphanta” przez ośm dni po wodach zatoki Contessa, przeszukawszy uprzednio wszystkie zatoki wybrzeża Turcji od Cavale aż do Orphany. Następnie pożeglowała od przylądka Doprano aż do przylądka Paliuri, minawszy przytem zatoki Monte Santo i Cassandra; w ciągu dnia 15 kwietnia znikły z widoku szczyty góry Athos, z których najwyższy wznosi się na dwa tysiące metrów nad poziom morza.

Podczas tej podróży nie napotkano żadnego podejrzanego statku. Widywano wprawdzie kilkakrotnie flotyle tureckie; „Syphanta” jednak, żeglująca pod korfijską flagą nie miała potrzeby porozumiewać się z temi statkami. Jej komendant wolałby pozdrowić Turków raczej strzałami armatnimi, niż uchYLENIEM kapelusza.

W tych okolicznościach otrzymał Henryk d'Albaret w dniu 26 kwietnia wiadomość o bardzo ważnym zdarzeniu. Państwa sprzymierzone postanowiły mianowicie, że należy zatrzymywać wszelkie statki wiozące pomoc Ibrahimowi. Rosja wypowiedziała nawet otwarcie wojnę sułtanowi. Położenie Grecji poprawiło się więc znacznie i kraj cały zbliżał się, jakkolwiek powoli, do chwili, w której odzyska niepodległość.

Dnia 30 kwietnia dotarła korweta w głąb zatoki salonickiej. W ten sposób osiągnęła najbardziej na północ położony punkt, do którego miała dotrzeć. Tu nadarzyła się sposobność zapolowania na kilka stateczków, których jedynym ratunkiem mogła być ucieczka na brzeg. O ile więc załoga tych statków zdołała się częściowo uratować, to jednak statki zostały w przeważnej części zniszczone.

„Syphanta” zwróciła się teraz znów na południe, z zamiarem dokładnego przeszukania południowych wybrzeży zatoki salonickiej. Widocznie jednak dotarła tam wieść o jej przybyciu, albowiem nie napotkano ani jednego korsarza, któregooby można było powiesić.

Na pokładzie korwety wydarzył się tymczasem dziwny i niewytłumaczony wypadek.

Dnia 10 maja, około godziny siódmej wieczór, Henryk d'Albaret wszedłszy do swej kajuty, która zajmowała cały tylny pokład „Syphanty”, spostrzegł leżący na stole list. Wziął go do ręki, podszedł do lampy,

kołyszącej się u sufitu i odczytał adres, który brzmiał następująco:

*„Do kapitana Henryka d’Albaret, komendanta korwety „Syphanta”,  
znajdującej się obecnie w podróży”.*

Henrykowi d’Albaret wydawało się, że charakter pisma jest mu znany. Był on zupełnie podobny do charakteru pisma, doręczonego mu na wyspie Scio, a które wzywało go do zajęcia opróżnionego na korwecie miejsca.

List, który trzymał w ręku, a który znalazł się tu w tak dziwny sposób – o tem aby go poczta doręczyła nie mogło być mowy – miał treść następującą:

*„Jeśli komendant Henryk d’Albaret może i zechce swą jazdą tak pokierować, aby w pierwszym tygodniu września znalazł się na wodach opływających wyspę Scarpanto, to przysłuży się dobru ogólnemu i powierzonemu sobie zadaniu”.*

List ten, podobnie jak doręczony mu na Scio, nie zawierał ani daty ani podpisu. Porównawszy oba listy, utwierdził się Henryk d’Albaret w przekonaniu, że pisała je jedna i ta sama ręka.

Jak miał to sobie wytłumaczyć? Pierwszy list otrzymał w zwyczajny sposób pocztą; ten drugi mógł się tu dostać jedynie za pośrednictwem osoby znajdującej się na pokładzie. Osoba ta musiała mieć ten list przy sobie już od początku podróży, lub też dostała go podczas jednego z ostatnich postojów „Syphanty”. Gdy komendant opuszczał przed godziną kajutę, aby udać się na pokład i wydać rozkazy na noc, listu nie było jeszcze na stole. List ten musiano zatem conajwyżej przed godziną położyć na stole.

Henryk d’Albaret zadzwonił.

Zjawił się bosman.

„Czy wchodził ktoś do mej kajuty podczas gdy ja byłem na pokładzie?” spytał Henryk d’Albaret.

– Nikt, panie komendancie, odparł majtek.

– Nikt?... Czy mógł tutaj ktoś wejść, niezauważony przez ciebie?

– Nie, panie komendancie. Nie spuszczałem drzwi ani na chwilę z oka.

– Dobrze”.

Bosman odszedł zaszalutowawszy.

„I mnie również wydaje się, rzekł Henryk d’Albaret do siebie, że niemożliwym jest, aby ktoś z załogi mógł tu niespostrzeżony wejść. Mogło się jednak zdarzyć, że ktoś korzystając z ciemności, wspiął się po balustradzie i wszedł tu przez okno”.

Henryk d’Albaret zbadł więc okna podobne do otworów strzelniczych, które wychodziły na tylny pokład korwety. Okna te jednak jak i okna jego

sypialni były zamknięte od wewnątrz. Niemożliwym więc było, aby ktoś wszedł tą drogą do kajuty.

Wypadek ten nie zaniepokoił wcale Henryka d'Albaret. Był on dlań tylko niespodzianką, która podnieciła jego ciekawość, zwyczajną wobec takich zagadkowych zdarzeń.

Pewnym było tylko, że ten anonimowy list dostał się do rąk właściwego adresata, którym był nikt inny jak dowódca „Syphanty”.

Po namyśle postanowił Henryk d'Albaret nie wspominać nikomu o tej całej historii. Nie powiedział o niej nawet swemu drugiemu oficerowi. Jakąż byłby bowiem odniósł z tego korzyść? Tajemniczy nadawca listu nic zostałby przecież przez to odkryty.

Komendant zastanowił się teraz, czy ma spełnić życzenie, wyrażone w liście.

„Oczywista, rzekł do siebie. Ten, który posłał mi pierwszy list nie oszukał mnie przecież, donosząc mi, że w sztabie „Syphanty” jest wolne miejsce. Dlaczegoż miałby mnie więc teraz za drugim razem zwodzić, każąc mi w pierwszym tygodniu września podążyć na wyspę Scarpanto. Jeśli daje mi polecenie, to dzieje się to widocznie dla dobra powierzonej mi sprawy. Tak więc zmienię plan podróży i znajdę się w oznaczonym czasie tam, gdzie mnie widocznie oczekują”.

Henryk d'Albaret schował troskliwie list, w którym udzielono mu nowych instrukcji; następnie rozłożył na stole mapy morza i począł opracowywać nowy plan wypraw, aby spędzić pożytecznie te cztery miesiące, które jeszcze do końca sierpnia pozostawały.

Wyspa Scarpanto leży na południowym wschodzie, na drugim końcu archipelagu, a więc w odległości kilkuset mil liczonych w linii prostej. Korweta będzie więc miała dość sposobności na przeszukanie wybrzeży Morei, na których rozbójnicy morscy łatwo się mogą ukryć, jakoteż całej grupy Cyklad, rozsianych na morzu od zatoki Egińskiej aż do Krety.

Plan wyprawy nakreślony poprzednio przez Henryka d'Albaret nie uległ więc wielkiej zmianie przez to, że korweta miała się w oznaczonym czasie znaleźć w pobliżu wyspy Scarpanto. Mógł więc wykonać polecenie zawarte w liście, nic skreślając ani jednego ważnego punktu ze swego pierwotnego programu.

W dniu 20 maja pożeglowała więc „Syphanta” dalej, aby przeszukawszy pobieżnie małe wyspy Pelerissa, Peperi, Sarakino i Skantxura, zbadać szczegółowo wyspę Scyros na północ od Negropontu<sup>30</sup>.

Scyros jest najznacniejszą z owych dziewięciu wysp, które w starożytności uważano za kolebkę dziewięciu muz. W jej obszernym porcie Św. Jerzego, mogła się korweta zaopatrzyć łatwo w świeże środki żywności, owce, kuropatwy, pszenicę i jęczmień, jakoteż zabrać dostateczny zapas świetnego wina, które ten kraj w obfitości wytwarza. Wyspa ta, która odegrała ważną rolę w napół mitologicznych dziejach wolny trojańskiej, które

bohaterami byli Lykomedes, Achilles i Ulysses, miała niebawem jako część eparchji Euboei stać się częścią nowego królestwa Greckiego.

Ponieważ brzegi Scyros są poprzerywane licznymi zatokami, w których korsarze mogą się łatwo ukryć, przeto Henryk d'Albaret kazał je dokładnie przeszukać. Podczas gdy korweta zatrzymała się w oddaleniu kilkuset sążni, łodzie przetrząsały dokładnie każdy zakamarek wybrzeża.

Również i to poszukiwania nic dały wyniku, kryjówki były puste. Od władz miejscowych dowiedział się komendant tylko tyle, że przed blisko czterema miesiącami statek żeglujący pod korsarską banderą napadł w bliskości wyspy na kilka statków handlowych i zniszczył je po obrabowaniu. Ten bezcelny napad przypisywano osławionemu Sacratifowi, nikt jednak nie mógł podać faktów na poparcie tego twierdzenia, i było bowiem nawet problematyczne, czy ten korsarz istniał w rzeczywistości.

Po sześciodniowym pobycie opuściła korweta Scyros. Pod koniec miesiąca zbliżyła się do wyspy Eubea, zwanej również Negroponte i zbadała dokładnie jej wybrzeże na przestrzeni czterdziestu mil.

Jak wiadomo wyspa ta rzuciła się z początkiem roku 1821 – jako jedna z pierwszych – w wir walki; Turcy jednak ufortyfikowawszy cytadele Negropontu i Karystos bronili się w nich z niezwykłym uporem. Gdy następnie otrzymali posiłki w postaci wojsk Jussufa Paszy, spustoszyli całą wyspę ogniem i mieczem. Dopiero w r. 1823 grecki kapitan Diamantis położył kres tym barbarzyństwom. Udało mu się zaskoczyć znieścacka żołnierzy tureckich. Jedna część tychże zapłaciła za swe zbrodnie życiem, druga uratowała się ucieczką przez cieśninę morską do Tessalji.

Ostatecznie jednak zwyciężyli Turcy dzięki swej liczebnej przewadze. Po daremnych usiłowaniach pułkownika Fabviera i szefa szwadronu Regnauda de Saint Jean d'Angély w r. 1826, pozostali Turcy panami wyspy.

W tym czasie, gdy „Syphanta” przepływała obok wybrzeży Negropontu, wyspa ta była jeszcze w rękach tureckich. Z pokładu okrętu spoglądał Henryk d'Albaret na ten teren najkrwawszych bojów, w których sam brał zaszczytny udział. Obecnie nie walczone tam już, a po uznaniu nowego królestwa greckiego stała się Eubea z sześciu tysiącami jej mieszkańców prowincją Grecji.

Mimo, że sprawowanie policji morskiej na tych wodach było bardzo niebezpieczne, albowiem sprawowano ją nieraz pod ogniem dział tureckich, to jednak korweta pracowała dalej i udało się jej zniszczyć jeszcze blisko dwadzieścia statków korsarskich, które zapuściły się aż w okolice Cyklad.

Wyprawa ta zajęła prawie cały czerwiec. Następnie pożegłowała korweta bardziej na południe. Pod koniec miesiąca znalazła się na wysokości Andros. Ta pierwsza wyspa grupy Cyklad, leży blisko południowego końca Eubei. Ludność jej owiana duchem patriotycznym powstała równocześnie z ludnością Psary przeciw Turkom.

Komendant d'Albaret uważał za stosowne zmienić kurs statku, aby



zbliżyć się do wybrzeży Peloponezu; skierował się więc najkrótszą drogą wprost na południowy zachód. Dnia 2 czerwca ujrano wyspę Zea, w starożytności Cos lub Ceos zwaną, której najwyższe wzniesienie stanowi góra Eljasza.

W porcie wyspy Zea, który jest najlepszym z portów w tych okolicach, pozostała „Syphanta” przez kilka dni. Henryk d’Albaret i jego oficerowie odnaleźli tu wielu Zeotów, którzy byli niegdyś ich towarzyszami broni. Korweta została więc jaknajgościnniej przyjęta. Ponieważ jednak żaden z korsarzy nie miał ochoty pojawić się w którejś z zatok wyspy, przeto „Syphanta” nie zwlekła z wyruszeniem i już 5 lipca przepłynęła obok przylądka Cap Coloma na południu Attyki.

Szybkość podróży zmalała pod koniec tygodnia, albowiem u wejścia do zatoki Egińskiej, która wrzyna się w ląd Grecji aż po Isthmus koryncki, wiatr ustał zupełnie. Smutno zwiślały żagle „Syphanty”, która nie mogła się ani o krok naprzód posunąć. Gdyby ją na tych mało uczęszczanych morzach kilkaset łodzi śmiało zaatakowało, z trudnością zaledwie mogłaby się była obronić.

Załoga była też w stałym pogotowiu do odparcia ewentualnego napadu, co jej mogło wyjść tylko na dobre.

Od czasu do czasu ukazywały się rzeczywiście rozmaite łodzie, których zamiary były całkiem jasne; działa i muszkiety załogi trzymały je jednak w przyzwoitej odległości.

Okolo 10 lipca powiał słaby wiatr z północy. Było to bardzo sprzyjającą okolicznością dla „Syphanty”, która mogła teraz minąć w szybkim tempie przylądek Skyli leżący na krańcu zatoki Nauplja.

Dnia 11 ujrano Hydrę a dwa dni później Spezzję. Nie potrzeba chyba wspominać, jak wielką rolę odegrali mieszkańcy tych wysp w wojnie o niepodległość. Z początkiem wojny posiadali mieszkańcy Hydry, Spezzji i Isparji ponad trzysta statków handlowych. Przemieniwszy je o tyle, ile to było możliwem, na statki wojenne, wysłali je przeciw flocie ottomańskiej i odnieśli nawet pewne sukcesy. Stąd wywodzą się rodziny Conduriotisów, Tombasisów, Miaulisów, Orlandosów i wielu innych, którzy złożyli na ołtarzu ojczyzny zarówno majątek jak i własną krew. Stąd wyruszyły owe straszne okręty podpalacze<sup>31</sup>, które stały się postrachem Turków. Mimo licznych wewnętrznych waśni nie powstała jeszcze noga najeźdźcy na tych wyspach.

Właśnie w czasie pobytu „Syphanty” poczęły te wyspy wycofywać się z walki, którą obie strony, ze słabnącą już energją prowadziły. Niedaleką już była chwila przyłączenia ich do królestwa Grecji i utworzenia dwóch eparchji<sup>32</sup> z okręgów Koryntu i Argolidy.

Dnia 20 lipca zarzuciła korweta kotwicę w Hermopolis na wyspie Syra, która jest ojczyzną wiernego Eumeosa, opiewanego przez Homera. W owym czasie służyła ona za miejsce przytułku dla tych wszystkich, których Turcy wygnali z stałego lądu.

Syra, której katolicki biskup znajduje się od najdawniejszych czasów pod protektoratem Francji, dała Henrykowi d'Albaret wszystko, czego potrzebował. W żadnym z portów własnej ojczyzny nie doznałby on lepszego przyjęcia.

Radość z powodu tego nieoczekiwanego przyjęcia została jednali zamażona. Należało bowiem żałować, że „Syphanta” nie przybyła tam trzy dni wcześniej.

Konsul francuski napomknął bowiem w rozmowie z Henrykiem d'Albaret, że jakaś sakolewa, o nazwie „Karysta”, która żeglowała pod grecką banderą, opuściła port najwyżej przed sześćdziesięciu godzinami. Można stąd było więc wnosić, że „Karysta”, która umknęła w czasie walki z korsarzami, skierowała się ku południowej części archipelagu.

„Czy wiadomo panu, dokąd owa sakolewa pożeglowała? spytał żywo Henryk d'Albaret.

– Wnosząc z tego co słyszałem, skierowała się ona ku wyspom leżącym na południowym wschodzie, o ile nawet nie na samą Kretę.

– Czy nie mówiłeś pan wogóle z jej kapitanem? pytał dalej Henryk d'Albaret.

– Nie widziałem go nawet, panie komendancie.

– Nie wiesz pan, czy ów kapitan nazywał się może Mikołaj Starkos?

– Nie wiem.

– Czy nie powziął tu nikt podejrzenia, że sakolewa należy do flotylli korsarskiej, która niepokoi tę część archipelagu?

– Nikt; jeżeli jednak tak jest jak pan mówisz, odparł konsul, to nie należy się dziwić, że udała się ona na Kretę, której pewne porty stoją oddawna otworem dla tych zbrodniarzy”.

Te wiadomości, podobnie jak wszystko, co miało związek ze zniknięciem Hadzine Elizundo, poruszyły nie mało komendanta „Syphanty”. Oczywiście, że było to więcej jak nieprzyjemnie przybyć tu w tak krótki czas po odejście sakolewy.

Ponieważ jednak sakolewa odpłynęła na południe, a korweta miała wziąć ten sam kurs, przeto zachodziła możliwość spotkania jej jeszcze gdzieś po drodze. Henryk d'Albaret, który pragnął za wszelką cenę stanąć oko w oko z Mikołajem Starkosem, opuścił Syrę wieczorem dnia 21 lipca, korzystając z lekkiej morki, która wedle zapowiedzi barometru miała jeszcze przybrać na sile.

Przez następne dwa tygodnie ścigał Henryk d'Albaret zarówno sakolewę jak i piratów. Wedle jego zdania należało z „Karystą” postąpić tak jak z każdym statkiem korsarskim. Zresztą o ile się nadarzy sposobność, to okaże

się już, co z nią należy uczynić.

Początkowo jednak nie udało się korwecie mimo wszelkich usiłowań natrafić na ślad sakolewy. U wyspy Naxos, której wszystkie porty przeszukano, nie zarzuciła ona kotwicy. Nie lepiej poszło między mieliznami i skałami otaczającymi owe wyspy. Prócz tego nie napotkano na żadnych piratów, mimo że okolice te są przez nich bardzo chętnie nawiedzane. Pomiędzy poszczególnymi wyspami grupy Cyklad panuje bowiem ożywiony ruch handlowy a nadzieja obfitego łupu ściąga tu licznie rabusiów morskich.

Również na wyspie Paros, którą oddziela od Naxos cieśnina szeroka na siedem mil morskich, nie dowiedziano się niczego nowego. Mikołaj Starkos nie zawinął ani do portu Parkia, Naussa lub Santa Maria, ani też do Auguli lub Dico. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pożeglowała sakolewa, jak słusznie przypuszczał konsul, na wybrzeże Kreta.

W dniu 9 sierpnia zarzuciła „Syphanta” kotwicę w porcie wyspy Milo. Wyspa ta bardzo bogata aż do osiemnastego wieku, zubożała następnie wskutek wybuchów wulkanicznych. Ludność cierpi wskutek niezdrowych wyziewów i liczba jej zmniejsza się dlatego z dnia na dzień.

Również i tu nie dały poszukiwania żadnego wyniku. Nie tylko, że nie spotkano „Karysty”, ale nie nadarzyła się nawet sposobność do schwytania kogoś z korsarzy, którzy pojawiają się w tych okolicach bardzo często. Ta okoliczność naprowadziła na domysł, że łotrom tym musiano zawczasu donieść o bliskim przybyciu „Syphanty”, tak, że mieli dość czasu do ucieczki. Zbójcom grasującym w północnych częściach archipelagu dała się korweta dobrze we znaki, tak że łotrzykowie operujący na morzach południowych woleli uniknąć spotkania z nią.

W każdym razie okolice te były teraz bardzo bezpieczne, tak, że okręty handlowe mogły bez obawy żeglować. Henryk d’Albaret wypytywał dokładnie patronów i kapitanów szebek, senali, polakr, tartan, feluk, karawell i innych statków, które napotymano po drodze. W ich odpowiedziach nie znalazł jednak pożądanых wskazówek.

Tymczasem nadszedł już 14 sierpnia i już tylko kilkanaście dni pozostawało do pierwszego tygodnia września, w którym miano znaleźć się w pobliżu wyspy Scarpanto. O ileby „Syphanta” minęła Cyklady, to pozostawałoby jej jeszcze do przepłynięcia siedemdziesiąt do osiemdziesięciu mil w kierunku na południe. Ta część morza zamknięta jest wyspą Kretą, której szczyty okryte wiecznym śniegiem ukazały się już na horyzoncie.

Komendant Henryk d’Albaret postanowił więc skierować się w tę stronę. Z wyspy Kreta należało potem pożeglować prosto na wschód, aby się dostać na wyspę Scarpanto.

Z Milo popłynęła „Syphanta” jednak jeszcze na południe do wyspy Santorin i przeszukała najdrobniejsze kryjówki na jej czarnym skalistym wybrzeżu. Podróż w tych okolicach jest bardzo niebezpieczną, albowiem pod wpływem ognia wulkanicznego może się każdej chwili wyłonić nowa skała z

dna morskiego. Następnie pożeglowała korweta na Kretę, kierując się górą Ida, obecnie Psilanti zwaną, wysoką na siedem tysięcy stóp. Dzięki temu, że wiatr był pomyślny, żeglowano z rozpiętymi żaglami.

W dniu 15 sierpnia ukazały się na horyzoncie malownicze łańcuchy gór tej największej wyspy archipelagu; ciągną się one od przylądka Spada do przylądka Stavros. Duży występ lądu zasłaniał jeszcze zatokę, nad którą leży Kandja, stolica wyspy.

„Czy zamierzasz pan, panie komendancie, spytał kapitan Todros, zarzucić kotwicę w jednym z portów wyspy?

– Kreta jest jeszcze ciągle w mocy Turków, odparł Henryk d’Albaret, zdaje mi się więc, że nie mamy tam co szukać. Wedle wiadomości, które zebrałem niedawno na Syrze, stali się żołnierze Mustafy po zdobyciu Retimos, mimo chwalebnej obrony Sfakiotów, panami całego kraju.

– Tak, ci górale są dzielnymi ludźmi, rzekł kapitan Todros, i już od samego początku wojny wyrobili sobie szacunek swoją odwagą...

– Tak swoją odwagą... ale również swoją chciwością, odrzekł Henryk d’Albaret.

Los Krety zależał przed dwoma miesiącami jedynie od nich. Wojskom Mustafy groziła już zupełna zagłada. Na rozkaz wodza porzucili jednak żołnierze tureccy szlachetne kamienie, kosztowności, drogocenną broń, słowem wszystko co mieli cenniejszego przy sobie i podczas gdy Sfakioci, zbierając te skarby, rozprószyli się na wsze strony, udało się Turkom przejść przez wąwóz, w którym byliby napewno znaleźli śmierć.

– Tak to bardzo smutne, panie komendancie, jednak na szczęście Kreteńczycy nie są prawdziwymi Grekami”.

Nie należy się dziwić, że drugi oficer „Syphanty” który był czystej krwi Hellenem, wyrażał taką opinię.

W oczach jego Kreteńczycy nie uchodzili za prawdziwych Greków, mimo że nieraz już dali dowody miłości ojczyzny. Nawet przy ostatecznym kształtowaniu się nowego królestwa nie stali się oni Grekami. Podobnie jak wyspa Samos, pozostała Kreta pod władzą Porty; w roku 1832 zmuszony był sułtan odstąpić swe prawa do wyspy Mehmetowi Alemu.

Przy tym stanie rzeczy nie miał komendant Henryk d’Albaret potrzeby zawijać do któregoś z portów wyspy. Kandja była teraz zbrojownią Egipcjan i stąd wysyłał basza swe dzikie hordy na podbój Grecji. Można się było również spodziewać, że w Kanei spotka się bandera korfijska, powiewająca na szczycie masztu „Syphanty”, na rozkaz władz tureckich, z niezbyt przychylnym przyjęciem ze strony mieszkańców.

Komendant Henryk d’Albaret mógł zresztą z góry przypuścić, że ani w Gira-Petra, ani w Suda ani też w Kisamos nie dowie się niczego, coby mu mogło dać sposobność uwieńczenia wyprawy jakimś znaczniejszym

sukcesem.

„Wydaje mi się bezcelowem, rzekł do kapitana Todrosa, przeszukiwać północne wybrzeże; należałoby raczej opłynąć wyspę od strony północno-zachodniej, następnie minąć przylądek Spada i krążyć przez kilka dni w okolicy Grabuzy”.

Ten plan był stanowczo lepszy. Na tych bowiem złej sławy zażywających wodach Grabuzy mogła się łatwo nadarzyć sposobność oddania kilku salw na statki korsarskie.

Na taką sposobność czekała już korweta dłużej niż miesiąc.

Pozatem zaś, o ile sakolewa pożeglowała w rzeczywistości na Kretę, można się było spodziewać, że zawinie do portu Grabuza. Dla komendanta Henryka d’Albaret, był to jeden powód więcej, aby pilnie dozorować i przeszukiwać wszystkie drogi wiodące do tego portu.

W owym czasie można było uważać Grabuzę rzeczywiście za gniazdo rozbójników morskich. Połączonym flotom angielskim i francuskim oraz oddziałowi regularnego wojska greckiego udało się przed siedmioma miesiącami z trudem zaledwie oczyścić te kryjówki z najgorszych elementów.

Najciekawszem przytem było, że same władze wyspy odmówiły podówczas wydania dwunastu piratów, których zażądał komendant angielskiej eskadry. Komendant ów widział się przeto zmuszony rozpocząć ostrzeliwanie cytadeli, spalić kilka statków i wylądować na wyspie, aby zażądać zadośćuczynienia.

Naturalnem więc było przypuszczenie, że po odejście sprzymierzonych eskadr, piraci powrócili ochotnie do Grabuzy, gdzie tak niespodziewanie znaleźli sojuszników. Dlatego też postanowił Henryk d’Albaret odbyć drogę do Scarpanto wzdłuż południowego brzegu Krety, aby w ten sposób przepłynąć obok Grabuzy. Wydał więc odnośne rozkazy a kapitan Todros przypilnował ich wypełnienia. Pogoda nic pozostawiała nic do życzenia. W tym łagodnym klimacie zima zaczyna się w grudniu a kończy się już w styczniu. Jakże szczęśliwą jest Kreta, ojczyzna Minosa i starego inżyniera Dedala! Tu również wysyłał Hyppokrates liczne rzesze swych klientowi z Grecji, przez którą wędrował, ucząc sztuki leczenia chorych.

Ustawiwszy żagle jaknajbardziej pod wiatr, lawirowała „Syphanta” w ten sposób, aby opłynąć przylądek Spada w możliwie największej bliskości. Przylądek ten leży na samym końcu cypla oddzielającego zatokę Kanea od zatoki Kisamo. Pod wieczór opłynięto wspomniany cypel, w nocy zaś, która była jedną z owych jasnych nocy Wschodu, minęła korweta najbardziej wysunięty punkt wyspy. Proste przełożenie żagli pod wiatrem wystarczyło, aby korweta skierowała się na południe. Rankiem minęła „Syphanta” Grabuzę w niewielkiej odległości od wejścia do portu.

Obserwowanie wybrzeża między Grabuzą a Kisamo zajęło Henrykowi d’Albaret sześć dni czasu. Liczne statki, feluki lub szebeki, które oddawały się spokojnemu handlowi, wypływały z portu. „Syphanta” zadawała im pytania,

jednak odpowiedzi ich nie wzbudzały podejrzeń. Na pytania jednak, czy w Grabuzie nie przebywają jakieś statki korsarskie, otrzymywano wymijające odpowiedzi. Łatwo można było spostrzec, że statki te obawiały się kompromitacji. Henryk d'Albaret nie mógł się nawet dokładnie dowiedzieć, czy sakolewa „Karysta” znajduje się w porcie.

Korweta rozszerzyła pole swych poszukiwań, badając wybrzeże od Grabuzy do przylądka Crio. Korzystając z wiatru, który silny w ciągu dnia, osłabł pod noc, opłynęła ów przylądek i pożeglowała, trzymając się możliwie blisko wybrzeża morza Libijskiego, na którym – z powodu niniejszej ilości półwyspów i cyplów, wcinających się w morze – jest żegluga o wiele łatwiejszą aniżeli na morzu Kreteńskim, leżącym po drugiej stronie wyspy. Na północy zarysował się na horyzoncie potężny łańcuch gór Asprovuna. Na wschodzie wznosi się poetyczna góra Ida, której śniegi nie topią się nawet pod palącymi promieniami słońca archipelagu.

Nie wpływając do żadnego z małych portów, zatrzymywała się jednak korweta kolejno w oddaleniu może pół mili od Rumeli, Anipoli i Sfakji. Straże na pokładzie nie mogły jednak dostrzec na tych wodach ani jednego statku korsarskiego.

Minąwszy zatokę Massara, opłynęła „Syphanta” w dniu 27 sierpnia przylądek Matala, który jest najbardziej na południe wysuniętą częścią Krety. Szerokość jej w tym miejscu nie przekracza dziesięć do jedenastu mil. Poszukiwania te nie rokowały wielkich nadziei. W tych bowiem szerokościach morza Libijskiego spotyka się mało statków. Biorą one zwyczajnie kurs bardziej północny lub też kierują się bardziej na południe, zbliżając się do wybrzeży Egiptu. Napotymano jedynie pojedyncze łodzie rybackie, przymocowane do skał, a od czasu do czasu kilka długich bark, naładowanych ślimakami morskimi, które stanowią główny artykuł handlu na tych wyspach.

Gdy zatem korweta nie znalazła nic na części wybrzeża, zakończonej przylądkiem Matala, gdzie liczne wysepki mogą dać łatwo schronienie statkom, to trudno było przypuścić, że poszczęści się jej bardziej na drugiej części południowego wybrzeża. Henryk d'Albaret postanowił przeto popłynąć wprost ku wyspie Scarpanto, choćby nawet miał przybyć tam wcześniej niż należało. Ten zamiar miał jednak wieczorem 29 sierpnia ulec nagłej zmianie.

Była godzina szоста wieczorem. Komendant, kapitan i kilku oficerów stali na tylnym kasztelu i patrzyli w kierunku przylądka Matala. Naraz rozległ się głos strażującego majtka, siedzącego na reji.

„Od strony bakbortu widać jakiś statek!”

Lunety skierowały się natychmiast na wskazany punkt, który znajdował się w odległości kilku zaledwie mil od korwety.

„Zaiste, rzekł komendant Henryk d'Albaret, jest to statek, który żegluje tuż przy brzegu...”

– I który widać, zna dokładnie drogę, jeśli waży się płynąć tak blisko

lądu, dorzucił kapitan Todros.

– Czy wywiesił banderę?

– Nic panie komendancie, odrzekł jeden z oficerów.

– Poleć pan strażującym majtkom zbadać, do jakiej narodowości ów statek należy!”

Rozkaz został wypełniony. W kilka chwil później usłyszano odpowiedź, że ani na końcu gafu ani też u szczytu żagli nie widać żadnej bandery.

Natomiast było jeszcze dość jasno, aby móc rozeznąć wielkość i klasę statku.

Był to bryg, którego główny maszt był w dziwny sposób pochylony ku tyłowi. Statek był nadzwyczaj długi, o smukłych linjach, wysokich masztach i daleko wystających rejach. Pojemność jego, o ile to z tej odległości można było ocenić, wynosiła około siedem do ośmiuset tonn. Szybkość jego musiała też być bardzo znaczna. Nie można jednak było, mimo użycia najlepszych szkieleł, stwierdzić, czy statek ten był uzbrojony, czy miał działa na pokładzie, czy też otwory strzelnicze, które były może w tej chwili zakryte po bokach.

Odległość brygu od korwety wynosiła w rzeczywistości tylko cztery mile. Zmierzch począł już zapadać ponieważ słońce zachodziło za łańcuchy gór Asprovuna. W bliskości lądu było już nawet dość ciemno.

„Dziwny okręt! zauważył kapitan Todros. Wygląda to tak, jakby starał się przemknąć między wyspą Płatana a lądem, rzekł jeden z oficerów.

– Tak, czyni on wrażenie okrętu, który żałuje, że się pokazał, zauważył drugi oficer, i stara się za wszelką ceną ukryć!”

Henryk d’Albaret nic rzekł ani słowa, jednak był zapewne tego samego zdania, co jego oficerowie. Ruchy brygu musiały mu się bowiem również wydać podejrzane.

„Kapitanie Todros, rzekł wreszcie, jest rzeczą ważną nie stracić w nocy tego okrętu z oczu. Musimy się starać pozostać na jego śladzie aż do brzasku. Ponieważ jednak zależy nam na tem, by nas nie spostrzeżono, każ pan zgasić wszystkie światła”.

Drugi oficer wydał odpowiednie rozkazy. Obserwowano w dalszym ciągu bryg, o ile na to pozwalały wzniesienia lądu. Gdy jednak noc zapadła, stracono go zupełnie z oczu, a ponieważ płynął bez światła, nie można było nawet oznaczyć jego położenia.

Z pierwszym zaraz brzaskiem dnia znalazł się Henryk d’Albaret na przedzie korwety, czekając na podniesienie się oparów zalegających powierzchnię morza.

Jednak mgła ustąpiła dopiero około godziny siódmej. Wszystkie lunety

skierowały się natychmiast ku wschodowi.

Bryg znajdował się jeszcze ciągle blisko brzegu, na wysokości przylądka Alikaporitha, w oddaleniu około sześciu mil morskich od korwety. Widocznym było, że przez noc się odległość brygu powiększyła i to bez rozpinania dalszych żagli, albowiem podobnie jak przedtem, rozpięte były tylko górne i dolne bram-żagle<sup>33</sup> oraz gaf-żagle, podczas gdy wielki żagiel, fok- i kliwer-żagle<sup>34</sup> były ciągle zwinięte.

„Okręt, który ma zamiar umykać, nie płynie w ten sposób, zauważył drugi oficer.

– Nic nie szkodzi! odparł komendant. Obowiązek nakazuje nam dowiedzieć się co to za statek. Kapitanie Todros, weź pan kierunek wprost na bryg!”

Na głos gwizdka głównego bosmana zostały rozpięte najwyższe żagle i korweta zyskała znacznie na szybkości.

Brygowi zależało widocznie tylko na utrzymaniu poprzedniej odległości, albowiem rozpiął jedynie fok-żagle. Jasnym było więc, że nie chciał umknąć przed „Syphanta” a tylko starał się nie dozwolić na zbytne zbliżenie się korwety. Trzymał się przy tem blisko brzegu, płynąc możliwie szybko.

Około godziny dziesiątej rano, zmniejszyła się odległość obydwu statków o dobre cztery mile, czy to dzięki pomyślnemu wiatrowi, czy też z powodu tego, że bryg pozwolił umyślnie na zbliżenie się korwety.

Z pokładu korwety można teraz było wygodnie przyrzeć się brygowi, który był uzbrojony w dwadzieścia dział. Musiał mieć zapewne międzypokład, jakkolwiek wystawał tylko nieznacznie nad powierzchnię wody.

„Wywiesić flagę!” rozkazał Henryk d’Albaret. Wkrótce zatrzepotała flaga na szczycie gafu. Uła zwrócenia uwagi oddano również strzał z działa.

Znaczyło to, że korweta pragnie dowiedzieć się do jakiej narodowości bryg należy. Sygnały jej pozostały jednak bez odpowiedzi. Bryg nie zmienił ani kierunku ani szybkości. Niebawem jednak wykonał ćwierć obrotu, aby opłynąć zatokę Keraton.

„Ten łotr nie jest zbyt uprzejmy! zauważył jeden z majtków.

– Może jednak sprytny i mądry, usłyszano głos starego marynarza. Jego ukośny maszt główny nadaje mu wygląd człowieka z kapeluszem zasuniętym na ucho, który nie chce go niszczyć przez ustawiczne kłanianie się.”

Korweta dała jeszcze jeden strzał z działa – nadaremnie. Bryg nie wywiesił flagi i płynął spokojnie dalej, nie zważając zupełnie na korwetę.

Teraz rozpoczęły się rzeczywiste wyścigi obydwu statków. „Syphanta” rozpięła wszystkie możliwe żagle na masztach, na bukszycie<sup>35</sup> i na jego przedłużeniu. Bryg jednak uczynił to samo i zachował w ten sposób odległość



między statkami.

„Ma on bezwątpienia jakąś maszynę piekielną w swoim wnętrzu! – zawołał stary marynarz.

Niebawem zapanował na korwecie wściekły nastrój, nie tylko wśród załogi ale i wśród oficerów. Szczególnie zaś rozsierdził się niecierpliwy Todros. Na Boga! Dałby chętnie swą rację tytoniu, gdyby mu się udało dogonić ten bryg bez względu na to, do jakiej narodowości należał.

„Syphanta” posiadała na przednim pokładzie bardzo długie działo, które mogło trzydziestofuntową kulę wyrzucać na odległość dwu mil morskich.

Komendant Henryk d’Albaret wydał spokojnym głosem – tak się przynajmniej wydawało – rozkaz ostrego strzelania.

Padł strzał, kula padła jednak po kilku odbiciach się w odległości około dwudziestu sążni od brygu.

Jedyną odpowiedzią brygu było rozpięcie dalszych żagli. W ten sposób odległość obu statków powiększyła się jeszcze.

Było to jednak bardzo poniżającym dla takiego świetnego statku, jakim była „Syphanta”, że musiał zrezygnować z doścignięcia jakoteż z skutecznego ostrzeliwania brygu.

Tymczasem zapadła ponownie noc. Korweta była już prawie na wysokości przylądka Peristera. Wiatr wzmógł się tak znacznie, że musiano skrócić żagle, aby uzyskać na noc dogodną powierzchnię dla parcia wiatru.

Komendant pogodził się z myślą, że o brzasku dnia nie ujrzy już nawet wierzchołków masztów statku, które zakryje przed jego okiem albo wschodni horyzont albo jakiś występ lądu.

Omylił się jednak.

O wschodzie słońca był bryg wciąż jeszcze na widoku, żeglował tak jak przedtem i zachowywał ten sam dystans. Wyglądało to tak, jakby bryg dostosowywał swą szybkość do szybkości korwety.

„Mam uczucie, że holuje on nas na linie, rzekł ktoś na przednim pokładzie!”

Człowiek ten miał zupełną słuszność.

W tej właśnie chwili opływał bryg – który wjechał na wody kanału oddzielającego wyspę Kufonisi od lądu – cypel Kalialithi, zamierzając przedostać się na wschodnie wybrzeże Krety.

Nie można było z góry przypuścić, czy schroni się on do jakiegoś portu, czy zniknie w jakimś zagłębieniu wąskiego kanału.

Jednak nic podobnego nie nastąpiło. Około godziny siódmej rano

skierował się bryg całkiem otwarcie na południowy wschód, a więc na otwarte morze.

„Czyżby zamierzał popłynąć na Scarpanto?” pytał sam siebie zdziwiony Henryk d’Albaret.

Ścigał jednak dalej okręt, mimo że wiatr wzmógł się tak znacznie, że groziło złamanie masztów. Dobro jednak powierzonej mu sprawy, jakoteż honor okrętu nie pozwalały na zaprzestanie pościgu.

Tu w tej części archipelagu, która stała otworem dla wszystkich wiatrów, na bezkresnej płaszczyźnie morza, gdzie grzbiety gór nie przeszkadzały ruchom powietrza, zdawała się „Syphanta” zyskiwać przewagę nad brygiem.

Okolo godziny pierwszej po południu zmniejszyła się odległość między obydwojma statkami na trzy mile. Również i teraz wystrzelono kilka kul, które jednak nie dosięgły celu i nie wywołały żadnej zmiany w ruchach brygu.

Na horyzoncie poczęły się już wychylać wzgórza Scarpanto z poza małej wysepki Kaso. Ta ostatnia wysepka przyczepiona jest do Scarpanto, podobnie jak Sycylja do Włoch.

Komendant d’Albaret, jego oficerowie i załoga mogli się spodziewać, że zawrą wreszcie znajomość z tym tajemniczym statkiem, który był tak niewychowany, że nie odpowiadał ani na sygnały ani na pociski.

Gdy jednak wiatr osłabł ponownie okolo godziny piątej wieczór, bryg odzyskał swą pierwotną odległość.

„Ach łotr!... Jest chyba z djabłem w zмовie!... Ucieknie nam!” krzyczał kapitan Todros.

Uczyniono to, co każdy doświadczony żeglarz, chcący zwiększyć szybkość statku, byłby uczynił. Zwilżono mianowicie żagle, aby uczynić ich tkaninę gęstsza, rozpięto na wietrze hamaki i t. d. Odniosło to pewien skutek. Okolo godziny siódmej wieczór, krótko po zachodzie słońca, wynosiła odległość między obydwojma statkami conajwyżej dwie mile morskie.

W tych szerokościach zapada jednak szybko noc. Zmierzch trwa bardzo krótko. Należało więc zwiększyć koniecznie szybkość statku, aby dogonić bryg jeszcze przed zapadnięciem zupełnej ciemności.

W tej samej chwili przepływał bryg między wyspami Kaso-Poulo i Kasos. Wreszcie, gdy skierował się do cieśniny, która oddziela Kasos od Scarpanto, znikł zupełnie.

W pół godziny później znalazła się „Syphanta” w tem samym miejscu, trzymała się jednak zdala od brzegów, by nie stracić wiatru. Było jeszcze na tyle jasno, że musiano by spostrzec statek tej wielkości, nawet na odległość kilku mil morskich.

Po brygu jednak nie pozostało ani śladu.

## Rozdział XII

### Licytacja w Scarpanto.

O ile Kreta była niegdyś, jak podania głoszą, kolebką bogów, to Scarpanto, dawniej Karpathos zwane, było kolebką Tytanów, tych najśmielszych i najpodstępniejszych przeciwników bogów.

Dzisiejsi piraci, którzy zabijają tylko zwykłych śmiertelników, są niemniej godnymi potomkami tych mitologicznych zbójów, którzy nie wahali się napadać nawet na Olimp.

W owym czasie wybrali zdaje się wszyscy korsarze na swą główną kwaterę tę wyspę, na której urodziło się czterech synów Japeta, wnuków Tytana i Gei.

Scarpanto nadawało się rzeczywiście doskonale na kryjówkę dla piratów archipelagu i dawało im wszelką pomoc, której mogli potrzebować. Odosobniona ta wyspa leży na południowo-wschodnim krańcu tych mórz, w odległości około czterdziestu mil od wyspy Rodos. Szczyty jej wysokich gór widać już zdaleka. Ten mały kawałek lądu, mierzący zaledwie dwadzieścia mil w obwodzie, posiada wiele zatok i przylądków, pomiędzy którymi znajdują się w obfitości skały, podobne do raf skandynawskich. Wyspa ta była dawniej i jest dziś jeszcze postrachem żeglarzy, a okalające ją morze nosi nawet jej nazwę.

Zapuszczanie się w okolice tego morza połączone jest z wielkim niebezpieczeństwem dla żeglarza nie obznajomionego z temi wodami.

Nie brak natomiast na tej wyspie, która stanowi ostatnią perłę w łańcuchu Sporad, dogodnych portów. Na przestrzeni od przylądków Sidro i Pernisa do przylądków Bonandrea i Andemo na północy leżących rozsięte są licznie miejsca dogodne do lądowania. Do jej czterech portów Agato, Porto di Tristano, Porto Grato i Porto Malo Nato, zawijały niegdyś liczne statki kupieckie. Dziś jednak mało który statek zarzuca w nich kotwicę, albowiem wyspa Rodos skupiła na sobie cały handel tych okolic.

Scarpanto jest wyspą grecką, albo też conajmniej zaludnioną przez ludność greckiego pochodzenia; należy ona jednak do państwa ottomańskiego. Nawet po ostatecznym ukonstytuowaniu się królestwa greckiego pozostała ona w mocy Turków, w której imieniu rządził tam zwykły kadi, który zamieszkiwał ufortyfikowany dom, zbudowany u stóp nowego zamku Arkassy.

W owym czasie napotkanoby na wyspie w wielkiej ilości Turków, których ludność, nie biorąca udziału w walce o niepodległość, nieźle podejmowała. W Scarpanto, które stało się powoli centralnym punktem zbrodniczych transakcji handlowych witano z równym zadowoleniem wojenne statki tureckie jakoteż okręty korsarskie, które wiozły jeńców. Spotykali się tu liczni kupcy zarówno z Małej Azji jak i z wybrzeży Barbaresków, albowiem nie brakło tu nigdy żywego towaru. Tu urządzano często licytacje i ustalano ceny niewolników zależnie od podaży i popytu. Kadi brał również udział w tych transakcjach; kupcy uważaliby bowiem, że zaniedbują swe obowiązki, gdyby nie oddali mu pewnego procentu z zawieranych transakcji.

Nieszczęśliwych niewolników przewożono statkami przeważnie z portu Arkassa na zachodnim wybrzeżu wyspy leżącego, na targi Smyrny, lub do miast nadmorskich Afryki. Gdy tych statków było za mało, posyłano posłańca na przeciwległe wybrzeże wyspy, a piraci byli zawsze gotowi do osiągnięcia zysków z tego podłego handlu.

Również i teraz znajdowało się w licznych zatokach wschodniego wybrzeża około dwudziestu większych i mniejszych statków, których załoga wynosiła około tysiąc trzysta ludzi. Flota ta oczekiwała tylko swego dowódcy, aby wyruszyć na nowe zbrodnie i rozboje.

Wieczorem dnia 2 września zarzuciła „Syphanta” kotwicę w porcie Arkassa, niedaleko od molo. Świetny ten port posiada głębokość około dwudziestu sążni. Henryk d’Albaret wstępując na ląd wyspy, nie przypuszczał nawet, że dziwne zrządzenie losu przywiodło go w samo centrum handlu niewolnikami.

Po zarzuceniu kotwicy spytał kapitan Todros komendanta:

„Czy zamierzasz pan pozostać przez czas dłuższy w Arkassie?”

– Nie wiem, odparł Henryk d’Albaret. Może się zdarzyć, że będziemy zmuszeni opuścić niebawem port, lecz równie dobrze może zajść potrzeba dłuższego postoju.

– Czy załoga może wyjść na ląd?

– Tak, ale tylko partjami; przynajmniej połowa załogi musi pozostać w pogotowiu na okręcie.

– Wedle rozkazu, panie komendancie, odpowiedział kapitan Todros. Jesteśmy tu raczej na tureckiej, aniżeli na greckiej ziemi i roztropność nakazuje mieć się na baczności!”

Czytelnik przypomni sobie, że Henryk d’Albaret nie podał powodów swej podróży na Scarpanto ani drugiemu oficerowi ani też reszcie oficerów. Nie powiedział im również o tem, że proszono go w anonimowym liście, który w niewytłumaczony sposób dostał się na statek, aby zjawił się tu, właśnie w pierwszych dniach września.

Zresztą spodziewał się, że dowie się tu wreszcie czego chce ów

tajemniczy nadawca listów, który spowodował przybycie korwety na morze Karpackie.

Dziwnem wydawało mu się jednak niedawne zniknięcie brygu po drugiej stronie kanału Casos, właśnie w chwili, gdy „Syphanta” miała go dogonić.

Henryk d’Albaret nie omieszkał wykonać swoich zwyczajnych czynności, zanim zarzucił kotwicę w porcie Arkassa. Po zbliżeniu się na tyle do lądu, na ile pozwalało zanurzenie się korwety, kazał przeszukać dokładnie wszystkie załomy lądu. Było bowiem łatwym dla takiego statku jakim był ów bryg, skryć się w chaosie skał otaczających wyspę, lub między opokami ograniczającymi wybrzeże.

Kapitan, który znał dokładnie wybrzeże, mógł mieć nadzieję sprowadzenia pogoni na fałszywe tory. Wystarczyło przepłynąć po za linię uderzenia fal, albowiem „Syphanta” nie mogła się tam zbliżyć bez narażenia się na niebezpieczeństwo rozbicia. O ile więc bryg skrył się w jednej z zatok, to odnalezienie go musiałyby napotkać na nieprzewyciężone trudności. Podobnie miała się rzecz i z innymi statkami korsarskimi, których dostateczną obronę stanowiła wyspa, ze swemi niebezpiecznymi dla obcych zatokami.

Dwa dni straciła korweta na bezowocne poszukiwania. Brygu nie można było odnaleźć. Gdyby nawet był zatonał po tamtej stronie Casos, nie mógłby gruntownie zniknąć. Komendant Henryk d’Albaret, jakkolwiek z bólem, musiał jednak zrezygnować z odnalezienia brygu. Wskutek tego postanowił w końcu zarzucić kotwicę w porcie Arkassa i oczekiwać tam rozwoju wypadków.

Następnego dnia, pomiędzy godziną trzecią i piątą po południu, zaroїła się mieścina Arkassa od licznych mieszkańców wyspy oraz od obcych z Europy, Afryki i Azji, których przy takiej okazji z łatwo zrozumiałych powodów nie mogło zabraknąć; był to bowiem dzień wielkiego targu. Towarem byli ci pożałowania godni ludzie, rozmaitego wieku i płci, których Turcy w ostatnich czasach pojмали.

W owym czasie posiadała Arkassa na wzór innych miast w państwach Barbaresków, osobny bazar „batystanem” zwany, który przeznaczony był na tego rodzaju targi. Na batystanie tym zgromadzonych było owego dnia około stu pojmanyh mężczyzn, kobiet i dzieci; była to zdobycz ostatnich obław urządzonych na Peloponezie. Leżeli oni na nieocienionym placu, pod palącymi promieniami słońca. Ich poszarpane odzienie, smutna postawa i zrozpaczony wygląd świadczyły dobitnie o tem co wycierpieli. Pożywienia dostawali mało, pragnienie zaś gasili złą wodą. Rodziny trzymały się razem aż do chwili, w której kaprys kupującego oderwie żony od mężów, a dzieci od rodziców. Każdy, kto ich widział, musiał z nimi współczuć. Dla srogich „bachisów” (strażników) obcem jednak było współczucie. Czemże jednak były te cierpienia w porównaniu z tem piekłem, które czekało ich na galerach Algieru, Tunisu i Trypolisu, gdzie śmierć czyniła wielkie luki, które zapełniano ciągle świeżym materiałem ludzkim?

Jeńcy ci mogli jednak mieć jeszcze nadzieję, że kiedyś odzyskają wolność. Kupcy, którzy nabywali niewolników, robili również dobre interesa na uwalnianiu ich – za wielkim okupem oczywiście. Odnosiło się to szczególnie

do tych, którzy w ojczyźnie zajmowali wysokie stanowiska. W ten sposób zdołał się niejeden uchronić przed niewolą wykupiony czy to przez państwo, jeszcze przed wywiezieniem, czy też przez swych najbliższych, z którymi się chwilowi właściciele wprost porozumiewali. Prócz tego wielu zostało uwolnionych już z krajów Barbaresków; wykupiło ich bogate Bractwo Miłosierdzia, które urządzało w tym celu składki w całej Europie. Nierzadko zdarzało się również, że bogacze, powodowani szlachetnym uczuciem miłosierdzia ofiarowali część swoich majątków na ten cel. Właśnie w ostatnich czasach zużyto kolosalne sumy, których pochodzenia nikt nie znał, na wykupno niewolników, szczególnie pochodzenia greckiego, którzy wskutek wypadków wojennych dostali się w szpony handlarzy z Afryki i Małej Azji.

Licytacje odbywały się zwyczajnie na targowicy w Arkassie. Mogli w nich brać udział zarówno tubylcy jak i obcy. Dziś miano sprzedać wszystkich jeńców razem do galer krajów Barbaresków. Cały „zapas” zakupiony przez tego czy owego kupca miał być odstawiony do Algieru, Trypolisu lub Tunisu.

Na targu znajdowały się zresztą dwa rodzaje jeńców. Jedni pochodzili z Peloponezu – ci byli najliczniejsi – drugich porwano niedawno z okrętu, który odwoził ich z Tunisu do Scarpanto, skąd miano ich odesłać z powrotem do ojczyzny.

Ci biedni ludzie, którym taki nieszczęśliwy los przypadł w udziale, znajdowali się tu poraz ostatni na licytacji, która miała rozstrzygnąć o ich dalszym życiu. Aż do piątego uderzenia dzwonka można było licytować. Strzał armatni z cytadeli Arkassy, który oznajmiał zaniknięcie portu, był równocześnie znakiem, że towar został za ostatnio ofiarowaną kwotę sprzedany.

W tym dniu trzeciego września nie brakło w okolicy batystanu chętnych nabywców. Wielu agentów przybyło ze Smyrny i innych bliskich miejscowości Małej Azji; mieli oni jakeśmy już poprzednio wspomnieli, poczynić zakupy na rachunek państw Barbaresków.

Ten liczny zjazd spowodowany był zresztą bardzo naturalnymi przyczynami. Ostatnie wydarzenia wskazywały na bliskie zakończenie wojny o niepodległość. Ibrahim został wyparty aż na Peloponez; na Morei wylądował marszałek Maison z dwutysięcznym oddziałem Francuzów. Wywóz jeńców miał się więc wkrótce znacznie zmniejszyć i z tego właśnie powodu cena niewolników wzrosła niepomiernie ku wielkiej radości kadiego.

Już w ciągu przedpołudnia odwiedzili handlarze batystan, aby przekonać się naocznie o ilości i wartości jeńców, których nie będzie można zapewne zbyt tanio kupić.

„Na Mahometa! zawołał jakiś agent ze Smyrny, znajdujący się w gronie swych towarzyszy, okres dobrych interesów minął bezpowrotnie! Czy pamiętacie owe czasy, gdy okręty przywoziły niewolników tysiącami, a nie tak jak dzisiaj setkami?”

– Tak!... A po rzezi na Scio! odparł inny handlarz. Za jednym zamachem ponad czterdzieści tysięcy jeńców! Nie starczyło statków na ich przewiezienie!

– Całkiem słusznie, odpowiedział jeden z kupców, który zdawał się pojmować rzecz należycie; jednak im więcej jeńców, tem większa podaż, im większa podaż, tem niższa cena. Jest więc lepiej sprzedać niewielu po wysokich cenach, albowiem stałe koszty handlowe są bardzo duże.

– Tak jest, przynajmniej w Berberji! Dwanaście procent z ceny brutto zabiera pasza, kadi lub gubernator!

– Nic licząc jednego procentu pobieranego na koszty utrzymania molo i baterij nadbrzeżnych.

– I jeszcze jednego procentu, który otrzymują chciwi kapłani.

– Zaiste, to doprowadzi wszystkich do ruiny, zarówno przedsiębiorców okrętowych jak i handlarzy!”

Takie i tym podobne uwagi wypowiadali agenci, którzy nie pojmowali widać całej ohydy takiego handlu. Wiecznie te same skargi na podarki i podatki. Byliby prawdopodobnie zaczęli jeszcze bardziej biadać, gdyby nie głos dzwonka, który oznajmiał rozpoczęcie targu.

Rozumie się samo przez się, że kadi kierował osobiście całym przetargiem. Wymagał tego zarówno obowiązek reprezentowania państwa tureckiego, jak i wzgląd na własny interes. Siedział on więc, a raczej leżał bezwstydnie jak wszyscy rasowi Turcy na licznych poduszkach, ułożonych na podniesieniu. Przed słońcem chronił go namiot, nad którym powiewała czerwona flaga z półksiężycem.

Blisko niego siedział publiczny wywoływacz cen; nie należy jednak sądzić, że ów wywoływacz natężał zanadto swoje płuca. Wprost przeciwnie; przy tego rodzaju interesach kupcy nie spieszą się wcale i dużo czasu upływa, zanim ofiarują wyższą cenę. Licytacja ożywia się conajwyżej pod koniec, gdy rozpoczyna się walka o to, komu towar zostanie przyznany.

Pierwszą ceną ofiarowywaną przez jakiegoś kupca ze Smyrny, było tysiąc funtów.

„Tysiąc funtów tureckich!” powtórzył wywoływacz.

Potem zamknął oczy, jakby mając dosyć czasu na wyspanie się, zanim ktoś ofiaruje większą kwotę.

Podczas pierwszych kilku godzin podniosły się poszczególne zaofiarowania o tysiąc a najwyżej o dwa tysiące funtów, to jest około czterdziestu tysięcy franków złotych. Kupcy oglądali się wzajemnie, może nawet obserwowali skrycie, rozmawiali przy tem jednak o całkiem innych rzeczach. Wiedzieli z góry, ile najwyżej będą mogli ofiarować, a z wypowiedzeniem tych kwot czekali na sam koniec licytacji. Ten zwykły sposób postępowania uległ jednak zmianie, albowiem na widowni pojawił się nowy konkurent. Wskutek tego licytacja ożywiła się znacznie.

Mianowicie około godziny czwartej zjawili się na targu dwaj nowi ludzie.

Skąd przybywali? W każdym razie ze wschodniej części wyspy, co można było wywnioskować z kierunku jazdy araby<sup>36</sup>, która ich przywiozła aż pod bramę batystanu.

Pojawienie się ich wywołało żywe zdziwienie i zaniepokojenie. Zwyczajni kupcy nie spodziewali się widocznie, że na widowni ukażą się osoby, z którymi, chcąc nie chcąc, należało się liczyć.

„Na Allaha! zawołał jeden z nich, toż to jest Mikołaj Starkos we własnej osobie!

– I jego przeklęty Skopelo! dorzucił inny.

– A my myśleliśmy, że ich już dawno djabli wzięli!”

Byli to rzeczywiście ci dwaj mężczyźni, których na targu w Arkassie wszyscy znali. Zawierali oni tu bowiem niejednokrotnie znaczne transakcje, zakupując jeńców na rachunek handlarzy w Afryce. Pieniądzy nie brakło im nigdy, jakkolwiek nikt nie wiedział, skąd je brali; to jednak było tylko ich rzeczą. Kadi co do swojej osoby był bardzo zadowolony z ukazania się tych niebezpiecznych konkurentów.

Skopelowi, który był dobrym znawcą, wystarczyło jedno spojrzenie, aby ocenić wartość jeńców. Następnie szepnął Mikołajowi Starkosowi kilka słów do ucha, na które tenże odpowiedział skinieniem głowy.

Mimo, że drugi oficer „Karysty” był bardzo bystrym obserwatorem, to jednak uszło jego uwagi, że ukazanie się Mikołaja Starkosa przeraziło bardzo jedną z kobiet wziętych do niewoli.

Była to starsza już kobieta, wysokiego wzrostu. Dotychczas siedziała w najodleglejszym kącie batystanu, teraz jednak podniosła się jakby wskutek nieodpartego przymusu. Postąpiła kilka kroków naprzód i już miała krzyknąć... Jednak nie krzyknęła, posiadała dość woli, aby się opanować. Odziana od stóp do głowy nędznym płaszczem, powróciła powoli na swoje miejsce między jeńcami i usiadła tak, że nikt jej nie mógł dostrzec. Nie wystarczało jej widocznie ukrycie twarzy, chciała skryć całą postać przed wzrokiem Mikołaja Starkosa.

Handlarze patrzyli nieustannie na kapitana „Karysty”, nie mówiąc doń jednak ani słowa. On natomiast nie zwracał na nich zupełnie uwagi. Handlarze obawiali się bowiem że przybył on tu, aby sprzątnąć im z nosa cały transport jeńców. Wiedzieli oni, jakie stosunki łączyły Mikołaja Starkosa z baszami i bejami państw Barbaresków.

Nie długo pozostawali w niepewności. Wywoływacz podniósł się znów i powtórzył głośno kwotę ostatnio ofiarowaną:

„Dwa tysiące funtów!

– Dwa tysiące pięćset, rzekł Skopelo, który przy takich okazjach zastępował swego kapitana.



– Dwa tysiące pięćset funtów!” zameldował wywoływacz.

Potem nastąpiła znów rozmowa pomiędzy poszczególnymi grupami, które jednak patrzyły na siebie bardzo nieufnie.

Tak minął kwadrans. Nikt nie dawał więcej jak Skopelo. Obojętny i dumny przechadzał się Mikołaj Starkos po batystanie. Nikt nie mógł wątpić, że jemu zostanie w końcu, i to bez walki nawet, sprzedany transport jeńców.

Jednak agent ze Smyrny pomówiwszy ze swymi kolegami ofiarował wyższą kwotę, a mianowicie dwa tysiące siedemset funtów.

„Dwa tysiące siedemset funtów! powtórzył wywoływacz.

– Trzy tysiące!”

Tym razem wziął Mikołaj Starkos osobiście udział w licytacji i sam wymienił kwotę.

Dowiemy się niedługo, co go do wmieszania się skłoniło i dlaczego jego dotychczas spokojny głos stał się rozdrażniony tak dalece, że aż Skopelo się zadziwił.

Od kilku już minut przechadzał się Mikołaj Starkos pomiędzy jeńcami. Stara kobieta widząc, że przybliży się on do niej, otuliła się jeszcze trwożliwiej w swój płaszcz; nie mógł więc jej poznać.

Uwagę jego pochłonęło dwoje ludzi, stojących nieco na uboczu. Stanął jak wryty. Widział młodą dziewczynę, która wyczerpana osunęła się do nóg stojącego obok niej mężczyzny.

Mężczyzna ów, ujrawszy Mikołaja Starkosa wyprostował się dumnie; młode dziewczę otworzyło równocześnie oczy. Skoro jednak spostrzegła kapitana „Karysty”, odwróciła natychmiast głowę.

„Hadżine!” zawołał półgłosem Mikołaj Starkos.

Była bo rzeczywiście Hadżine Elizundo, którą Xaris trzymał w swoich ramionach, jakby chcąc jej bronić.

„Pani tu!” szepnął Mikołaj Starkos.

To właśnie odkrycie sprawiło, że Mikołaj Starkos ofiarował drżącym głosem kwotę trzy tysiące funtów. Nie zastanawiał się przy tym wcale, jak to się stać mogło, żeby bogata córka bankiera Elizundo była wystawiona na sprzedaż na targu w Arkassie.

„Trzy tysiące funtów!” powtórzył głośno wywoływacz.

Zegar wskazywał parę minut po pół do piątej. Za dwadzieścia pięć minut miał paść strzał armatni, przyznający towar temu, kto dawał najwięcej.

Agenci gotowali się już po uprzednim porozumieniu się między sobą do

odejścia; widocznie nie mieli zamiaru ofiarować wyższej kwoty. Zdawało się więc, że kapitan „Karysty” wyjdzie, z powodu braku konkurentów, zwycięską z licytacji, gdy nagle agent ze Smyrny uczynił ostatnią próbę odbicia mu „towaru”.

„Trzy tysiące pięćset funtów! zawołał.

– Cztery tysiące!” wykrzyknął natychmiast Mikołaj Starkos.

Skopelo, który nie widział jeszcze Hadżine, nie mógł pojąć, jak jego kapitan mógł tak bez namysłu zaofiarować wyższą kwotę. Wedle niego prawdziwa wartość transportu jeńców została już dawno przekroczona, a szczególnie przez ofiarowanie czterech tysięcy funtów. Pytał się więc zdziwiony, co mogło spowodować Mikołaja Starkosa do tak bezsensownego wdania się w niekorzystny dla niego interes.

Po ostatnich słowach wywoływacza zapadło dłuższe milczenie. Agent ze Smyrny zrezygnował na znak swych kolegów z dalszej licytacji. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że Mikołaj Starkos zostanie zwycięską, albowiem tylko jeszcze parę minut pozostawało do końca licytacji.

Xaris przejrzał go na wskroś. Objął jeszcze silniej młodą dziewczynę – jak długo jeszcze będzie oddechał, nikt mu jej nie zdoła wydrzeć.

Naraz usłyszano – bardzo wyraźnie z powodu zalegającego milczenia – obcy jakiś głos, który rzucił trzy słowa w kierunku wywoływacza:

„Pięć tysięcy funtów!”

Mikołaj Starkos odwrócił się.

Oddział marynarzy wkroczył właśnie na batystan. Na ich czele znajdował się dowodzący widocznie nimi oficer.

„Henryk d’Albaret! zawołał Mikołaj Starkos. Henryk d’Albaret... tu... w Scarpanto!”

Komendant „Syphanty” znalazł się tylko przypadkiem na placu targowym. Nie wiedział nawet dziś jeszcze – to znaczy w dwadzieścia cztery godzin po przybyciu do Scarpanto – że w stolicy wyspy ma się odbyć przetarg niewolników. Ponieważ z drugiej strony nie widział w porcie sakolewy, przeto zdziwił się niemało, ujrawszy Mikołaja Starkosa w Arkassie. Ten zaś był nie mniej jego widokiem zdetonowany. Mikołaj Starkos nie wiedział nawet, że Henryk d’Albaret dowodzi korwetą, jakkolwiek wiedział, że znajduje się ona w porcie.

Każdy może sobie łatwo wyobrazić uczucia obu przeciwników, którzy stanęli z sobą oko w oko.

Henryk d’Albaret ofiarował wyższą cenę dlatego, że spostrzegł między jeńcami Hadżine i Xarisa, którym groziło dostanie się w ręce Mikołaja Starkosa.

Hadżine usłyszała go, ujrzała go i byłaby się natychmiast rzuciła w jego ramiona, gdyby jej strażnicy nie byli powstrzymali.

Henryk d'Albaret uspokoił ruchem ręki młodą dziewczynę. Jakkolwiek był oburzony, widząc swego podłego przeciwnika przed sobą, to jednak udało mu się pohamować się. Tak, gdyby go to nawet miało kosztować cały jego majątek, nie zawahałby się ani chwili, aby wydrzeć Mikołajowi Starkosowi jeńców stłoczonych na targu w Arkassie, między którymi znajdowała się ta, której tak długo szukał i której nie spodziewał się już nigdy ujrzeć.

Walka musiała się teraz jeszcze bardziej zaognić. Jakkolwiek bowiem Mikołaj Starkos nie mógł pojąć, jakim sposobem Hadżine Elizundo znalazła się między jeńcami, to jednak w jego oczach była ona jeszcze ciągle bogatą dziedziczką bankiera z Korfu.

Jego liczne miliony nie mogły przecież zniknąć z nim razem; musiały one jeszcze istnieć na to, aby ją wykupić z rąk tego, którego niewolnicą stać się miała. Nie narazi się więc na straty, gdy zaoferuje większą kwotę. Mikołajowi Starkosowi zależało teraz jeszcze bardziej na postawieniu na swoim, albowiem chodziło tu o pokonanie rywala.

„Sześć tysięcy funtów! zawołał.

– Siedem tysięcy! odpowiedział komendant „Syphanty” nie patrząc nawet w stronę Mikołaja Starkosa.

Kadi był bardzo zadowolony, widząc jaki obrót rzeczy biorą. Nie zadawał sobie wcale trudu z ukrywaniem wobec tych dwu konkurentów swego zadowolenia, które przełamało rezerwę stale przez tego chciwego człowieka okazywaną.

Chytry urzędnik obliczał już w myśli sumę, jaka do jego kieszeni wpłynie; Skopelo nie mógł się jednak już prawie powstrzymać. Zauważył on Henryka d'Albaret a potem także Hadżine Elizundo. Gdyby Mikołaj Starkos trwał uparcie przy zamiarze przelicytowania przeciwnika, to w pewnych okolicznościach mogło to nawet być korzystnym, w razie jednak gdyby młode dziewczę straciło było wraz z wolnością i majątek, co łatwo być mogło, to interes całkiem by się nie opłacił.

Wziął on przeto Mikołaja Starkosa na stronę i starał się przemówić mu do rozumu. Rady jego zostały jednak tak przyjęte, że wkrótce odeszła mu ochota do perswazji. Kapitan „Karysty” zawołał w stronę wywoływacza, że daje więcej i to głosem, który był obliczony na możliwie największe poniżenie rywala.

Agenci widząc, że walka zapowiada się gorąco, pozostali oczywiście na placu, aby przysłuchać się jej przebiegowi. Tłum ciekawych, którym podobało się szczególnie to rzucanie tysiącami, dawał oklaskami dowód swego zainteresowania. Przeważna ich część знаła kapitana sakolewy, nikt jednak z nich nie znał komendanta „Syphanty”, ba, nie wiedział nawet jakie są cele tej korwety, żeglującej pod banderą Korfu na wodach Scarpanto. Ponieważ jednak od wybuchu wojny, wiele statków wszystkich narodowości zajmowało

się przewozem jeńców, przeto wszyscy przypuszczali, że „Syphanta” również tem się trudni i sądzili, że dla jeńców będzie wszystko jedno czy zakupi ich Henryk d’Albaret czy Mikołaj Starkos, w obu bowiem wypadkach staną się niewolnikami.

Kwestja ta musiała się jednak w przeciągu pięciu minut rozstrzygnąć.

Gdy wywoływacz oznajmił ostatnio ofiarowaną kwotę, Mikołaj Starkos zawołał natychmiast:

„Osiem tysięcy funtów!

– Dziewięć tysięcy funtów!” rzekł Henryk d’Albaret.

Znów cisza. Komendant „Syphanty”, który ciągle panował nad sobą, wodził okiem za Mikołajem Starkosem, który chodził wściekły tam i z powrotem, tak, że Skopelo bał się doń przystąpić. Żadne zresztą perswazje nie byłyby go teraz powstrzymały od ofiarowania coraz większych kwot.

„Dziesięć tysięcy funtów! zawołał Mikołaj Starkos.

– Jedenaście tysięcy! odpowiedział Henryk d’Albaret.

– Dwanaście tysięcy!” krzyknął Mikołaj Starkos, nie zwlekając ani chwili.

Komendant Henryk d’Albaret nie zaraz odpowiedział.

Nie dlatego, jakoby się zawahał czy to ma uczynić, lecz dlatego ponieważ zobaczył, że Skopelo podbiega do Mikołaja Starkosa, aby go powstrzymać w jego szaleństwach; w ten sposób uwaga kapitana „Karysty” odwróciła się na chwilę od licytacji.

Równocześnie podeszła wiekiem branka, która dotychczas tak uparcie starała się ukryć, podniosła się, jakby w zamiarze ukazania swej twarzy Mikołajowi Starkosowi.

W tejże chwili wykwił na murze cytadeli Arkaskiej jasny płomień otoczony gęstą chmurą dymu; zanim jednak odgłos detonacji dotarł do batystanu, rozległ się silny głos:

„Trzydzieści tysięcy funtów!”

Bezpośrednio potem usłyszano głos strzału, po którym nastąpiły niezliczone hurra.

Mikołaj Starkos odtrącił tak silnie Skopela, że ten padł na ziemię... Teraz było ja zapóźno! Mikołaj Starkos nie miał więcej prawa ofiarować wyższej kwoty. Hadzine Elizundo wymknęła się mu i to zapewne na zawsze!

„Chodź!” rzekł gniewnie do Skopela.

Usłyszeć można jednak jeszcze było półgłosem wypowiedziane słowa:

„W ten sposób będzie to pewniej i taniej!”

Obydwaj wsiedli następnie do araby i znikli na skrócie ulicy, która prowadziła w głąb wyspy. Hadżine Elizundo, ciągnąc za sobą Xarisa, wybiegła po za barjerę batystanu i rzuciła się w ramiona Henryka d’Albaret, który przyciskając ją do serca, szeptał:

„Hadżine!... Hadżine... jakże chętnie byłbym wszystko co posiadani ofiarował, aby okupić twoją wolność!...”

– Tak! jak ja poświęciłam mój majątek, aby odkupić cześć mego nazwiska, odparła młoda dziewczyna. O Henryku – Hadżine Elizundo jest teraz biedna, jednak godna ciebie!”

### **Rozdział XIII**

#### **Na pokładzie „Syphanty”.**

Następnego dnia 3 września podniosła „Syphanta” około godziny dziesiątej rano kotwicę, i żeglując pod wiatr starała się wydostać z wąskiego przesmyku, prowadzącego od portu Scarpanto”

Jeńcy wykupieni przez Henryka d’Albaret rozmieścili się tymczasem na okręcie. Jedni znaleźli miejsce pod pokładem, drudzy zaś w baterji okrętu. Jakkolwiek podróż na archipelagu miała potrwać zaledwie kilka dni, to jednak załoga starała się umieścić tych biednych ludzi choć na tak krótki czas jak najwygodniej.

Jeszcze wieczorem poprzedniego dnia wydał Henryk d’Albaret rozkazy niezbędne do natychmiastowego odjazdu. W celu uregulowania swego zobowiązania w kwocie trzynastu tysięcy funtów, udzielił Kadiemu potrzebnej gwarancji, którą tenże uznał za wystarczającą. Zabranie więc jeńców na okręt nie natrafiło na żadne trudności i tym sposobem uniknęli nieszczęśliwcy straszliwego losu oczekującego ich na galerach Barbaresków. Na „Syphancie” popłyną ku wybrzeżom północnej Grecji, gdzie będą już spokojni o swą wolność.

Wykupienie swe zawdzięczali jedynie temu, który nie bacząc na żadne ofiary wyrwał ich z rąk Mikołaja Starkosa. Dlatego też zaledwie wstąpili na pokład korwety, dał wyraz swej głębokiej wdzięczności w sposób rzeczywiście wzruszający.

Znajdował się mianowicie między nimi sędziwy duchowny grecki z Leondaris. Wraz ze swymi towarzyszami niedoli udał się on na górny pokład, gdzie przebywali w towarzystwie kilku oficerów Hadżine Elizundo i Henryk

d'Albaret. Wszyscy ze starcem na czele uklękli przed komendantem. Wyciągając dłonie ku niemu zawołał starzec drżącym głosem:

– „Oby spłynęło na ciebie błogosławieństwo tych wszystkich, którzy wolność swą zawdzięczają twej szlachetności, Henryku d'Albaret!

– Drodzy przyjaciele – odparł Henryk do głębi wzruszony – wszak spełniłem tylko to, co nakazywał mi mój obowiązek.

– Tak, błogosławieństwo wszystkich... wszystkich... moje także Henryku! – dodała Hadżine, schylając się przed nim.

Henryk d'Albaret oszołomiony tym niespodziewanym wyrazem hołdu, podniósł ją szybko a w tej chwili rozległy się głośnie okrzyki:

„Wiwat Henryk d'Albaret! Hadżine Elizundo niech żyje!” i brzmiały długo od pokładu aż do kasztelu, od baterji aż po reje, gdzie usadowiło się około pięćdziesięciu ludzi z załogi, towarzysząc całej scenie grzmiącym „hurra”.

Jedna tylko z pomiędzy uwolnionych kobiet nic brała udziału w tej pięknej manifestacji. Tak w batystanie jak i podczas załadowywania jeńców na okręt starała się ona pozostać niespostrzeżona w ukryciu. Udało się jej to i nikt nie wiedział nawet o jej istnieniu na okręcie. Zaszyła się w najciemniejszy kąt międzypokładu w nadziei, że uda się jej również nieznacznie wydostać na ląd. Dlaczego postępowała w ten sposób, czy była może znaną któremu z oficerów lub marynarzy było rzeczą niewiadomą, to jedno tylko było oczywistym, że miała widocznie bardzo ważne ku temu powody, by pozostać niezauważoną w ciągu tej kilkudniowej podróży po archipelagu.

Jeżeli jednak Henryk d'Albaret zasłużył w pełni na wdzięczność niespodziewanych pasażerów korwety, na jaką wdzięczność zasłużyła Hadżine, za poniesione przez nią bohaterskie ofiary w ciągu całego czasu od kiedy opuściła Korfu?

„Henryku, powiedziała doń dnia poprzedniego, Hadżine Elizundo jest wprawdzie obecnie biedną, lecz jest ciebie godną!

Biedna?... Była nią w rzeczywistości. – Godną młodego oficera?... to okaże się w dalszem opowiadaniu.

Henryk d'Albaret kochał już przedtem Hadżine, zanim ich te wstrząsające przejścia i wypadki rozdzieliły, jakżeż jednak wzrosło jego uczucie, gdy dowiedział się, jakiemu zadaniu poświęciła się młoda dziewczyna w czasie tego długiego roku rozłąki.

Skoro tylko Hadżine przejrzała, jakie było źródło majątku jej ojca, zdecydowała się natychmiast zużyć go na wykupno jeńców, z których wywozu i sprzedaży czerpał bankier tak wielkie zyski. Nie chciała zachować ani grosza z owych tak nędznym sposobem zdobytych dwudziestu milionów. Z zamiarem swoim zwierzyła się Xarisowi, który uznał go za dobry i postarał się o jaknajspieszniejsze spieniężenie wszystkich nieruchomości.

Wtedy otrzymał Henryk d'Albaret pamiętny list, w którym młoda

dziewczyna, prosząc o przebaczenie, żegnała go na zawsze. Natychmiast po wysłaniu listu opuściła Hadżine pod opieką wiernego i dzielnego Xarisa wyspę Kortu, udając się na Peloponez.

W owym czasie szalała walka w Morei środkowej. Nieszczęśliwa ludność cierpiała niesłychanie wskutek okrucieństw żołdaków Ibrahima. Tych nieszczęśliwych którzy uniknęli wymordowania, wysyłano do głównych portów Messenji, t. j. do Patras i Navarin. Stąd transportowano jeńców tysiącami, bądź to na okrętach dostarczonych przez rząd turecki, bądź też na statkach pirackich do Scarpanto albo na Smyrnę, gdzie handel niewolnikami kwitł w najlepsze.

W ciągu pierwszych dwu miesięcy udało się Hadżine i Xarisowi wykupić setki tych jeńców, którzy nie opuścili jeszcze rodzinnego kraju. Później postarali się o to, by przenieść ich w miejsce bezpieczne bądź to na wyspy Jońskie, bądź też do uwolnionej już od Turków północnej części Grecji.

Uczyniwszy to, wybrali się do Smyrny w małej Azji gdzie uprawiano na wielką skalę handel niewolnikami. W wielkich transportach nadchodziły tu tłumy jeńców greckich, na których uwolnieniu zależało Hadżine tak bardzo. Płaciła tutaj wysokie ceny, tak znacznie przewyższające oferty wszystkich handlarzy berberyjskich i azjatyckich wybrzeży, że tureccy urzędnicy uważali handlowanie z nią za najlepszy interes. Nie trzeba dodawać, że tą szlachetną namiętność młodej dziewczyny wyzyskiwali w rozmaity sposób niesumienni agenci, faktem jednak było, że wiele tysięcy niewolników zawdzięczało swą wolność Hadżine Elizundo.

Było to jednak tylko drobną częścią tej pracy, której dokonać miała. Dlatego też przyszło jej na myśl dojść do upragnionego celu dwiema różnymi drogami. Nie wystarczało jej to, że uwalniała dopiero co popadłych w niewolę jeńców, lub to że wyrwiała za wysokie sumy z okropnej niewoli niewolników dźwigających już od dawna jarzmo; znacznie ważniejszym zadaniem wydawało się jej uczynienie nieszkodliwymi rozbójników morskich, grasujących bezkarnie po archipelagu i wyłapujących mnogie okręty. W Smyrnie doszła ją wieść o tem, co się stało z „Syphantą” po pierwszych miesiącach jej wypraw. Wiedziała, że korwetę wystawili armatorzy korfijscy do walki z piratami. Było jej też wiadomem, że wyniki pierwszych miesięcy były wcale zadawalające; w owym czasie nadeszła jednak wieść hiobowa, że „Syphanta” straciła swego kapitana, wielu oficerów i część załogi w walce z flotyllą piracką prowadzoną wedle uporczywych pogłosek przez samego Sacratifa.

Hadżine Elizundo powróciła na Korfu i rozpoczęła natychmiast układy z agentem zastępującym interesa właścicieli „Syphanty”. Poleciała mu zaoferować za okręt tak wysoką cenę, że kupcy sprzedali go bez wahania. Korweta została zakupiona pod nazwiskiem pewnego bankiera z Raguzy, należała jednak w rzeczywistości do dziedziczki domu Elizundów, która stanęła tym sposobem godnie w szeregach ofiarnych patrijotek greckich, jak Bobolina, Modena, Zacharias i wiele innych, których okręty brały udział w walkach od początku wojny o niepodległość.

Kupując „Syphantę” powzięła Hadżine z góry ten zamiar, by naczelnie

dowództwo nad korwetą oddać Henrykowi d'Albaret. Z jej polecenia towarzyszył potajemnie młodemu oficerowi pewien bardzo jej oddany młodzieniec, bratanek Xarisa. Towarzyszył mu na Korfu podczas bezowocnych poszukiwań za Hadżine, jakoteż na wyspę Scio, dokąd udał się, by walczyć pod rozkazami Fabviera.

Wskutek jej życzenia wszedł ów młody człowiek w skład załogi korwety równocześnie z uzupełnieniem tejże po potyczce pod Lemnos. Był on tym, który oddał Henrykowi obydwie listy pisane przez Xarisa. Pierwszy list, w którym zawiadomiono go, że na „Syphancie” jest wolne miejsce, doręczył on Henrykowi na Scio, drugi zaś podrzucił w jego kajucie stojąc na posterunku przed kajutą. Jak wiadomo zawierał list ten prośbę, by „Syphanta” przybyła w pierwszych dniach września w okolicę wyspy Scarpanto.

W tę okolicę zamierzała bowiem przybyć również Hadżine po ukończeniu swej misji zbawczego anioła. Pragnęła użyć „Syphanty” do przewiezienia do ojczyzny ostatniego transportu niewolników, wykupionego za reszkę olbrzymiego niegdyś majątku.

W następnych jednak sześciu miesiącach czekało ją jeszcze wiele ciężkich przeżyć i niebezpieczeństw.

W szlachetnym swym porywie odważyła się młoda dziewczyna na wyprawę w głąb Berberji do owych przepelnionych piratami portów, będących w rękach bandytów najgorszej sorty. Dla swej wzniosłej idei narażała swe życie i wolność, nie bacząc na niebezpieczeństwa, na które narażały ją jej młodość i piękność.

Nic nie zdołało jej zatrzymać, pojechała. Jak anioł łaski ukazała się najpierw w Trypolisie, w Algierze a potem na wszystkich prawie targach wybrzeża Barbaresków. Gdziekolwiek tylko wystawiano na sprzedaż jeńców greckich, tam wybawiała ich z rąk tymczasowych właścicieli. W krainach tych, gdzie królują najniższe namiętności, ujrzała na własne oczy całą ohydę haniebnego handlu niewolnikami.

W owym czasie znajdował się jeszcze Algier w mocy milicji, złożonej z muzułmanów i renegatów rekrutujących się z wyrzutek trzech kontynentów tworzących wybrzeża Morza Śródziemnego. Milicja owa trudniła się skupem niewolników dostarczanych przez piratów i odsprzedawaniem ich chrześcijanom.

W wieku siedemnastym liczyły już północne kraje Afryki około czterdziestu tysięcy niewolników obydwu płci, pochodzących z Francji, Włoch, Anglii i Niemiec, z Flandrii, Holandji, Grecji, Węgier, Rosji, Polski i Hiszpanji, a schwytanych na wszystkich prawie morzach Europy.

W Algierze na galerach paszy Ali-Mamiego, Kulughiego i Sidi Hassana, w Tunisie na galerach Jussufa-Deya, Galere-Patrona i Cicalaisa, wyszukiwała Hadżine Elizundo tych najbiedniejszych, których wojna helleńska uczyniła niewolnikami. Jakby zaopatrzona w cudowny talizman, wędrowała spokojnie wpośród wszystkich niebezpieczeństw niosąc wszędzie pomoc w straszliwej nędzy. Tysiącnym niebezpieczeństwom wynikającym z tamecznych



stosunków uszła jakby cudem. W sześciu miesiącach przebyła na lekkich okrętach całe wybrzeże od Trypolisu aż do najodleglejszych granic Marokka – dotarła do Tetuanu, do zorganizowanej wówczas republiki pirackiej oraz do Sale na zachodnim wybrzeżu Afryki gdzie w jamach na dwanaście do piętnastu stóp głębokich musieli jeńcy pędzić swój nędzny żywot.

Doprowadziwszy tedy do końca swe dzieło miłosierdzia, postanowiła Hadżine, nie posiadając już nic z majątku przez ojca jej pozostawionego, powrócić wraz z Xarisem do Europy.

Wstąpiła wobec tego wraz z ostatnim transportem uwolnionych jeńców na okręt grecki i pożeglowała do Scarpanto. Spodziewała się spotkać tam Henryka d'Albaret i popłynąć następnie na „Syphancie” do ojczyzny. W trzy dni jednak po wyruszeniu, został okręt wiozący Hadżine napadnięty przez krążownik turecki. Hadżine dostała się do niewoli i miała zostać sprzedaną wraz z niedawno przez nią wykupionymi jeńcami.

Ogólnym wynikiem działalności Hadżine było to, że za pieniądze zdobyte przez jej ojca zwróciła wolność tysiącom niewolników. Ta młoda a obecnie zubożała zupełnie dziewczyna próbowała więc naprawić choć w części to zło, które sprawił jej ojciec.

O tem wszystkim dowiedział się obecnie Henryk d'Albaret. Tak, zaiste, Hadżine była teraz wprawdzie ubogą, lecz była zato jego godną. Aby zaś wyrwać ją z rąk Mikołaja Starkosa, zrujnował się młody oficer również zupełnie.

Już następnego dnia ujrzano z pokładu „Syphanty” wybrzeże Krety. Teraz skierował się statek ku północno-zachodniej części półwyspu. Zamiarem bowiem Henryka d'Albaret było płynąć wzdłuż wschodniego wybrzeża Grecji, aż do wysokości Eubei. Tutaj mogli wylądować jeńcy bądź w Negroponte bądź też w Eginie, gdzie byli już bezpieczni przed Turkami, wypartymi już daleko na Peloponez. W owym czasie bowiem nie było już ani jednego żołnierza Ibrahima na półwyspie greckim.

Nieszczęśliwi zaopatrzeni dobrze na pokładzie „Syphanty” przychodzili zwolna do siebie po straszliwych przejściach niewoli. W dzień wychodzili grupami na pokład, czerpiąc pełną piersią ożywcze powietrze morskie – dzieci, matki i ojcowie wczoraj rozdzieleni, dziś złączeni na zawsze.

Wiedzieli dobrze, co uczyniła dla nich Hadżine, dlatego też gdy przechadzała się na pokładzie oparta na ramieniu Henryka d'Albaretę, spotykały ją serdeczne wyrazy głębokiej czci.

Rankiem 4 września straciła „Syphanta” z oczu szczyty gór Krety; wiatr osłabł jednak tak dalece, że jakkolwiek użyto wszystkich żagli, podróż odbywała się bardzo powoli. Zwłoka dwudziestoczworo- lub nawet czterdziestoośmiogodzinna była zresztą bez znaczenia.

Morze było spokojne a niebo pogodne. Nic nie wskazywało na to, by miała nastąpić zmiana atmosferyczna. Należało w myśl żeglarskiego przysłowia „pozostawić wszystko Bogu” i czekać zmiany na lepsze.

Ta spokojna podróż nie wymagająca żadnych manewrów nastrecała sporo sposobności do ożywionych rozmów na pokładzie. Czuwali tylko dyżurni oficerowie i wartownicy na przednim pokładzie, zwracając baczną uwagę na przepływające okręty lub wyłaniające się tu i ówdzie zarysy lądu.

Hadżine i Henryk d'Albaret siadywali zwyczajnie na jedynie dla nich przeznaczonych ławeczce górnego pokładu. Rozprawiali tutaj o swej przyszłości, która zdawała się leżeć przed nimi jasna i szczęśliwa. Snuli tysiączne projekty, które miały niedługo doznać urzeczywistnienia. Rzecz jasna, że dzielili się z każdym swym pomysłem z Xarisem, którego uważali prawie za należącego do rodziny.

Zadecydowali przedewszystkiem, że zaślubiny ich odbędą się natychmiast po przybyciu na grecką ziemię. Ostateczne zlikwidowanie interesów Hadżine Elizundo nie mogło nastreścić obecnie żadnych trudności. Misja, którą spełniała w ciągu roku, uprościła znacznie tę sprawę. Po ślubie miał Henryk d'Albaret zdać dowództwo nad korwetą kapitanowi Todrosowi i udać się ze swą młodą żoną do Francji. Mieli jednak zabawić tam niedługo i powrócić do ojczyzny Hadżine.

Właśnie tego wieczora mówili znów o tych sprawach. Lekki wietrzyk nie starczył nawet by nadać górne żagle „Syphanty”. Zachodzące przepięknie słońce rozjaśniło horyzont a niektóre jego promienie wystrzelały w górę z poza mgły. Po przeciwnej zaś stronie ukazywały się pierwsze gwiazdy wschodu. Morze było pokryte milionami fosforyzujących ogników. Noc zapowiadała się cudownie.

Henryk d'Albaret i Hadżine Elizundo rozkoszowali się w całej pełni wspaniałym wieczorem. Wzrok ich biegł ku tylnemu nurtowi, który korweta pozostawiała za sobą w postaci kilku białych smug. Nic nie zakłócało wielkiego milczenia, z rzadka tylko słyszano jakiś szmer w żaglach w chwilach kiedy wiotczały lub napinały się z powrotem. Młodzi ludzie patrzyli w siebie, zapominając o całym świecie. Z pięknych marzeń zbudził ich wreszcie jakiś głos wołający Henryka d'Albaretę.

Przed nimi stał Xaris.

– „Panie komendancie!... zaczynał już po raz trzeci.

– Czego życzysz sobie przyjacielu! zachęcił go młody oficer widząc, że Xaris waha się z wypowiedzeniem tego, co miał na sercu.

– Mów, czego pragniesz, kochany Xarisie, rzekła Hadżine Elizundo.

– Panie komendancie, mam z panem coś do pomówienia.

– A więc, cóż takiego?

– Niechże pan słuca. Pasażerowie korwety – ci dzielni ludzie, których odwozi pan do ich ojczyzny – wpadli na pewien pomysł i polecili mi, bym go panu zakomunikował.

- A więc, zamieniam się cały w słuch, mój Xarisie.
- Panie komendancie, oni wiedzą, że pan ma się pobrać z Hadżine Elizundo...
- Tak jest, odrzekł śmiejąc się Henryk d’Albaret, nie jest to dla nikogo tajemnicą.
- A więc, ci poczciwi ludzie czuliby się jednak szczęśliwi, gdyby mogli być świadkami tego ślubu.
- Będą też nimi Xarisie, i powinni być! Żadna jeszcze narzeczona nie miała tak pięknego orszaku weselnego, jakim będzie orszak złożony z tych, których wyrwała z niewoli.
- Henryku!... rzekła młoda dziewczyna, chcąc go powstrzymać od dalszych pochwał.
- Pan komendant ma zupełną rację, oświadczył Xaris. W każdym razie muszą być pasażerowie korwety obecni przy tem i...
- Skoro przybędziemy tylko na ziemię grecką, zaproszę wszystkich, by wzięli udział w tej uroczystości.
- Bardzo pięknie, panie komendancie, ciągnął dalej Xaris. Ludzie ci jednak wpadli na jeszcze jeden pomysł.
- Czy tak dobry jak pierwszy?
- Jeszcze lepszy. Proszę pana, aby zaślubiny odbyły się tu, na pokładzie „Syphanty”. Czyż nie jest korweta unosząca ich do Grecji jakby ich ojczyzną?
- Nie mam nic przeciw temu Xarisie, odrzekł młody oficer. Sądzę, że zgadzasz się także Hadżine?
- Zamiast odpowiedzi uścisnęła go młoda dziewczyna czule za rękę.
- Tak, to wspaniale! zawołał Xaris.
- Możesz donieść pasażerom „Syphanty”, że życzeniu ich stanie się zadość.
- To jest więc w porządku, panie komendancie, lecz... ciągnął Xaris z wahaniem w głosie, nie jest to jeszcze wszystko.
- Mów więc Xarisie, rzekła młoda dziewczyna.
- Ludzie ci, gdy wypowiedzieli swą pierwszą myśl a następnie drugą jeszcze lepszą, wyrazili swe trzecie życzenie, które uważają za najlepsze ze wszystkich.
- Czyż być może? wykrzyknął Henryk d’Albaret. Jeszcze trzecie! Jakież

to?

– Proszę, by ślub odbył się nie tylko na korwecie, lecz także na pełnym morzu i to zaraz jutro. Między nimi jest pewien sędziwy duchowny...

Xarisowi przerwał nagle okrzyk z bocianiego gniazda, majtek obserwujący morze krzyknął z wysokości reji fok-masztu:

– „Okręty od nawietrznej!”

Henryk d’Albaret powstał natychmiast i pospieszył do kapitana Todrosa, który patrzył już we wskazanym kierunku.

W odległości co najmniej sześciu mil ukazała się po stronie wschodniej flotylla złożona z tuzina może okrętów rozmaitej wielkości. Podczas gdy „Syphanta” nie mogła wskutek braku wiatru ruszyć prawie z miejsca, to flotylla poruszana ostatnimi podmuchami leciutkiej morki, które nie dochodziły nawet do korwety, posuwała się naprzód, tak, że spotkanie było nieuniknione.

Zapomocą przyniesionej mu lunety obserwował Henryk d’Albaret uważnie ruchy okrętów, i

– Kapitanie – zwrócił się do Todrosa – flotylla ta jest jeszcze za daleko, by można było stwierdzić jej siłę, lub też domyśleć się jej zamiarów.

– Tak jest niestety, odrzekł tenże. Na dobitek noc jest bezksiężycowa i będzie zapewne bardzo ciemną. Będziemy musieli wyczekać ranka.

– Zapewne, odpowiedział Henryk d’Albaret, ponieważ jednak okolice te są niepewne, przeto rozkaż pan, aby strażę dawały na wszystko baczenie. Równocześnie należy zarządzić co konieczne, na wypadek gdyby się owe statki do „Syphanty” zbliżyły.

Kapitan Todros wypełnił rozkazy swego zwierzchnika. Na pokładzie korwety wystawiono podwójne warty, które miały czuwać aż do świtu.

Rzecz jasna, że wskutek tego niespodziewanego wypadku przesunięto decyzję w sprawie zaślubin, na których przyspieszenie Xaris tak bardzo nastawał. Na prośby Henryka udała się Hadżine z powrotem do swej kajuty.

Sen uciekał tej nocy z oczu żeglarzy. Bliskość tajemniczej flotylli budziła łatwo zrozumiały niepokój. W miarę możliwości obserwowano bacznie ruchy okrętów. Około dziewiątej wieczorem spadła jednak gęsta mgła zasłaniając widok w zupełności.

O świcie następnego ranka okrywały jeszcze zwały mgły wschodni horyzont, a ponieważ nie było ani śladu wiatru, przeto mgły ustąpiły dopiero około godziny dziesiątej. Do owej chwili nie zauważono nic podejrzanego. Skoro jednak mgła opadła, ujrzano flotyllę nie dalej jak na cztery mile od korwety. Zbliżyła się więc do „Syphanty” o dwie mile; to, że zbliżyła się tylko na tę odległość, należało przypisać panującej mgłę, która utrudniała jej manewry. Ujrzano na raz dwanaście statków płynących w jednej linii, posuwających się zwolna naprzód przy pomocy długich wiosel. Korweta

natomiast spoczywała ciągle w tem samym miejscu, gdyż z powodu swej wielkości nie mogła użyć wiosel.

Była bezsilną i musiała nieruchomo oczekiwać wypadków.

W każdym razie nikt już nie mógł mieć wątpliwości co do zamiarów flotyli.

„Wszak to całe mrowie podejrzanych statków! wykrzyknął kapitan Todros.

– Zapewne, odrzekł Henryk d’Albaret i to tembardziej podejrzanych, że poznają między nimi bryg, na który polowaliśmy bezskutecznie na wodach Krety”.

Komendant „Syphanty” nie mylił się. Bryg, który zniknął w tak iście cudowny sposób poza cyplem Scarpanto, płynął teraz na czele flotyli, starając się nie odłączać od reszty statków.

Tymczasem zerwał się lekki wiatr wschodu. Dopomógł on flotyli w zbliżeniu się do korwety. Natomiast do korwety wiatr nie doszedł, albowiem ustał w odległości dwu może sążni.

Henryk d’Albaret odjął nagle lunetę od oka i zawołał:

„Gotować się do walki!”

Dojrzał właśnie podłużną chmurę dymu wykwitającą na przedniej części brygu, podczas gdy na wierzchołku masztu ukazała się flaga a głuchy grzmot dział dobiegł do korwety.

Flaga była czarna z dużą krwawo-czerwoną literą „S” w środku.

Była to bandera korsarza Sacratifa.

## **Rozdział XIV**

### **Sacratif.**

Flotylla ta, składająca się z dwunastu statków wypłynęła dnia poprzedniego z kryjówek Scarpanto. Ruchy jej świadczyły dobitnie, że chce albo zaatakować korwetę od przodu, albo też otoczyć dookoła i zmusić ją do walki w niekorzystnych dla niej warunkach. Walka ta była nieunikniona, albowiem wiatr ustał zupełnie; Henryk d’Albaret nie byłby jednak wycofał się z walki, nawet gdyby miał po temu sposobność. Bandera „Syphanty”, o ile nie

chciała utracić swej czci, nie mogła umknąć przed banderą piratów archipelagu.

Pomiędzy statkami korsarskimi znajdowały się cztery brygi, z których każdy miał szesnaście do osiemnastu dział. Pozostałe ośm żaglowców miały mniejszą pojemność, jednak wszystkie uzbrojone były w lekkie działa. Były tam „saiki” z dwoma masztami, „senale” o masztach prosto w górę się wznoszących, następnie feluki i przysposobione do walki sakolewy.

Oficerowie korwety ocenili z grubsza, że będą mieli do czynienia z ponad stu paszczami armatniami, podczas gdy korweta mogła odpowiadać z dwudziestu dwu zaledwie dział i sześciu karonad<sup>37</sup>.

Dwustu pięćdziesięciu majtków korwety miało do pokonania około ośmiuset nieprzyjaciół, szansę były więc w każdym razie nierówne. Wprawdzie wyższość artylerji „Syphanty” dawała pewne widoki powodzenia, pod warunkiem jednak, że nie dopuści się nieprzyjaciół zbyt blisko. Zadanie korwety polegało więc na utrzymaniu całej flotylli w przyzwoitej odległości i na stopniowym unieszkodliwianiu poszczególnych statków dobrze celowanymi salwami. Jednym słowem musiano się starać przede wszystkim o to, aby nie puścić nieprzyjaciół na pokład i uniknąć walki wręcz. W walce wręcz bowiem przewaga liczebna musiałaby napewno zwyciężyć, gdyż czynnik ten ma tu jeszcze większe znaczenie aniżeli na lądzie; nie ma tu możliwości odwrotu i w razie przegranej nie pozostaje nic innego do uczynienia jak wysadzić się w powietrze lub poddać.

W godzinę po rozprószeniu się mgły przybliżyła się flotylla znacznie do korwety, która była ciągle jeszcze tak nieruchomą, jakby spoczywała na kotwicy w jakimś porcie.

Uwadze Henryka d'Albaret nie uszedł żaden ruch, żaden manewr piratów. Na pokładzie przygotowano wszystko do walki; oficerowie i załoga zajęli wyznaczone im stanowiska. Ci z pomiędzy pasażerów, którzy czuli się na siłach i prosili, by im pozwolono walczyć w szeregach marynarzy, otrzymali broń. W baterji i na pokładzie panowało przykre milczenie, przerywane od czasu do czasu kilkoma słowami, które komendant zamieniał z kapitanem Todrosem.

„Nie możemy im pozwolić na zarzucenie haków, rzekł do niego. Poczekamy jednak aż znajdą się w polu naszych strzałów i wtedy dopiero damy ognia z wszystkich dział prawego boku.

– Czy mamy strzelać tak, aby okręty zatopić, czy tylko tak, aby pozbawić je masztów?

– Będziemy się starali zatopić je!” odrzekł Henryk d'Albaret.

Był to zapewne najlepszy środek obrony przed piratami, którzy są szczególnie niebezpieczni, gdy wedrą się na pokład statku; przy tem można również było mieć nadzieję, że uda się unieszkodliwić Sacratifa, który był tak bezczelny, że wywiesił swą czarną banderę. Jeśli to uczynił, to spodziewał się widocznie, że nikt z załogi korwety nie ujdzie z życiem, aby się później chwalił,

że widział na własne oczy Sacratifa.

Okolo pierwszej w południe znajdowała się flotylla w oddaleniu jednej mili morskiej od wiatru i zbliżała się coraz bardziej przy pomocy wioseł. „Syphanta”, której dziób zwrócony był ku północy, utrzymywała się tylko z trudem w tem położeniu. Piraci zbliżali się w ordynku bojowym – dwa brygi po środku i po jednym na każdym skrzydle.

Manewrowali oni w ten sposób, aby korwetę zająć od tyłu i zamknąć ją w kole, którego promień miał się następnie coraz bardziej zmniejszać. Zamierzali widocznie wziąć ją najpierw w krzyżowy ogień a następnie zdobyć szturmem pokład. Henryk d'Albaret zrozumiał ten tak niebezpieczny manewr, nie mógł mu jednak niestety zapobiec, był bowiem skazany na zupełny brak ruchu. Mogło mu się jednak jeszcze udać przerwać tę linię ogniem działowym, zanim zostanie otoczony.

Oficerowie dziwili się już nawet, dlaczego ich komendant nie wydaje swym pewnym i spokojnym głosem rozkazu do rozpoczęcia ognia.

Henryk d'Albaret nie chciał jednak ani jednego naboju nadarmo wystrzelić. Postanowił rozpocząć ogień dopiero wtedy, gdy będzie pewny, że strzały osiągną celu. Tak upłynęło jeszcze dziesięć minut; czekali wszyscy: kanonierzy z okiem u celowników armat, oficerowie w baterji, gotowi spełnić każdy rozkaz komendanta oraz majtkowie na pokładzie, wyglądający niecierpliwie z poza osłon. Obecnie, gdy z powodu niewielkiej odległości nieprzyjaciel mógł mieć nadzieję że strzały jego będą skuteczne, można się było nawet spodziewać, że on pierwszy rozpocznie ogień.

Henryk d'Albaret milczał jeszcze ciągle. Obserwował linię statków, która zaczynała się już na końcach zakrzywiać. Brygi środkowe – jeden z nich był tym, który wywiesił banderę Sacratifa znajdowały się już conajwyżej w odległości jednej mili.

O ile komendant „Syphanty” nie spieszył się z rozpoczęciem ognia, to również i dowódcy flotylli nie zależało widocznie zbyt na pośpiechu. Może zamierzał on popłynąć wprost do korwety i następnie poprowadzić do ataku kilkuset swoich ludzi.

Wkońcu jednak nadeszła chwila, kiedy Henryk d'Albaret nie mógł już dłużej zwlekać. Lekki podmuch, który dotarł aż do korwety, umożliwił jej wykonanie ćwierci obrotu. Gdy korweta ustawiła się już bokiem do obydwu brygów, zawołał:

„Baczność na pokładzie i w baterji!”

Na pokładzie powstał lekki szelest, niebawem jednak zapadła zupełna cisza.

„Celować w linię zanurzenia!” rozkazał Henryk d'Albaret.

Oficerowie powtórzyli rozkaz; kanonierzy wycelowali starannie w kadłuby obu brygów, podczas gdy karonady na pokładzie wzięły na cel maszty.

„Ognia!” zakomenderował Henryk d’Albaret. Wszystkie działa prawego boku zagrzały. Jedenaście armat i trzy karonady na pokładzie i w baterji ustawione, wyrzuciło swe śmiertelne pociski, między którymi znajdowało się kilka kul łańcuchowych, nadających się szczególnie do niszczenia z niewielkiej odległości masztów i reji statków nieprzyjacielskich.

Gdy dym strzałów się rozwiął, można było stwierdzić dokładnie skutek strzałów. Nie był on wprawdzie zupełny, jednak dość znaczny. Jeden z dwu brygów, tworzących centrum linii nieprzyjacielskiej został silnie powyżej linii zanurzenia uszkodzony. Kilka drabinek sznurowych zostało rozdartych; fokmaszt strzaskany tuż u nasady upadł ku przodowi, łamiąc po drodze kilka części, należących do grot-masztu. Bryg był więc zmuszony do prowizorycznego przynajmniej naprawienia szkód, mógł jednak w dalszym ciągu płynąć ku korwecie. Groźące więc niebezpieczeństwo otoczenia nie zostało tem rozpoczęciem walki usunięte.

I rzeczywiście dwa brygi skrzydłowe znajdowały się już na wysokości „Syphanty”. Stąd skierowały się wprost na nią, oddawszy jednak przedtem salwę działową.

Dwie z wystrzelonych kul wyrządziły bardzo poważne szkody. Bezanmaszt został strzaskany i część jego zawałiła się z hukiem, nie naruszając jednak na szczęście ożaglowania grot-masztu. Niektóre części zapasowe i jedna z większych łodzi statku zostały również zniszczone. Najtragiczniejszym jednak było to, że poległ jeden oficer i trzech majtków a czterech zostało ranionych. Tych ostatnich zniesiono natychmiast pod pokład.

Henryk d’Albaret wydał rozkaz jak najszybszego oczyszczenia pokładu.

Kawałki lin, żagle, szczątki reji oraz wszystko, co zanieczyszczało pokład zostało w przeciągu paru minut usunięte. Można się więc już było swobodnie po pokładzie poruszać. Nie było ani chwili do stracenia. Pojedynek dział rozpoczął się znowu z większą jeszcze gwałtownością. Korweta wzięta w dwa ognie zmuszona była strzelać z obydwu boków równocześnie.

W tej chwili dała „Syphanta” nową salwę, tak dobrze tym razem wycelowaną, że dwa statki flotylli – jedna z senal i jedna saika – trafione tuż pod linią zanurzenia zatoniły w krótkim czasie, ich załoga miała ledwie czas wskoczyć do łodzi i podpłynąć do obydwu środkowych brygów, gdzie ją natychmiast wzięto na pokład.

„Hurra! Hurra!”

Tak wykrzykiwała załoga korwety po tych dwu strzałach, które przyniosły zaszczyt jej kanonierom.

„Dwa byłyby już jakby zatopione! rzekł kapitan Todros.

Tak, odparł Henryk d’Albaret, jednak ich łotrowskiej załodze udało się umknąć na brygi, a ja obawiam się wciąż jeszcze, że może przyjść do walki wręcz, w której przewaga liczebna będzie po ich stronie”.



Przez kwadrans nie ustawał obustronny grzmot dział. Zarówno statki korsarskie jak i korweta znikwały od czasu do czasu w chmurach dymu i za każdym razem trzeba było czekać, aż się dym rozwieje, aby móc stwierdzić, jakie szkody strzały wyrządziły. Na pokładzie „Syphanty” były te szkody aż nazbyt dotkliwe. Wielu ludzi z załogi było zabitych, jeszcze więcej zaś ciężko ranionych. Pewien oficer Francuz padł trafiony w pierś w chwili, kiedy komendant wydawał mu dalsze rozkazy.

Zabitych i ranionych znoszono pod pokład. Lekarz okrętowy i jego pomocnicy nie mogli już nadażyć z zakładaniem opatrunków i wykonywaniem operacji na ludziach ranionych albo wprost pociskami nieprzyjaciół albo też odłamkami drzewa fruującymi nad pokładem i w baterji. Jakkolwiek między okrętami, które znajdowały się ciągle w oddaleniu połowy strzału armatniego, nie doszło jeszcze do wymiany strzałów z broni ręcznej, a lekarz nie potrzebował wyciągać ani kul ani odłamków kartaczy, to jednak mimo to rany były nie mniej ciężkie, a nieraz nawet jeszcze bardziej niebezpieczne.

Przy tej sposobności nie omieszkały kobiety pomieszczone pod pokładem wypełnić ciężkiego obowiązku samarytańskiego. Hadżine Elizundo świeciła im w tem przykładem; również i inni starali się w miarę sił pielęgnować chorych, pocieszać ich i umacniać.

Również i owa stara kobieta ze Scarpanto wyszła ze swej kryjówki. Nie bała się widoku krwi, albowiem zmienne koleje jej życia prowadziły ją przez rozmaite pola bitew. W tej ciasnej przestrzeni oświetlonej lampami pochylała się ona u wezłowi ranionych, pomagała przy bolesnych operacjach, a gdy nowa salwa wstrząsała korwetą, najmniejsze drzenie jej oczu nie zdradzało przerażenia z powodu strasznych detonacji.

Tymczasem wybiła godzina, w której załoga „Syphanty” była zmuszona stanąć do walki wręcz z korsarzami. Ich linja zamknęła się; ziejący ogniem krąg zacieśniał się coraz bardziej, a korweta stała się celem wszystkich dział.

Broniła się ona jednak dzielnie, przynosząc zaszczyt banderze, która ciągle jeszcze na szczycie masztu powiewała. Jej artylerja szerzyła spustoszenie wśród statków flotyli pirackiej. Zniszczone zostały jeszcze dwa dalsze statki, jedna saika i jedna feluka. Jeden statek poszedł na dno, drugi podziurawiony ogniewemi kulami stał się pastwą płomieni.

Mimo to szturm był nieunikniony. Gdyby go „Syphanta” chciała uniknąć, musiałaby przedrzeć się przez linję nieprzyjacielską. Nie mogła jednak tego uczynić, ponieważ nie było wiatru, podczas gdy statki rozbójnicze poruszane wiosłami zbliżały się coraz bardziej i otaczały ją coraz ciaśniejszym pierścieniem.

Bryg z czarną banderą dał jeszcze ognia z wszystkich dział jednego boku, gdy znajdował się nie dalej jak na strzelenie z pistoletu. Jedna z kul trafiła wzmocnienia żelazne tylnego dzioba i zniszczyła ster.

Henryk d'Albaret poczynił więc przygotowania do odparcia ewentualnego ataku piratów i kazał wciągnąć sieci i liny. Z obu stron rozpoczęła się teraz ogień karabinowy. Krótkie strzelby, flinty i pistolety

zasypały pokład „Syphanty” gradem pocisków. Znow padło wielu ludzi z załogi, śmiertelnie ranionych. Dwadzieścia może razy groziła śmierć Henrykowi d’Albaret. Mimo to jednak pozostał nieruchomy i spokojny na swoim stanowisku, wydając rozkazy z zimną krwią, jakby komenderował salwą honorową podczas jakiejś parady okrętowej.

Walczące z sobą załogi mogły się już teraz widzieć po przez przerwy w chmurach dymu. Słyszano wściekłe przekleństwa bandytów. Nadaremnie starał się Henryk d’Albaret odnaleźć na pokładzie brygu z czarną banderą Sacratifa, którego imię przejmowało grozą cały archipelag.

Wtem bryg ten, jakoteż jeden z tych, które zamknęły były pierścień, wspomagane od tyłu przez inne statki, przybiły po obu stronach do korwety, tak, że jej spojenia zatrzęszczały pod naciskiem.

Haki chwytakowe wbiły się równocześnie w oszańcowanie i złączyły te trzy statki z sobą, Działa musiały teraz zamilknąć. Ponieważ jednak przez otwory strzelnicze „Syphanty” mógł się nieprzyjaciel łatwo wedrzeć, przeto obsługa dział pozostała na swem stanowisku, aby bronić przejścia siekierami, pistoletami i pikami. Taki był rozkaz komendanta, udzielony obsłudze w chwili, gdy oba brygi przybiły do korwety.

Naraz podniósł się ze wszystkich stron wrzask tak ogromny, że zagłuszył huk strzałów.

„Do szturmu! Do szturmu!”

Walka pierś o pierś stała się teraz straszliwą. Żądni krwi bandyci wdarli się na po-skład, nie bacząc na katapule, strzelby, wściekłe ciosy siekier i nastawione ostrza lanc.

Z bocianich gniazd brygów zasypali oni pokład „Syphanty” gradem granatów ręcznych, które zniszczyły go zupełnie, mimo że załoga „Syphanty”, dzielnie im odpowiadała. Henryk d’Albaret widział się ze wszystkich stron zagrożonym. Burty jego statku, wyższe od burt brygów, zostały szturmem zdobyte. Korsarze wspinając się z reji na reję podziurawili siecie i opuścili się na pokład.

Cóż znaczyło przy tem, że kilku z nich zostało zabitych, zanim opuścili się na pokład. Nie usunęło to grożącego niebezpieczeństwa, albowiem bandytów było nieprzebrane mrowie.

Załoga korwety, która stopniała do dwustu ludzi zdolnych do walki, miała przeciw sobie blisko sześciuset nieprzyjaciół.

Brygi były bowiem pomostem, po którym przechodziły coraz nowe zastępy rozbójników, przywożonych przez inne statki flotylli. Było ich takie mnóstwo, że o skutecznym oporze nie mogło być mowy. Pokład „Syphanty” spłynął niebawem krwią. Ranni, którzy leżeli już w drgawkach przedśmiertnych, podnosił się raz jeszcze ostatkiem sił, aby wystrzelić z pistoletu lub wbić sztylet w ciało nieprzyjaciela. Wśród gęstych kłębow dymu panowało najstraszniejsze zamieszanie; jednak bandera korfijska nie znikła,

dopóki choć jeden człowiek zdolny do walki pozostał przy życiu.

Xaris walczył w tym strasznym zamieszaniu jak lew. Nie ustąpił ani na krok z podwyższonego pokładu tylnego. Dwadzieścia może razy opuszczał się jego topór wściekłym ciosem na głowy korsarzy, ratując w ten sposób życie Henrykowi d'Albaret, który nie stracił w tym tumultcie głowy, mimo że wobec przewagi był bezsilny.

O czym myślał?... O poddaniu się? Nie, oficer francuski nie poddaje się korsarzom! Cóż mu jednak pozostawało w końcu uczynić? Czyż miał naśladować dzielnego Bissona, który znalazłszy się dziesięć miesięcy temu w podobnym położeniu, wysadził się w powietrze, aby nie wpaść w ręce Turków? Czy mógł mieć przynajmniej nadzieję, że wraz z korwetą wylecą w powietrze złączone z nią brygi?

Czyniąc zaś to, skazywał na śmierć wszystkich rannych z „Syphanty”, jeńców których wydał Mikołajowi Starkosowi, wszystkie kobiety i dzieci!... Poświęcał nawet Hadżine!... A czy ci, których wybuch oszczędzi, o ile im Sacratif wogóle daruje życie, unikną niewoli?

„Uważaj pan na siebie, panie komendancie!” zawołał właśnie Xaris, zasłaniając go własną pierśią.

Jeszcze sekunda a Henryk d'Albaret byłby został śmiertelnie raniony; Xaris chwycił jednak oburącz pirata, który się właśnie do ciosu zamierzył i rzucił go w morze. Trzykrotnie jeszcze próbowali bandyci dotrzeć do Henryka d'Albaret, trzykrotnie jednak zabijał ich Xaris jednym uderzeniem.

Pokład korwety zaroił się tymczasem mrowiem nieprzyjaciół. Strzały stawały się coraz radsze. Wszędzie walczone na białą broń a okrzyki walczących zagłuszały huk strzałów.

Piraci, którzy opanowali już cały przód statku, posuwali się do stóp grotmasztu. Załoga „Syphanty” cofała się stopniowo ku podwyższonemu pokładowi tylnemu.

Było ich jeden na dziesięciu. Czy można się było skutecznie bronić? Nawet gdyby komendant d'Albaret chciał być teraz wysadzić korwetę w powietrze, nie mógłby był tego uczynić. Atakujący opanowali już wszystkie luki i otwory prowadzące do wnętrza statku. Znajdowali się już w baterji w międzypokładzie i tu teraz rozszalała dalsza walka. O dostaniu się do prochowni nie można było nawet myśleć.

Korsarze mieli wszędzie liczebną przewagę. Od tylnego pokładu „Syphanty” dzielił ich już tylko wał zabitych lub ranionych towarzyszy. Pierwsze ich szeregi, naciskane od tyłu, wdrapały się na ten wał utworzony z ludzkich ciał i gotowały się, brocząc nogami we krwi, do ataku na tylny pokład.

Stało tu w szeregu około pięćdziesięciu majtków, sześciu oficerów oraz kapitan Todros. Otoczyli oni swego komendanta, gotowi bronić go do upadłego.

Na tej ograniczonej przestrzeni rozgorzała rozpaczliwa walka. Bandera,

która upadła wraz z bezan-masztem, została znów podniesiona.

Tu było ostatnie miejsce, którego honor nakazywał bronić aż do ostatniego człowieka.

Cóż jednak mogła ta mała garstki, mimo całą pogardę śmierci, działać przeciw pięciu czy sześciuset korsarzom, którzy opanowali cały przedni pokład i mostek, zasypując z tamąd obrońców gradem pocisków? Załogi innych statków flotyli zasilają stale atakujących. Liczba bandytów była więc ciągle ta sama, podczas gdy szeregi obrońców topniały coraz bardziej.

Tylny pokład podobny był do fortecy, która odparła zwycięsko niezliczone ataki, tak, że nikt nie mógłby powiedzieć, ile krwi już w jej obronie przelano. Wkońcu jednak miejsce to zostało zdobyte. Załoga „Syphanty” musiała przed wdzierającą się lawiną ustąpić aż na bak-burtę. Tam otoczono banderę i utworzono żywy wał dokoła niej. W środku stał Henryk d’Albaret, dzierżąc pistolet w jednej a sztylet w drugiej dłoni. Strzelał lub nurzał błyskające ostrze w krwi nieprzyjaciół.

Nie, komendant korwety nie podda się! Tylko przemoc zdoła go zgnieść. Chciał przynajmniej zginać... Napróżno! Wydawało się prawie, że ci, którzy go atakowali, mieli tajemny rozkaz dostać go żywcem – rozkaz, który dwudziestu śmiazków rażonych toporem Xarisa przypłaciło życiem.

Wkońcu jednak został Henryk d’Albaret wraz z kilku oficerami, którzy pozostali przy życiu, pojmany w niewolę. Xaris i majtkowie zostali obezwładnieni. Bandera „Syphanty” nie powiewała już więcej na maszcie.

Równocześnie rozległy się ze wszystkich stron dzikie okrzyki, przekleństwa i głośnie wiwaty. Okrzyki te wydawali zwycięscy, aby przywołać swego dowódcę.

„Sacratif!... Sacratif!” wołała wściekła tłuszcza.

Wtem ukazał się ich wódz za burtą korwety. Tłum rozstał się, czyniąc wolne przejście. Wolnym krokiem skierował się ku tylnemu pokładowi, stąpając bez zbytniego wzruszenia po trupach swych ludzi. Wszedłszy następnie oślizłymi od krwi schodami na górny pokład, podszedł ku Henrykowi d’Albaret.

Komendant „Syphanty” ujrzał wreszcie tego, którego tłum piratów powitał imieniem Sacratifa.

Był to Mikołaj Starkos.

## Rozdział XV

## Rozwiązanie dramatu.

Walka pomiędzy korwetą a flotyllą trwała przeszło dwie i pół godziny. Po stronie atakujących było co najmniej stu pięćdziesięciu rannych lub zabitych, jednak i „Syphanta” miała nie mniejsze straty. Cyfry te dowodzą, jak zacięcie walczone. Przemoc zatrjumfowała jednak wreszcie nad bohaterstwem, jakkolwiek w imię słuszności należało się zwycięstwo tej ostatniej stronie. Henryk d’Albaret, oficerowie jego, załoga i pasażerowie znajdowali się w mocy okrutnego i nieubłaganego Sacratifa.

Sacratif i Starkos byli rzeczywiście jedną i tą samą osobą. Dotychczas nie wiedział nikt o tem, że pod nazwiskiem tem ukrywał się Grek, dziecię krainy Magny, zdrajca, pozyskany dla sprawy ciemieżców. Tak, Mikołaj Starkos był dowódcą owej flotylli, która przez swe okrutne czyny była długo postrachem wszystkich mórz greckich. Był on tym, który połączył podły zawód pirata morskiego, ze wstrętnym handlem. Kupczył swymi ziomkami, którzy szczęśliwi uszli krwiożerczości Turków, sprzedając ich barbarzyńcom i niewiernym! I ten wojenny przydomek lub raczej przydomek rozbójnika należał do syna Androniki Starkos!

Sacratif – tak musimy go obecnie nazywać – przeniósł już dawno główny punkt swych zbrodniczych operacji, na wyspę Scarpanto. Tutaj w głębiach nieznanych i niedostępnych prawie zatok wschodniego wybrzeża znajdowały się główne stacje jego flotylli. I tutaj też przebywali jego podkomendni, rekrutujący się z łotrów najgorszego gatunku, ludzie bez czci i sumienia, posłuszni ślepo swemu dowódcy, zdecydowani na najgorsze czyny i wybryki; stanowili oni załogę flotylli złożonej z dwudziestu okrętów.

Opuściwszy na pokładzie „Karysty” wyspę Korfu, udał się Sacratif wprost na Scarpanto. Zamierzał podjąć na nowo pirackie rzemiosło, żywiąc zarazem nadzieję, że spotka na swej drodze korwetę, którą widział wyruszającą na morze, a której przeznaczenie znał doskonale. Jakkolwiek jego uwaga była głównie zwrócona na korwetę, to jednak dwie jeszcze myśli nie opuszczały go nigdy, a to odnaleźć Hadżine Elizundo i jej miliony, oraz wyrzeć swą zemstę na Henryku d’Albaret.

Flotylla rozbójników rozpoczęła więc polowanie na korwetę. Sacratifa dochodziły wprawdzie ciągle wieści o tem, jak dotkliwie dała się korweta we znaki piratom północnej części archipelagu, nie udało mu się jednak odkryć śladów okrętu. Mimo rozlicznych i uporczywych pogłosek nie brał on też zupełnie udziału w potyczce pod Lemnos, w której znalazł śmierć bohaterską kapitan Stradena. Był on natomiast tym, który zbiegł na sakolewie z portu Thasos, korzystając z tego, że korweta była zajęta bitwą. Nie wiedział też Sacratif zupełnie o tem, że korweta przeszła pod dowództwo Henryka d’Albaret i dowiedział się o tem dopiero widząc go na targu niewolników w Scarpanto.

Gdy opuścił Thasos, zarzucił Sacratif kotwicę w Syrze i odpłynął stamtąd

zaledwie na czterdzieści osiem godzin przed przybyciem korwety.

Przypuszczenie więc, że sakolewa pozeglowała na Kretę, okazało się słusznem. Tu w porcie Grabuzy oczekiwał nań bryg, który miał go odwieźć do Scarpanto w celu przygotowania nowej ekspedycji. Korweta spostrzegła go krótko potem gdy wypłynął z Grabuzy i rozpoczęła natychmiast pościg. Schwywanie okazało się jednak niemożliwem, gdyż bryg posiadał znacznie większą szybkość.

Również i Sacratif poznał „Syphantę”. Z początku przyszło mu na myśl, by zawrócić, spróbować zahaczenia i dać upust swej nienawiści przez zniszczenie okrętu. Po głębszym jednak namyśle doszedł do wniosku, że znacznie korzystniejszym jest dać się ścigać, wciągnąć korwetę w pobliże Scarpanto i tam zniknąć w pierwszej lepszej dobrze sobie znanej kryjówce.

Tak się też stało. Wódz piratów zarządził potem co należało, by flotylla była w gotowości, gdyby miało przyjść przeciw do ostatecznej rozprawy.

Wiemy dobrze, co następnie zaszło, dlaczego Sacratif udał się na targ do Arkassy i jak tam spostrzegł między jeńcami Hadżine Elizundo, przyczem zetknął się oko w oko z Henrykiem d’Albaret jako z komendantem korwety.

W przekonaniu, że Hadżine jest jeszcze bogatą dziedziczką milionów Elizunda, postawił wszystko na kartę, by zdobyć ją dla siebie. Wmieszanie się jednak Henryka d’Albaret pokrzyżowało jego plany.

Zdecydowany teraz bardziej może niż kiedykolwiek zdobyć Hadżine i zamierzając zarazem wyrzucić zemstę na Henryku d’Albaret oraz zniszczyć korwetę, udał się Sacratif wraz ze Skopelem na zachodnie wybrzeże wyspy. Nie wątpił ani na chwilę, że Henryk d’Albaret zniknie jak najspieszniej ze Scarpanto, aby odwieźć jeńców do ojczyzny. Zebrał wobec tego natychmiast flotyllę i już następnego dnia wyruszył na morze. Wiele pomyślnych okoliczności złożyło się na to, że „Syphanta” wpadła wreszcie w jego moc.

Było to około trzeciej popołudniu, gdy Sacratif wstąpił na pokład „Syphanty”. Wiatr wzmógł się nieco, co umożliwiło statkom zajęcie stanowisk dokoła korwety, tak, że mogły ją w każdej chwili zasypać pociskami.

Dwa brygi czekały na dowódcę, gdyby zechciał opuścić „Syphantę”. Chwilowo nie myślał on o tem i pozostał wraz ze stu piratami na korwecie.

Sacratif nie rzekł dotychczas ani słowa do Henryka d’Albaret. Zamienił tylko parę słów ze Skopelem, który polecił jeńców, oficerów i żołnierzy sprowadzić pod pokład. Tutaj przyłączono do nich tych towarzyszy, których napadnięto w baterji lub w międzypokładzie. Wszystkich wtrącono przemocą do dolnych ubikacji okrętu i zatrzaśnięto nad nimi pokrywy luk. Jaki los czekał ich? Bezwątpienia okropna śmierć, która miała nastąpić równocześnie ze zniszczeniem „Syphanty”.

Na tylnym pokładzie pozostali tylko Henryk d’Albaret i kapitan Todros, obaj bez broni, związani i pilnie strzeżeni.

Otoczony tuzinem zdziczałych członków swej bandy, postąpił Sacratif ku

nim o krok naprzód.

„Nie wiedziałem dotychczas o tem, rozpoczął, że Henryk d’Albaret dowodzi „Syphantą”. Gdybym był o tem wiedział, nie zawahałbym się ani chwili z wydaniem bitwy jeszcze na wodach Krety. A skutek byłby taki, że komendant korwety nie zjawiłby się w ogóle na targu w Scarpanto, by konkurować z innymi ludźmi.

– Gdyby Mikołaj Starkos stanął do walki z nami na wodach Krety, wisiaby już dawno na reji fokmasztu „Syphanty” brzmiała odpowiedź Henryka.

– Czyż być może? Hm, szybka sprawiedliwość...

– Tak, jedyna która nadaje się dla przywódcy piratów.

– Uważaj pan Henryku d’Albaret, huknął nań Sacratif, trzymaj pan swój język na wodzy! Kołysz się jeszcze reja na maszcie korwety i wystarczy bym dał znak...

– Daj go pan więc!

– Oficerów nie wiesz się, wmieszał się kapitan Todros, należy im się conajwyżej śmierć przez rozstrzelanie, tamtą haniebną śmierć...

– Czyż można żądać innej od tak nędznego łotra?... przerwał mu Henryk d’Albaret.

W odpowiedzi na tę ostatnią obelgę dał Sacratif znak zrozumiały aż nazbyt dobrze dla jego dzikich towarzyszy.

Był to rozkaz powieszenia.

Pięciu lub sześciu ludzi rzuciło się na Henryka d’Albaret, podczas gdy inni trzymali kapitana Todrosa, który usiłował rozerwać swe więzy.

Komendanta „Syphanty” zaciągnięto wśród dzikich przekleństw i wymyślań na przód okrętu.

Skręcono już u reji masztu stryczek z liny i paru tylko sekund brakowało, by fran-cuski oficer marynarki znalazł tak niezaszczytną śmierć z rąk bandytów, gdy nagle na pokładzie ukazała się Hadżine Elizundo.

Przyprowadzono ją na pokład na rozkaz Starkosa. Wiedziała ona, że ów pirat był tym niegodnym Sacratifem, potrafiła jednak wobec niego, nawet w tak strasznej chwili, zachować całą swą dumę i podziwu godny spokój.

Oczy jej szukały przede wszystkim Henryka d’Albaret, o którym nic wiedziała, czy został przy życiu, czy też zginął z większością załogi. Nagle ujrziała,...on żył... żył, lecz groziła mu okropna śmierć...

Szybko pospieszyła ku niemu i zawołała:

Henryku! Henryku!

Piraci usiłovali odciągnąć ją, gdy Sacratif zbliżył się nagle, stanął o parę kroków przed Hadżine i Henrykiem d'Albaret. Długo patrzył drwiąco na parę kochanków.

„Hadżine Elizundo jest teraz w mocy Mikołaja Starkosa! rzekł wreszcie, krzyżując ramiona na piersiach. Mam spadkobierczynię bogatego bankiera z Korfu w mojem ręku.

– Spadkobierczynię tak, ale spadek nie!” odrzekła zimno Hadżine.

Sacratif nie mógł odrazu pojąć tej różnicy, mówił więc dalej:

„Mam nadzieję, że narzeczona Mikołaja Starkosa nie odmówi mu swej ręki, odnajdując go nawet pod nazwiskiem Sacratifa.

– Ja? zawołała Hadżine z przerażeniem.

– Tak, ty, mój gołąbku! odrzekł Sacratif jeszcze bardziej drwiącym tonem. Rozumie to dobrze, że pragniesz okazać swą wdzięczność komendantowi „Syphanty” za to, że cię wykupił, jednak to co on uczynił, chciałem uczynić ja także. Dla ciebie, nie dla innych jeńców, postawiłem na kartę cały mój majątek. Jeszcze chwila, piękna Hadżine, a zostałem twym panem, lub raczej twym... niewolnikiem!”

Mówiąc to, postąpił Sacratif bliżej ku Hadżine. Młoda dziewczyna przytuliła się jeszcze bardziej do Henryka.

„Nędznik! zawołała.

– Racja, jestem rzeczywiście nędzarzem, odrzekł Sacratif, lecz potrzebuję właśnie twych milionów, aby wydobyć się z tej nędzy”.

Na to zbliżyła się Hadżine do Sacratifa.

– Mikołaju Starkosie, rzekła głosem spokojnym. Hadżine Elizundo nie posiada już majątku, któryby drażnił chciwość pańską. Cały majątek oddała na naprawę tego zła, które wyrządził jej ojciec przy zdobywaniu tych pieniędzy. Mikołaju Starkosie, Hadżine Elizundo jest obecnie biedniejszą od ostatniego z tych nieszczęśliwców, których „Syphanta” miała odwieźć do ojczyzny.

To nieoczekiwane wyjaśnienie podziało piorunująco na Sacratifa. Zmienił swą dotychczasową postawę. Oczy jego zabłyśły wzbierającą wściekłością. Liczył tak na te miliony, któreby Hadżine tak chętnie za życie Henryka d'Albaret oddała. A teraz dowiaduje się, że z tych milionów nie posiadała ona już nic... nic!

Spoglądał raz to na Hadżine to na Henryka. Skopelo obserwował go. Znał on dobrze swego dowódcę i wiedział z góry, jaki będzie koniec wszystkiego. Pozatem otrzymał już rozkaz zniszczenia korwety i czekał tylko



na ostateczny znak do wykonania tego rozkazu.

Sacratif zwrócił się do niego:

„Idź Skopelo!”

W towarzystwie swych ludzi skierował się Skopelo ku schodom prowadzącym do baterji, poczem zwrócił się do prochowni, znajdującej się w tyle „Syphanty”.

Równocześnie wydał Sacratif rozkaz innym piratom, by udali się na brygi czekające u boków „Syphanty”.

Henryk d’Albaret przewidział co się ma stać. Jego śmierć nie wystarczała widocznie Sacratifowi. Setki nieszczęśliwych miały zginąć z nim razem, by nasycić zemstę potwora.

Obydwa brygi odczepiły już haki łączące je z okrętem i odpływały zwolna, popychane uderzeniami wielu wiosł.

Na pokładzie pozostała tylko załoga kilku łodzi kołyszących się obok „Syphanty”. Ludzie ci czekali tylko na rozkaz wsiadania wraz z Sacratifem.

W tej chwili ukazał się Skopelo ze swymi ludźmi z powrotem na pokładzie.

– Wsiadać! krzyknął Skopelo.

– Tak wsiadać! powtórzył Sacratif, głosem budzącym grozę. Za parę minut nie pozostanie nic z tego przeklętego statku. O, pan nie chciałeś umrzeć śmiercią haniebną, Henryku d’Albaret! Więc dobrze, eksplozja nie oszczędzi ani jeńców ani oficerów „Syphanty”! Podziękuj mi, że pozwalam ci umrzeć w tak dobranem towarzystwie.

– Tak, tak, podziękuj mi Henryku! W ten sposób umrzemy przynajmniej razem!

– Ty masz umrzeć Hadżine? odrzekł Sacratif. Ani mi się to śniło! Musisz żyć i być moją niewolnicą... niewolnicą... czy rozumiesz?

– Niegodny łotrze!” zawołał Henryk d’Albaret.

Młoda dziewczyna przylgnęła do jego piersi. Ona... w mocy tego potwora?!

„Weźcie ją! krzyknął Sacratif.

Dwaj bandyci rzucili się na Hadżine i porwali ją ze sobą.

„A teraz, krzyknął Sacratif, mogą wszyscy zginąć razem z „Syphantą” tak... wszyscy...

– Tak... wszyscy... i matka twoja wraz z nimi!”

Był to głos owej sędziwej branki, która ukazała się nagle na pokładzie, tym razem jednak bez zasłony na twarzy.

„Moja matka”... tu na pokładzie! Wykrzyknął Sacratif.

– Twoja rodzona matka, Mikołaju, odpowiedziała Andronika, poniesie śmierć z twojej ręki!

– Precz z nią!... zabierzcie do łodzi!” ryczał Sacratif.

Kilku ludzi rzuciło się ku Andronice.

W tej samej chwili rozległ się donośny krzyk na pokładzie, to zamknięta pod pokładem załoga „Syphanty” wydusiła jedną ze ścian dolnych ubikacji i wy dostała się wraz z jeńcami na pokład.

– „Do mnie!... Na pomoc!...” wykrzyknął Sacratif.

Pozostali jeszcze na okręcie piraci próbowali pod dowództwem Skopela dać pomoc swemu dowódcy. Załoga korwety jednak, uzbrojona w siekiery i sztylety wybiła ich wkrótce do nogi.

Sacratif widział, że jest zgubiony, lecz że wraz z nim znajdą śmierć przynajmniej ci wszyscy, których tak bardzo nienawidził.

– „Leć więc w powietrze przekłeta korweto, zawył, leć wesoło w powietrze!

– Nasza „Syphanta”... w powietrze!... przenigdy!”

Był to Xaris. Trjumfująco trzymał w ręku płonący lont oderwany od jednej z beczek z prochem. Tygrysim skokiem rzucił się na Sacratifa i rozciągnął go jednym uderzeniem siekiery na ziemi.

Andronika krzyknęła rozpaczliwie. Wszystko to co pozostało jeszcze w sercu matki mimo zbrodniczych postępów syna, obudziło się w tej chwili. Chciała odwrócić ten cios który zgruchotał mu czaszkę...

Później widziano jak zbliżyła się do ciała syna, uklękła i pochyliła swą głowę, jakby pragnęła przesłać mu ostatnie pozdrowienie... wyszeptać może słowa przebaczenia, za chwilę padła jednak obok trupa.

Henryk d'Albaret pospieszył ku niej...

– „Nie żyje! wykrzyknął. Boże, przebacz synowi z litości nad matką!”

W międzyczasie zdołało paru piratów, którzy byli już w łodziach, dosięgnąć jednego z brygów, poczem rozniosła się wieść o śmierci Sacratifa.

Należało go pomścić. Baterje flotylli rozpoczęły na nowo ostrzeliwać „Syphantę”.

Daremne wysiłki! Henryk d'Albaret objął na nowo komendę nad korwetą.

Wszystko co żyło, około stu ludzi pozostałych z załogi rzuciło się ku ciężkim działom w baterji i do karonad na pokładzie; korweta odpowiedziała godnie na salwy rozbójników.

Jeden z brygów – ten sam, na którym wywieszono czarną flagę, trafiony pierwszą zaraz kulą w linii zanurzenia znikł pod wodą pośród straszliwych przekleństw znajdujących się na nim piratów.

„Odwagi chłopcy, bić w nich! wołał Henryk d'Albaret, uratujemy jeszcze naszą „Syphantę!”

Walka trwała jeszcze czas pewien. Piraci jednak, gdy nie stało już Sacratifa, który porywał ich w ślepej wściekłości do szalonych czynów, nie odważyli się szturmować okrętu po raz drugi. Z całej flotyli pozostało zaledwie pięć statków, Działa „Syphanty” byłyby je dosięgły i z większej odległości. Piraci jednak skorzystali z wzmagającego się właśnie wiatru i rzucili się do ucieczki.

„Niech żyje Grecja!” zawołał Henryk d'Albaret, podczas gdy na szczycie wielkiego masztu ukazała się flaga „Syphanty”.

„Niech żyje Francja!” gromko zawołała załoga, chcąc tym sposobem uczcić obydwa narody, które walczyły razem o wolność.

Była godzina piąta przed wieczorem. Jakkolwiek wszyscy byli do cna wyczerpani, nie myślał nikt o spoczynku. Należało wprawdzie doprowadzić do porządku korwetę. Wymieniono, gdzie zachodziła potrzeba, żagle, umocniono maszty zapomocą belek poprzecznych, zaciągnięto nowe liny, na miejsce zgruchotanego bezanmasztu umieszczono tymczasem maszt zapasowy, tak, że „Syphanta” mogła podjąć jeszcze tego samego dnia swą dalszą podróż.

Ciało Androniki złożono z wielką czcią na katafalku; Henryk d'Albaret pragnął, by śmiertelne szczątki bohaterskiej kobiety spoczęły na ziemi ojczystej.

Trupa Mikołaja Starkosa pochłonęły natomiast wody tego morza, które rozbójnik Sacratif tak długo niepokoił swymi zbrodnictwami.

Dwadzieścia cztery godzin później, dnia 7 września ukazała się Egina oczom żeglarzy, korweta wpłynęła do portu wyspy po jednorocznem krążeniu na morzach archipelagu, w którymto czasie położyła wielkie zasługi około oczyszczenia tych wód z korsarzy.

Tu wydarło się z piersi pasażerów wielokrotne „hurra!”

Natychmiast po przybyciu pożegnał się Henryk d'Albaret ze swoimi oficerami i dzielną załogą. Komendę nad korwetą, którą Hadżine podarowała rządowi, zdał kapitanowi Todrosowi.

W parę dni później obchodzono uroczyste zaślubiny Hadżine Elizundo

z Henrykiem d'Albaret. Uroczystości tej towarzyszyły olbrzymie tłumy publiczności, wszyscy oficerowie, załoga okrętu oraz przywróceni ojczyźnie pasażerowie „Syphanty”. Następnego dnia wyjechała młoda para wraz z nieodstępny Xaristem do Francji, z niezłomnym postanowieniem powrotu do Grecji, skoro tylko zmiana stosunków na to pozwoli.

Tak długo niepewne morza stały się nieco spokojniejsze. Niedobitki piratów znikły a krążąca jeszcze przez czas pewien pod dowództwem kapitana Todrosa „Syphanta” nie natrafiła nigdzie na ślad czarnej flagi zatopionej wraz z Sacratifem. Nie był to już „archipelag w płomieniach”. Otworzył on wkrótce swe spokojne drogi dla handlu z Dalekim Wschodem.

Dzięki ofiarnemu bohaterstwu swych dzieci, zajęło wkrótce Królestwo Greckie należne mu miejsce wśród wolnych i niepodległych państw Europy. Dnia 22 marca 1829 podpisał sułtan układ ze sprzymierzonymi mocarstwami. 22 września, pomyślny wynik bitwy pod Patras umocnił zwycięstwo Greków. Wreszcie układem londyńskim z roku 1832 został ksiączę Otto Bawarski wyniesiony na tron grecki. To było dowodem utworzenia królestwa Grecji.

W tym samym czasie mniej więcej powrócili Henryk i Hadżine d'Albaret do pięknego kraju. Osiedlili się tu na stałe. Żyli w skromnych warunkach życiowych. Lecz czyż był im potrzebny majątek do szczęśliwego pożycia, skoro swe szczęście odnaleźli już dawno w swych sercach?

Koniec.

Przypisy:

- 1 Akropolis = cytadela, gród warowny.
- 2 Maniaci = lud zamieszkujący prowincję Magna.
- 3 lewa strona okrętu.
- 4 Wąski okręt wojenny z żaglami i wiosłami.
- 5 Przedni maszt trzymasztowca.
- 6 Okręt frachtowy (towarowy).
- 7 Rodzaj statku.
- 8 Mały, szybki okręt, poruszany wiosłami.
- 9 Mały statek towarowy.
- 10 Żagiel na tylnym maszcie. Trójkątny żagiel na przednim maszcie.
- 11 Żagiel przymocowany do górnego końca głównego masztu.
- 12 Trójkątny żagiel na przednim maszcie.

13 Najemne nieregularne wojsko greckie.

14 Quai (ke) = kamienne wybrzeże portu.

15 Hisować = podnosić.

16 Od czasu, w którym to opowiadanie się rozgrywa, padła ofiarą ognia podziemnego wyspa Santorin; Violitsa i Teby zostały w r. 1861 zniszczone silnymi trzęsieniami ziemi.

17 Góral grecki trudniący się rozbojem.

18 Od roku 1864 uzyskały znów swą niepodległość. Podzielone na nomachje, przyłączone zostały do Grecji.

19 Nomachja = okrąg polityczny.

20 Majtek mający pieczę nad łodziami i ożaglowaniem.

21 Kaperstwo (holend.) = korsarstwo.

22 Liny umocowujące żagle.

23 Orzeźwiający wiatr.

24 rumb = pełny obrót statku o 360°.

25 tama kamienna portu, wchodząca w morze.

26 Szybki okręt żaglowy.

27 Rodzaj statku.

28 mowa tu o hakach przywiązanych do lin, które zarzuca się na okręty nieprzyjacielskie.

29 brasować = ustawić przy pomocy lin żagle pod wiatr.

30 Włoska nazwa wyspy Eubei.

31 Okręty napelnione łatwo palnymi materiałami, które zapala się i puszcza między statki nieprzyjacielskie.

32 djecezja biskupa greckiego.

33 Żagle znajdujące się na końcu wielkiego masztu i fok-masztu.

34 Trójkątne żagle na przedzie statku.

35 Maszt na przodzie statku skierowany ukośnie w górę.

36 Dwukołowy wóz

37 Dawne krótkie działa okrętowe, wynalezione przez braci Carron.